

Marc Esposito

CAŁE PIĘKNO
ŚWIATA

1

Nagle wszystko znikło, widziałem tylko ją - jasne oczy, pełne usta, ciemne króciutkie włosy.

Wiedziałem, że odtąd stanie się treścią mojego życia.

Ze znękaną miną torowała sobie drogę w tłumie w drugim końcu sklepu. Była wysoka, miała pewnie z metr osiemdziesiąt wzrostu. Zbliżałem się w jej stronę.

Czułem się przedziwnie, jakbym był w szoku, jakbym za chwilę miał umrzeć i w jednym mgnieniu oka zobaczył swoją przyszłość. Tyle że ja byłem daleki od śmierci, wręcz przeciwnie - rodziłem się na nowo. Nie przesuwwały mi się przed oczami sceny z przeszłości, ale miałem wizje nowego życia, wizje przyszłości z nią.

To doznanie było tak wyraźne, a jej twarz w tak oczywisty sposób związana z moim losem, że aż się zaniepokoiłem, czy to wszystko już się kiedyś nie wydarzyło. Może w poprzednim życiu byliśmy Romeem i Julią, Tristanem i Izoldą, Gable'em i Lombard?

Jednak kiedy na mnie spojrzała, od razu odrzuciłem tę hipotezę. Gdybyśmy już byli w sobie zakochani, ona również byłaby zmieszana, a tymczasem nie zrobiłem na niej żadnego wrażenia.

Zostaliśmy sobie przedstawieni przez jej brata. Była trochę zażenowana, a ja powiedziałem: „Dobry wieczór, miło mi panią poznać” z tak niekłamaną szczerością, z jaką nikt jeszcze nie wymawiał tego jakże konwencjonalnego zdania, na co ona, siląc się na uśmiech, ale nie za bardzo, odpowiedziała: „Mnie również”.

Nieźle jak na początek; czy mogłem marzyć o czymś więcej?

Choć nie było tego widać - należą bowiem do ludzi opanowanych - roznosiło mnie w środku, jakby w moim sercu wybuchały petardy na powitanie 2000 roku. Gratulowała bratu

sklepu, a ja zerkałem na nią ukradkiem, onieśmielony niczym średniowieczny dwunastoletni szlachetka wobec bogdanki: nie ma wyboru, nie ma co dyskutować, i tak spędzi z nią resztę życia, czy mu się to podoba, czy nie.

Im dokładniej przyglądałem się mej lubej, tym bardziej się upewniałem, że spotkało mnie wielkie szczęście. Kolosalne. Takie, jakie się trafia raz na tysiąclecie. Spotkanie po raz pierwszy w życiu kogoś, w kim wszystko nas urzeka, jest niezwykłym przeżyciem. Oczarowało mnie w niej dosłownie wszystko: usta bez śladu szminki, niebieskoszare oczy, smukła sylwetka, wiotka jak liana, wystające kości policzkowe, głos - zdumiewająco poważny, a jednocześnie jakby wbrew niej samej nieco swawolny.

Krótko ostrzyżone włosy nadawały jej młodzieńczy wygląd, choć miała już pewnie ze trzydzieści pięć lat, może nawet trochę więcej. W chłopięcej fryzurze, nowej, jak sędzę, twarz wydawała się obnażona, przez co jej uroda była wręcz krępująca. To dobry znak dla mnie - pomyślałem - że poznałem ją w chwili, kiedy zafundowała sobie nowe uczesanie.

Zwaliała mnie z nóg. Nie miłość, ale ona, jej sposób bycia. Powalił mnie sam fakt jej istnienia i to, że aż tak mi się podoba.

Chociaż wiedziałem o jej istnieniu, poznałem ją dopiero tego wieczoru. Roland, jej brat, opowiedział mi jej historię trzy tygodnie temu.

Wpadłem do niego do pracy, żeby się z nim przywitać, i jak zwykle poszliśmy na szklaneczkę do baru obok.

Znaliśmy się zaledwie od paru miesięcy, a konkretnie - odkąd zamieszkałem w Arles, dwie przecznice od jego sklepu z płytami. Utrzymywaliśmy dość luźne kontakty. Gadaliśmy o muzyce, o sporcie albo o kinie, popijaliśmy anyżówkę, no i nie zwierzaliśmy się sobie. Poznałem też jego młodszego brata Luciena, który z nim pracował, ale o istnieniu ich starszej siostry nie miałem zielonego pojęcia.

Tamtego ranka Roland był w ponurym nastroju i chciał pogadać o tym, co go gryzie, a pewnie łatwiej mu było zwierzyć się komuś, kto nie znał Tyny.

Tak, miała na imię Tina.

W lecie ubiegłego roku jej mąż zmarł na zawał w wieku czterdziestu czterech lat, a ona wciąż nie może dojść do siebie. Roland odwiózł ją właśnie do kliniki na nową terapię snem. Od ośmiu miesięcy Tina nie przestaje płakać. Obecność synów tylko wzmacnia jej smutek, obwinia się bowiem, że nie potrafi się nimi zająć, pokazać im, jacy są dla niej ważni, że dla nich pragnie odzyskać radość życia.

Sytuacja była na tyle poważna, że wszyscy - obaj bracia, siostra i jej dwaj synowie - przenieśli się do mieszkania w centrum miasta, żeby być razem i wspierać się nawzajem, ale to niczego nie zmieniło.

Roland był zrozpaczony, obawiał się najgorszego. Ja, żeby cokolwiek powiedzieć, zasugerowałem:

- Może powinna wyjechać na jakiś czas, udać się w dłuższą podróż...

Osobiście tak bardzo lubiłem nagłe zmiany - wskoczyć do samolotu, pruć szosą w nieznane - że niekiedy zapominałem, iż nie wszyscy są tacy jak ja. Czasami smutek wlecze się za człowiekiem i dopada go wszędzie, niezależnie od tego, gdzie przebywa. Z drugiej strony, w tym konkretnym przypadku, pomysł nie wydawał się najgorszy. Niechby wyjechała gdzieś daleko, gdzie nic nie przypominałoby jej męża. Ani język rozbrzmiewający na ulicach, ani krajobraz, ani wygląd ludzi, ani kolor nieba. Nic.

Roland odrzucił moją sugestię. Kobieta w jej stanie nie powinna być zdana tylko na siebie, z dala od swoich. Miał nadzieję, że po wyjściu z kliniki Tina znajdzie w sobie dość siły, żeby pracować u niego. Pozwoliłem sobie zauważyć, że stała posada wymaga więcej energii i równowagi wewnętrznej niż wybranie się podróż, ale nie podtrzymał tematu.

Zadzwoił po ośmiu dniach.

- Tina wyszła przedwczoraj z kliniki. Zastanawiałem się nad twoim pomysłem... Mogę wpaść?

Ledwo zdążyłem przygotować kostki lodu, a Roland już był u mnie w salonie. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej. Wiedział, że włóczyłem się tu i tam i objechałem kawał świata. Przyszedł do mnie po radę jak do specjalisty i to było wzruszające.

Wyjmowałem właśnie anyżówkę z barku, kiedy uznał za stosowne zaznaczyć, że wielka przygoda nie wchodzi w grę, ponieważ jego siostra nigdy nie odbywała dalekich podróży - ot, Hiszpania, Włochy samochodem z mężem i dziećmi, nic poza tym. Dwa albo trzy razy w życiu poleciała samolotem do Paryża. Francuzi z południa mają gdzieś geografę: dla nich południe jest u góry mapy, a Paryż u dołu.

W moim przekonaniu brak doświadczenia w podróżowaniu jest plusem: Tina odkryje przyjemność

poznawania nowych miejsc, dozna wrażeń, jakich nigdy nie dzieliła z mężem.

Otworzyłem atlas na mapie świata. Na sam widok równoleżników i południków w mojej głowie rozbłyskuje mnóstwo obrazów, o których mogę opowiadać godzinami.

Każdy, kto oczekuje radykalnej zmiany, ma do dyspozycji dwie trzecie naszej planety. Dla samotnej kobiety poszukującej równowagi ducha polecałbym pobyt w jednym z azjatyckich krajów. W Afryce albo w Ameryce Południowej samotna Europejka ani na chwilę nie zaznałaby spokoju, chyba że zabarykadowałaby się w hotelu.

Przyjrzałem się mapie Azji i wskazałem palcem wyspę Bali - miniaturowy punkt oddzielony wąską cieśniną od Jawy. Osoba wrażliwa na piękno i wspaniałości przyrody nie znajdzie nic lepszego. Wystarczy, że Tina wypożyczy motorower - w tym momencie Roland popatrzył na mnie sceptycznie - a przeniesie się do rajskiego ogrodu, jaki tworzą pola ryżowe, lasy, wulkany, strome brzegi, plaże. Cały krajobraz Azji skupiony na wysepce mniejszej od Korsyki.

Roland nie był zachwycony. Uważał, że to za daleko, a poza tym postrzegał Bali jako miejsce dobre dla luksusowych lasek, coś jak Goa czy Saint - Tropez. Przez kwadrans przekonywałem go, jak bardzo mylny jest ten stereotyp. Znam wyspę na wylot, mamy tam wakacyjny dom, gdzie od dziecka spędzam miesiąc w roku, mój jedyny przyjaciel mieszka tam na stałe i na pewno pomoże zorganizować tej biednej Tinie idealne wakacje.

Kiedy wyszedł, byłem gotów założyć się, że nie piśnie o tym słowa głównej zainteresowanej. Będzie się bał, że siostrze pomysł się nie spodoba, poczuje się dotknięta, iż coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy. „A dzieci?” - zapyta go z wyrzutem w oczach.

Zadzwoił do moich drzwi w następną sobotę rano. Tina zgodziła się wyjechać. Chciał zorganizować wszystko jak najszybciej i wręczyć jej bilet na samolot, zanim się rozmyśli. Poczęstowałem go kawą, a on opowiedział, jak to się odbyło. Był z siebie dumny.

Najpierw, co było do przewidzenia, zapytała: „A dzieci?”. Niezrażony, kazał jej spojrzeć prawdzie w oczy, przekonywał o konieczności wyjścia ze ślepej uliczki, w jakiej się znalazła, i przeciwdziałania temu w taki czy w inny sposób. Dzieci nie stanowią problemu: chłopcy mają czternaście i szesnaście lat, a on z bratem - ich wujowie - już i tak z nimi mieszkają. Przecież - uprzytamniał jej - przez ostatnie osiem miesięcy niewiele czasu spędzała z chłopcami. Tak długo naciskał, aż w końcu mu się udało przyznać, iż jej wyjazd i dłuższa nieobecność niewiele zmienią w ich życiu, wręcz przeciwnie - nie będą oglądać płaczącej całymi dniami matki.

Z braku argumentów, niczym chore dziecko przyjmujące podawane mu lekarstwo, Tina zgodziła się w końcu. Zresztą - zapewniał ją - gdyby dopadła ją tam jeszcze większa rozpacz, w każdej chwili może wrócić.

O wymuszonej na niej decyzji trzeba było jeszcze powiedzieć synom. Tina wyplakała już wszystkie łzy. Chłopcy nie kryli sceptycyzmu. Jak mama wyobraża sobie poprawę samopoczucia z dala od nich?

W poniedziałek podróż była zabukowana. Tina wylatywała w sobotę. Udałem się z Rolandem do biura podróży i zarezerwowałem bilety w obie strony; powrotny bez daty. Prosił, żebym załatwił wszystko najlepiej jak to możliwe, nie licząc się z kosztami, a ja zachowałem umiar. Dokonałem rezerwacji tylko w dwóch hotelach na pierwszy tydzień jej pobytu - potem zdecyduje sama. Na początek dwie doby w luksusowym hotelu na południowym wybrzeżu, z ogrodami tarasowymi zawieszonymi na klifie, z widokiem na

Ocean Indyjski. Następnie zwykły hotel w mieście, dwa kroki od plaży, w uroczej niewielkiej miejscowości Legian. Niech zobaczy trochę życia; o tej porze roku ulewne deszcze odstraszały turystów i każdy niespodziewany gość jest mile widziany.

Chciałem ułatwić Tinie zwiedzanie, wsunąłem więc do koperty plan Bali, na którym zaznaczyłem flamastrem trasy oraz warte zobaczenia świątynie, zapisałem też balijski numer telefonu mojego przyjaciela.

Żegnając się po wyjściu z biura podróży, Roland powiedział: „Do jutra”. Nazajutrz odbywał się bowiem koktajl z okazji otwarcia jego nowego sklepu. Zaproszenie otrzymałem już dziesięć dni temu.

- Poznasz Tinę. Zobaczysz, jaka jest piękna.

Uśmiechnąłem się. Jako że Roland nie był Apollem Belwederskim, całkiem logicznie uznałem, że jego siostra nie jest Wenus z Milo. Choć nie powiem, że nie byłem zaintrygowany perspektywą poznania osoby, której historia mnie poruszyła, a pośrednio także dotyczyła. W końcu wkroczyłem przecież w życie tej kobiety. Wysyłałem ją na drugi koniec świata, w miejsce bliskie mojemu sercu, nic więc dziwnego, że byłem ciekaw, jak wygląda. Nic poza tym. Nie przewidziałem tego, co potem nastąpiło.

Nazajutrz udałem się pod wskazany na zaproszeniu adres. Zastąpiłem tam już z setkę paplających i sączących wino gości. Zgiełkowi akompaniowała ballada zespołu Scorpions.

Sklep miał trzykrotnie większą powierzchnię niż poprzedni. Teraz, oprócz płyt i kaset, były tu także nuty, partytury, fotosy i instrumenty. Pokręciłem się chwilę na pięterku wśród klarnetów, trąbek i gitar. Chociaż nie gram na żadnym instrumencie, rozmarzyłem się na widok otwartych fortepianów, jakby szykujących się do lotu.

Właśnie miałem zejść na dół, kiedy natknąłem się na Rolanda. Był cały w nerwach. Pogratulowałem mu nowego lokalu i natychmiast ostudziłem entuzjazm w swoim głosie, zauważając zgryźliwie, że muzyka Scorpionsów nie tworzy najlepszego klimatu i niezbyt pasuje do tego typu imprezy. Niezrażony, odpowiedział, że za nic w świecie nie wybrałby innej muzyki na inaugurację dzisiejszego wieczoru; Tina i on już jako nastolatki byli fanami Scorpionsów. Wypowiadając jej imię, przypomniał sobie:

- Muszę ci ją przedstawić! Chodź, jest na dole.

I tak poznałem ją przy fokstrocie grupy Scorpions. Od tego czasu lubię ten zespół.

Zeszliśmy po kilku stopniach i wtedy ją zobaczyłem: znajdowała się jakieś dwadzieścia metrów od nas - wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to jest Tina. Roland też ją namierzył i pociągnął mnie w jej stronę, ale w tłumie straciłem go z oczu i nie przyszło mi do głowy, że ta kobieta, której olśniewającej urody twarz zrobiła na mnie tak piorunujące wrażenie, może być jego siostrą, ponieważ rażony gromem zapomniałem o jego istnieniu.

Dopiero widząc, jak uśmiecha się do Rolanda, zrozumiałem; w jednej chwili wszystkie elementy układanki ułożyły się w całość. Oniemiałem z wrażenia.

*

Była cała na czarno: dzinsy, żakiet, podkoszulek, tenisówki. Zastanawiałem się, czy to z powodu żałoby. Głęboka czerń bez ozdób - wyglądała w tym szykownie, ale na szpilkach, w obcisłej sukni z czerwonej lamy, z cekinami i odpowiednią biżuterią też nie byłoby źle.

Roland przedstawił mnie siostrze, ona wypowiedziała zdawkowe „Mnie również” i podziękowała za zorganizowanie podróży. Odpowiedziałem banalnie, że to nic takiego, mam nadzieję, że jej się spodoba, na co ona, kontynuując rozmowę, pogratulowała Rolandowi sklepu, a ja słuchałem tego, starając się nie wpatrywać w nią jak w obraz Madonny.

Płakała nie dalej niż przed paroma godzinami. Była tak szczupła, że pod żakiem widoczne były sterczące kości ramion, paliła zapamiętałe i nerwowo, bijący od niej niepokój udzielał się i rozdzierał serce. A jednak bez trudu wyobraziłem ją sobie taką, jaka była „przedtem” - olśniewająca i promienna - i jaka wkrótce będzie, gdy dzięki mnie wyjdzie z tego tunelu. Mimo podkrążonych oczu, mimo grymasu wokół ust świadczącego o długotrwałym smutku, z jej twarzy emanowała siła i woła walki. Tak, w tej chwili leży na deskach, ale sędzia nie policzył jeszcze do dziesięciu, ma więc czas, żeby się podnieść, i wkrótce to zrobi.

Zaprzagnąłem zobaczyć jej dłonie - mam słabość do kobiecych dłoni. Wiedziałem, że będą boskie. Podniosła papierosa do ust i omal nie padłem z wrażenia. Przeczucie mnie nie myliło. Palce wskazujący i środkowy, w których trzymała papierosa, były fantastycznie długie, o delikatnych palczkach i paznokciach.

W moim życiu były sprawy, których nie załatwiłem, ponieważ nie chciałem ścisnąć dłoni o wybrzuszonych paznokciach, były czarujące kobiety, które zignorowałem, byli też uprzejmi i mili kupcy, których unikałem z powodu zbyt

krótko przyciętych albo za długich paznokci. Natomiast jej były absolutnie idealne: ani za długie, ani za krótkie, opiłowane w piękny owal, wyrastające dokładnie milimetr ponad palce.

Ze wszystkich dłoni, jakie dotąd widziałem, te nie miały sobie równych. Były zachwycające. Podobnie jak z całej postaci emanowało z nich piękno, dobroć i wrażliwość.

W pewnej chwili podszedł do niej jakiś nastolatek i pociągnął na piętro. Przeprosiła z taką miną, jakby chciała powiedzieć: „Sam pan widzi, kto tu rządzi”. Życzyłem jej udanej podróży, na co odpowiedziała: „Dziękuję” i odeszła, trzymając chłopca za rękę. Miała nieskończenie długie nogi, bardzo szczupłe, poruszała się energicznie, torując sobie drogę wśród tłumu rozstępującego się przed nią jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

Wypuściłem wstrzymywane dotąd powietrze z płuc. Wiedziałem, że ją odnajdę, choć teraz zniknęła mi z oczu.

W sumie nasze pierwsze spotkanie nie trwało dłużej niż dwie minuty. Wystarczająco długo, żebym stracił dla niej głowę.

Było to tym bardziej zadziwiające, że o miłosnych porywach miałem raczej mgliste pojęcie. Kilka razy, zwłaszcza w młodości, doświadczyłem czegoś, co można by nazwać zalążkiem miłości, ale z pączka nie rozwinął się kwiat, więc z czasem przyzwyczaiałem się do myśli, że wielka miłość nie jest mi sądzona, i nawet o niej nie marzyłem. W wieku czterdziestu siedmiu lat pozostawałem bezdzielnym kawalerem i pogodziłem się z tym.

Wracając wieczorem do domu, doznawałem nedorzecznej euforii. Nie szkodzi, że w tym przypadku płonna jest nadzieja na szybkie i jednoczesne rozprzestrzenienie się ognia, nie myślałem o cierpieniach, jakich doznawała z miłości do innego mężczyzny, ani o tych, które staną się moim udziałem.

Spotkałem moją księżniczkę z bajki i z góry wiedziałem, że nie będzie łatwo porwać ją na białego konia.

Sposób, w jaki przeżywała śmierć męża, sprawiał, że postrzegałem ją jako wyjątkową osobę, zdolną do nadzwyczajnej miłości. Naprawdę wymarzona kobieta. Co z tego, że okazała mi nie więcej zainteresowania, niż gdyby patrzyła na rower. Nie cierpiałem z tego powodu.

Nic, żadna myśl nie była w stanie ostudzić mojego zapału. Szalałem z radości, i nie są to ciche słowa. Szalałem z radości, że spotkałem ją na swojej drodze życia, szalałem z radości, bo wiedziałem, że będzie to nasza wspólna droga.

W dniu jej wyjazdu, w chwili gdy miał wystartować 757, byłem u siebie i siedziałem z zamkniętymi oczami. Wyobraziłem sobie przeraźliwy huk silników, drżenie samolotu, który kołuje, a potem pędzi coraz szybciej po pasie startowym, i ją, jak trzyma się poręczy fotela, a potem to, co najbardziej lubię - niesamowite uczucie wbijania pleców w oparcie fotela, kiedy maszyna odrywa się od ziemi. Nigdy nie odbywała tak długiego lotu, więc zdziwiłbym się, gdyby nie była przerażona. Zastanawiałem się, czy obejrzy film, czy zdrzemnie się trochę albo zaśnie na dłużej, czy posłucha muzyki, a jeśli tak, to jakiej - czy wzięła ze sobą walkmana, płyty, kasety?

Miałem nadzieję, że o świcie niebo będzie błękitne, pod samolotem rozwinie się dywan z białych obłoków, w blasku wschodzącego słońca iskrzących się jak śnieg. Niektórzy nawet przy trochę mniej wzniosłym widoku zaczęli wierzyć w istnienie Boga.

Wybrałem dla niej najkrótszą trasę: Marignane - Roissy, Roissy - Denpasar, z przesiadką w Paryżu. To dopiero będzie przeżycie, kiedy wysiądzie tam w biały dzień i zanurzy się w upalnym, stojącym powietrzu! Całkowicie nowe doświadczenie, ponieważ nigdy nie zapuściła się dalej niż do Madrytu czy Rzymu. Dałbym wiele, żeby zobaczyć jej minę w tym momencie.

Cierpiałem, że nie mogę jej towarzyszyć, ale nie chciałem narzucać się od razu po przyjeździe. Byłoby to niegrzeczne. Postanowiłem uzbroić się w cierpliwość i dołączyć do niej po dwóch tygodniach, o ile nie wróci wcześniej do domu. Obawiałem się tego, bo to by oznaczało, że mój pomysł był chybiony, nie spodobało jej się tam i opuści wyspę równie złym stanie, w jakim wyruszyła.

Żeby nad nią czuwać i na bieżąco śledzić rozwój sytuacji, opracowałem z Michele, moim przyjacielem, który osiedlił się na Bali, dokładny plan jej pobytu. Mogłem na niego liczyć; wiedziałem, że podejdzie do sprawy poważnie i z dyskrecją.

Michel ma pięćdziesiąt lat i jest niewysokim, krępy męczyzną, o zakazanej gębie i oczach Paula Newmana. Poznałem go w końcu lat siedemdziesiątych, kiedy zamieszkał w Kucie. Odtąd widywaliśmy się w rytmie moich pobytów na wyspie - dwa czy trzy razy w roku. Nasze domy są oddalone od siebie o trzy godziny jazdy motocyklem, więc zawsze, ilekroć byłem u niego na kolacji, zostawałem na noc.

Osiem lat temu w życie Michela wkroczyła Catherine, ładniutka i bystra brunetka, młodsza od niego o dwadzieścia lat. Ustatkował się przy niej, porzucając dość rozwiąły tryb życia. Przed sześcioma laty urodziła im się córeczka Lou, a ja zostałem jej ojcem chrzestnym.

Michel załatwił z właścicielem hotelu, że zamiast hotelowego kierowcy na lotnisko po Tinę pojedzie Wayan - jego zaufany człowiek, przywiezie ją na miejsce i zaoferuje swoją pomoc, gdyby zechciała zwiedzić miasto.

Mój przyjaciel Michel zadzwonił jeszcze tego samego wieczoru. Oddał słuchawkę Wayanowi, który zrelacjonował mi półgodzinną jazdę z Tiną. Wyciągnąłem z niego każdy, nawet najdrobniejszy szczegół.

Ponieważ nie zgłosiła żadnego bagażu, a jej jedyna torba była na tyle mała, że mogła ją zatrzymać na pokładzie, pierwsza opuściła salę przylotów. Już ta wiadomość mnie uradowała - Tina, podobnie jak ja, była zwolenniczką fly light, czyli podróżowania bez bagażu.

Mknęli szosą przy zachodzącym słońcu. Bali leży w strefie równikowej, więc o szóstej, niezmiennie przez cały rok, robi się tam ciemno. Wayan nawet nie starał się zabawiać jej rozmową, była bowiem zbyt pochłonięta spektaklem

rozgrywającym się za oknami samochodu: obłądnym ruchem w Denpasarze, dżunglą, mijanymi wioskami, oceanem... zaproponował jedynie, żeby posłuchała muzyki; zdumiało ją, że płyty są tak uporządkowane i sprytnie ukryte w drzwiach chevroleta i poręczach foteli. Wybrała Scorpionsów - nalegałem, żeby Michel kupił kilka ich płyt, i dobrze zrobiłem. Wyobraziłem sobie jej zdumienie, kiedy usłyszała swoją kultową muzykę piętnaście tysięcy kilometrów od domu. Wkrótce zorientuje się, że to nic dziwnego: Scorpionsi są znani i podziwiani w całej Azji, słysząc ich na każdym kroku.

Wayan nie miał wątpliwości, że doceniła przejażdżkę w luksusowej limuzynie, toczącej się przez dżunglę z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. W pewnej chwili otworzyła okno i wystawiła rękę na zewnątrz, żeby poczuć na skórze podmuch ciepłego powietrza. Na szczycie wzgórza uśmiechnęła się na widok morza rozciągającego się aż po horyzont. Błękitne fale zaczynały różowieć w promieniach zachodzącego słońca. Obliczyłem, że gdy po przyjeździe do hotelu wyjdzie na taras, zobaczy jeszcze, jak złocista kula zanurza się w oceanie. Z pewnością poczuje się wtedy bardziej samotna niż kiedykolwiek. Na początku, bez ukochanego męża u boku, całe to piękno i harmonia przyrody będą sprawiać jej ból. To nieuniknione.

Gdy trzeciego dnia Wayan odwoził Tinę do drugiego hotelu o nazwie Stella, Michel i Catherine umówili się z nim, że spotkają się na skrzyżowaniu. Korciło ich, żeby ją zobaczyć. Nie chcieli czekać, aż im ją przedstawię. Siedząc na motorze, obejrzel ją sobie, kiedy mijała ich chevroletem. Łaskawie nie powiedzieli mi tego od razu, ale i tak wiedziałem, że według nich jest dla mnie zbyt piękna. Była zbyt piękna dla każdego mężczyzny na świecie.

Wayan wręczył napiwki całemu personelowi Stelli za informacje o wszystkich wyjściach i powrotach Tiny. Dzięki temu wiedzieliśmy, jak spędza czas. Upewniliśmy się też, że monotony program dnia nie budzi żadnych obaw. Dzień zaczynała o siódmej śniadaniem na balkonie od strony morza. Około dziesiątej schodziła na plażę, spędzała tam trzy godziny, po czym wracała do hotelu, skąd wychodziła dopiero przed zachodem słońca, żeby z tarasu kawiarni, gdzie popijała koktajl mleczny z owocami, obserwować, jak słońce chowa się za horyzont. O szóstej, kiedy robiło się ciemno, szła spacerkiem na kolację do miasta. O wpół do dziewiątej była już w swoim pokoju. Koło północy schodziła jeszcze raz na plażę i przez kwadrans przechadzała się brzegiem morza, spoglądając w rozgwieżdżone niebo. Potem najprawdopodobniej pisała listy do dzieci, ponieważ co rano wrzucała grubą kopertę do hotelowej skrzynki. Za to rzadko do nich telefonowała. Tylko dwa razy w ciągu pierwszych dziesięciu dni.

Plan dnia Tiny niewiele różnił się od trybu życia, jaki by prowadziła, gdyby nie dźwigała ciężaru smutku i przybyła tu, jak większość ludzi, odpocząć i zrelaksować się. Pokazywał, co najważniejsze, że czuje się na wyspie lepiej niż tutaj: zajmowała się sobą, wyrobiła sobie pewne nawyki, wychodziła, włączała się w życie. Po tak krótkim czasie nie można się było spodziewać niczego więcej.

Po kilku dniach wypożyczyła rower i wyprawiała się na nim na oddaloną od hotelu plażę. Właśnie ten fakt sprawił, że podjąłem decyzję dołączenia do niej wcześniej, niż planowałem. Spakowałem torbę i udałem się na lotnisko Marignane.

Nazajutrz rano przelatywałem nad Oceanem Indyjskim. Początkowo nad ziemią unosiło się morze cumulusów. W chwili gdy samolot przechodzi z bieli w błękit, człowiek ma

wrażenie, że znalazł się w niebie. Upajałem się tym uczuciem bardziej niż zwykle: po raz pierwszy leciałem do niej.

Odtąd w moim życiu będą tylko dwa rodzaje lotów - te, które mnie do niej zbliżają, i te, które mnie od niej oddalają. Dane mi było zacząć od tego pierwszego.

Wylądowałem o tej samej godzinie co ona dwanaście dni wcześniej. Michel i Catherine wyjechali po mnie na lotnisko. W drodze opowiadali mi, co porabiała Tina w czasie, gdy przemierzałem świat, spiesząc na spotkanie z nią. Michel był jakiś nieswój. Okazało się, że Wayan zawiózł Tinę do Tanah - Lot, świątyni oddalonej dwadzieścia kilometrów od Legianu, zbudowanej na wysuniętej daleko w morze grobli, w którą biją fale. Hinduistyczne świątynie na Bali znajdują się na terenie rozległych parków, obfitujących w przeróżne budowle, ołtarze i zbiorniki wodne. Tam, w strugach deszczu, przy wzburzonym oceanie, Tina przepłakała dwie godziny.

Wayan nie ośmielił się do niej zbliżyć. Kiedy zamykano świątynię, do Tiny podszedł mnich. Chwilę z nią porozmawiał, a potem odprowadził do chevroleta. Widocznie potrafił do niej przemówić, ponieważ w samochodzie już nie płakała.

Nagle naszły mnie czarne myśli.

Nie znałem jej prawie, widziałem ją przez kilka minut podczas koktajlu. Nie myślałem o sobie ani o naszej przyszłości, liczyła się tylko chwila obecna i to, że Tina była nieszczęśliwa. Wiedziałem, że nie jestem księciem z bajki, że ona nie pozbędzie się depresji, zakochując się we mnie. Najpierw musi przebić się przez zasłonę zaciemniająca świat. Marzyłem, żeby jej w tym pomóc, pragnąłem tego z całego serca, ze wszystkich sił. Dla mnie najważniejsze było nie to, żeby mnie pokochała, ale żeby wreszcie przeżyła jeden dzień bez płaczu.

Teraz trzeba działać. Doprowadzić do spotkania. Już na samą myśl o tym czułem kulę w żołądku, ponieważ tak czy inaczej będę musiał kłamać. Przecież nie rzucę się jej na szyję i nie powiem wprost, jak zmieniła moje życie!

Dzień po przyjeździe Michel podrzucił mnie do starego Nagiba, u którego wypożyczyłem motocykl. Na drugim końcu Legianu czekała na mnie na plaży Tina. Był dwudziesty piąty dzień miesiąca - dwa plus pięć równa się siedem, siódemka to moja szczęśliwa liczba, więc nic złego nie może się zdarzyć.

Siódemka odegrała ważną rolę w przyspieszeniu mojego wyjazdu. Gdy uświadomiłem sobie, że przed siódmym następnego miesiąca nie będzie ani jednego dnia z siódemką, nie wahałem się ani chwili. Musiałem uszanować szczęśliwy zbieg okoliczności: moje pierwsze spotkanie z Tiną nastąpiło siódmego marca 1995 roku, a więc dana mi była nie tylko ta okrągła siódemka, ale na dodatek suma wszystkich liczb tej pomyślanej daty - 7, 3, 1, 9, 9, 5 - wynosiła 34, czyli 3 plus 4... znów 7! Nie byłem gotowy do zmiany mojej faworytki.

Miasto budziło się do życia. Jechałem Jalan Pantai, bulwarem nadmorskim Kutu, czymś w rodzaju la Croisette w Cannes. Niebo było w kolorze fluoryzującego błękitu. Słońce ledwo weszło nad horyzontem, a już kilku surferów czekało na pierwsze fale. W mojej głowie kłębiły się myśli, tak że miałem trudności z jednoczesnym prowadzeniem motocykla i oglądaniem pejzażu. Zatrzymałem się więc, usiadłem na ławce i zapatrzyłem się na morze i surferów. Już jako dziecko podziwiałem ten spektakl i nie sądzę, żeby mi się kiedykolwiek znudził. Uwielbiam euforyczny stan, w jaki wprawia mnie ten widok.

Patrząc trzeźwo na sytuację, można by sądzić, że z radości powinienem wskoczyć na ławkę i zastępować jak Gene Kelly. Nie tylko znajdowałem się znowu na mojej ukochanej wyspie - to by wystarczyło, aby dziękować niebiosom - ale w dodatku jechałem na spotkanie z kobietą mojego życia. Ona tutaj! Ze mną! Za taki dar gotów byłem wybaczyć losowi wszystkie świństwa, jakie mi wyrządził, i z góry darowałem te, które mi szykował. Nie zamierzałem lamentować, gdyby przyszło mi słono za wszystko zapłacić.

Jednocześnie mówiłem sobie, że przebyłem połowę, a może nawet dwie trzecie mojej ziemskiej drogi i nigdy nie byłem zakochany do szaleństwa, nie zaznałem radości życia we dwoje, nie spłodziłem dzieci i nie patrzyłem rozkochanym wzrokiem, jak rosną, i w ogóle nic z tych rzeczy, więc nawet jeśli mi tego nie brakowało - generalnie jestem zadowolony - byłoby przecież sprawiedliwie, gdyby teraz przyszła kolej i na mnie.

Dosiadłem rumaka i pognałem na spotkanie z moją księżniczką, myśląc o tysiącu szczegółów, których się o niej dowiem, choćby tylko na podstawie sposobu, w jaki spędza czas na plaży. Czy należy do osób, które kąpią się często i długo? Czy może wejdzie do wody tylko po to, żeby się odświeżyć? Czy będzie czytać, spać, słuchać muzyki? Czy posmaruje się kremem do opalania? Jak zachowa się wobec wędrownych handlarzy, oferujących plażowiczom prażoną kukurydzę, ananasy, świecidełka, zegarki, książki, biżuterię?

Pewny, że wszystko mnie w niej zachwyci, nie mogłem doczekać się chwili, kiedy poznam jej osobowość, sposób bycia, dowiem się, co ją bawi, a co nudzi, czy jest rannym ptaszkiem czy nocnym markiem, Rybą czy Wodnikiem, działa wolno czy szybko, lubi szampana czy wódkę, jest zimna czy ciepła - wszystko! Moje podekscytowanie było niepokojące. Spotkanie z tą kobietą nie trwało dłużej niż dwie minuty, ona

była gotowa umrzeć z miłości do innego mężczyzny, a ja widziałem już nas jako gruchające gołąbki! Ale nawet jeśli mi odbiło, jeśli Tina nigdy mnie nie pokocha, jeśli po tym wszystkim zostanę wrakiem, nie szkodzi. Ponieważ, niezależnie od tego, co się dobrego czy złego wydarzy, stała się motorem i celem mojego życia, punktem odniesienia. Odtąd z radością przyjmuję swój los.

Gdy dostrzegłem tablicę z napisem Rose Bar, trybiki w moim mózgu kazały mi się zatrzymać: tutaj zaczynała się jej plaża. Szedłem bez pośpiechu, przyglądając się z uwagą ciałom na piasku.

Wypatrzyłem ją już z daleka. Szła szybkim krokiem w stronę oceanu. Miała na sobie prosty jednoczęściowy czarny kostium. Przystanąłem i patrzyłem na nią. Wielkimi susami wbiegła śmiało do wody, znikła pod falą, potem wynurzyła się i popłynęła stylem klasycznym, ładnie, bez zbędnych rozbryzgów. Ucieszyłem się, że lubi wodę. To dobra nowina. Jestem spod znaku Wodnika, uwielbiam się kąpać, nurkować, pływać. Chciałbym jak najszybciej znaleźć się z nią wśród błękitnych fal.

Uświadomiłem sobie, że nie potrafię powiedzieć, jak jest zbudowana. Widziałem ją idącą w kostiumie kąpielowym nie dłużej niż dziesięć czy dwadzieścia sekund, więc nie wiedziałem, czy pośladki ma okrągłe, czy jest szeroka w biodrach, jakie ma łydki - smukłe czy umięśnione - czy jej piersi są ciężkie, czy drobne. Nie zarejestrowałem tego, zbyt poruszony, że ją widzę, zbyt szczęśliwy, że ona istnieje. Zmieniało się całe moje życie, moje postrzeganie świata, byłem jak nowo narodzony, jak dziewica, jak niezapisana karta.

Tina płynęła na pełne morze, nurkowała pod falami ze złączonymi nogami jak syrena. Zatrzymała się dopiero sto metrów od brzegu, w miejscu, gdzie tworzą się duże fale i

następnie przełamują. Za małe dla poważnych surferów, ale bądź co bądź wznoszące się nawet do wysokości dwóch metrów. Poza miejscową dzieciarnią niewielu kąpiących zapuszcza się aż tak daleko. Nie wierzyłem własnym oczom: Tina czekała na swoją falę.

Już jako dziecko lubiłem tę zabawę. Wypatrywało się i wybierało tworzącą się falę i nurkowało pod nią, gdy się przełamywała. Trzeba tylko dobrze do niej podejść, wtedy poniesie człowieka na grzbiecie jak mustang, i to jest upajające. Jeśli się źle podejdziesz, fala skotłuje i wytarłosi śmiałka z niewiarygodną siłą. Wrażenie jest niesamowite, jakby się miało rozlecieć na drobne kawałki. Nie można wydostać się na powierzchnię, póki fala nie rozbije się o brzeg, i w tym czasie myśli się, że to ostatnie chwile w życiu.

Wypatrzyłem zbliżającą się dobrą falę. Tina jej nie przepuściła. Dała nura i płynęła równo z nią w stronę plaży, z wyciągniętymi przed siebie ramionami, utrzymując się na spienionej powierzchni. Byłem przerażony, że tak ryzykuje, jakby nic sobie nie robiła z potęgi oceanu. Podniosła się na nogi. Woda sięgała jej do kolan. Wróciła na głębinę i powtórzyła to samo, ale tym razem zakończyła kąpiel. Gdy szła do sarongu w granatowe i białe pasy, rozłożonego na granicy wilgotnego i suchego piasku, nie omieszkałem jej się przyjrzeć. Była wysoka, delikatna, krucha, nieomal chuda. Piękna nawet z daleka.

Położyła się na plecach i w przeciwieństwie do ośmiu na dziesięć kobiet wokół niej nie opuściła górnej części kostiumu. Z zadowoleniem odnotowałem, że pani mojego serca nie jest z tych, co to obnażają piersi na publicznej plaży. Bardzo bym nie chciał zobaczyć ich teraz i w takich okolicznościach.

Dwie minuty później podniosła się, włożyła popielaty podkoszulek, posmarowała nogi kremem, wyjęła z torby

słuchawki i wetknęła je w uszy, pogrzebała w niej, szukając walkmana, włączyła go, zapaliła papierosa i położyła się na brzuchu. Każdy jej ruch budził zachwyt. Byłem nią zafascynowany. Usadwiłem się w głębi plaży, sto metrów od niej, skąd nic nie mogło ujść mojej uwagi.

Po kwadransie znów poszła się kąpać i podobnie jak za pierwszym razem zaliczyła dwie fale. Powtarzała ten rytuał przez trzy godziny. Piętnaście minut na słońcu, dziesięć w wodzie; jej rytm bardzo mi odpowiadał.

W porze lunchu zatrzymała sprzedawczynię prażonej kukurydzy. Od kolejnej kupiła ananasa. W trakcie obierania i krojenia owocu rozmawiała z handlarką, uśmiechając się. Zjadła całego ananasa, plaster po plastrze, siedząc na piasku z rozstawionymi nogami, spoglądając na morze, ze słuchawkami w uszach. Widziałem, jak wybija rytm piętą.

Wszystko, co dotychczas robiła, a czego byłem świadkiem, napawało otuchą i dobrze rokowało. Miała apetyt, uwielbiała słońce i wodę, słuchała muzyki, rozmawiała z ludźmi, uśmiechała się. Po prostu żyła.

Okolo pierwszej wyciągnęła czarne spodnie z torby, która służyła jej za podglówek, i wstała, żeby je włożyć. Kupiła je już na miejscu, bo były lekkie i luźne, powiewały na wietrze jak spódnica. Otrzepała sarong z piasku i zarzuciła na ramię jak Hinduska, po czym poszła w kierunku drogi, tam gdzie zostawiła rower. W moją stronę.

Naiwnie wykombinowałem, że w ciągu pięciu minut rozegram zaplanowaną scenę: wsiądę na motocykl, zaparkowany dość daleko od rowerów, i wyjadę jej naprzeciw.

Siedząc na motocyklu, obserwowałem z odległości dwustu metrów, jak zdejmuje blokadę zabezpieczającą rower przed kradzieżą, jak zaczyna pedałowac. Zbliżałem się do niej powoli, z obojętną miną, omiatając wzrokiem tarasy restauracji i plażę, jak bym kogoś szukał. Jeśli nie miałem zacząć od kłamstwa, wystarczyło powiedzieć: „Dzień dobry, szukałem pani”. Postanowiłem poprzestać na „dzień dobry”, a dalej improwizować.

Nadjeżdżała. Na nosie miała okulary przeciwsłoneczne. Nie wiedziałem, czy na mnie patrzy. Gdy się mijaliśmy, spojrzałem na nią z miną wyrażającą zdziwienie: „Pani tutaj?”.

Przejechała, nie zauważyła mnie. Mój przyklejony uśmiech zawisł w próżni. Falstart.

Los okazał się lepszym scenarzystą ode mnie i wymusił odejście od obłudnej gry i udawania, że jestem zaskoczony jej widokiem, podczas gdy doskonale wiedziałem, że ją tu zastanę. Zawróciłem, podjechałem do niej z tyłu, zrównałem się z rowerem i rzuciłem głośne „dzień dobry!”, bardziej spontaniczne, niż zamierzałem.

Odwróciła się w moją stronę i zapewne pomyślała: „Coś ty za jeden?”. Trwało to dwie sekundy, nie dłużej, a potem mnie poznała.

- Och! Dzień dobry!

- Jak się pani miewa?

Scena jak z Szekspira.

Usunęliśmy się z chodnika. Nie zsiadłem z motocykla, ona nie zeszła z roweru.

- Bardzo się cieszę ze spotkania - bąkałem. - Miałem nadzieję... widzę, że jest pani w dobrej formie...

Uciekałem się do eufemizmów. Wyglądała powalająco, gubiłem się, wykorzystywałem najwyżej trzy procenty moich możliwości, ale tego nie mogła wiedzieć. Byłem wściekły, że

widząc mnie tutaj, na tym żółtym motocyklu, obezwładnionego gwałtownym uczuciem, które chciałem ukryć, uzna te konwencjonalne słowa za szczyt moich intelektualnych możliwości.

- Doskonale... - odpowiedziała i jej oczy rozświecił uśmiech. - Bardzo mi się tu podoba... Morze, atmosfera, ludzie... To był świetny pomysł.

Byłem bliski omdlenia, bałem się, że to zauważy. Podziękowała mi jeszcze za wybór hoteli, na co mruknąłem: „Tym lepiej, tym lepiej”. Była niemal radosna, można by rzec, że to ja dopiero co straciłem miłość swojego życia, a tymczasem znalazłem ją, miałem ją przed sobą.

- A co u pana? Roland mówił, że od dawien dawna ma pan tu dom.

Zapamiętała szczegół, o którym napomknął jej brat całe trzy tygodnie temu! Gdybym nie był zamulony jak jakiś przygłup, popisałbym się numerem ze stepowaniem, a tak wybąkałem tylko, że zatrzymałem się u przyjaciół, ponieważ mój dom znajduje się na wschodnim wybrzeżu, trzy godziny drogi stąd.

Nigdy nie przypuszczałem, że przyjdzie mi wystąpić w charakterze spłonionej panienki. W jednej chwili zrezygnowałem z pierwotnego planu zaproszenia jej na szklaneczkę wina. Nie odmówiłaby, ale wolałem zachować się maksymalnie na luzie, udać faceta, któremu cholernie się spieszy: lepiej skłamać niż się pograć.

- Przepraszam, ale na mnie pora... Byłbym zachwycony, gdyby...

Nie miałem prawa tak odejść, nie zaproponowałem jej spotkania. Uchwyciłem się więc pierwszego pomysłu, jaki mi przyszedł do głowy.

- Moi przyjaciele wydają wieczorem kolację. Nie przyszłaby pani? Będziemy w wąskim gronie... - Propozycja

zaskoczyła Tinę, wahała się chwilę, a wtedy ja uprzedziłem jej odpowiedź. - Zadzwoń do pani około siódmej. Zdecyduje pani w zależności od nastroju. Tylko, broń Boże, proszę się mną nie krępować.

- Zgoda.

To słowo zważyło mnie z nóg. Było zachwycające.

- A zatem do usłyszenia i życzę miłego popołudnia. Ponownie uśmiechnęła się do mnie, a ja wykonałem nieznaczny pożegnalny ruch ręką, który pozostawiła bez odpowiedzi, i oddaliłem się dyskretnie, jeśli pominąć hałasującą jak traktor stodwudziestkępiątkę.

Wyglądałem groteskowo na tej zabawce. Czułem na plecach wzrok Tiny. Przestałem oddychać. Skręciłem w pierwszą ulicę z brzegu i wcisnąłem gaz do dechy. Chciałem się oddalić, i to szybko, potem zatrzymać się, zapalić papierosa i dojść do siebie, nie narażając się na to, że znów na nią wpadnę, a miałem do załatwienia coś naprawdę ważnego. Pomknąłem przed siebie, przez nagrzane słońcem ulice Legianu, wyludnione w porze sjeisty. Po chwili byłem już za miastem, pośród pól ryżowych. Zatrzymałem się przy stadzie bawołów, na szczycie wzgórza, skąd paląc papierosa, obserwowałem falujące na wietrze pędy ryżu. Nie padało już od czterech dni, co w marcu jest rzadkością, i zieleń zaczynała żółknąć.

Podsumowałem sytuację. Nie zabłysnąłem. Niewykluczone, że nazwała mnie w myślach kretynem.

Kontrast między burzą emocji a rezerwą, jaką musiałem zachować, paraliżował mnie, tak bardzo był sztuczny. Jeszcze w tej chwili serce waliło mi jak oszałałe. Dopatrzyłem się tylko jednej pozytywnej rzeczy: przynajmniej nie naprzykrzałem się jej. Ale czym tu się chwalić.

To ten jej uśmiech tak mnie zablokował. Podczas pierwszego spotkania tylko go markowała. Dzisiaj natomiast

w pełni rozwinęła swój uwodzicielski kunszt o powalającej sile oddziaływania. W ciągu dwóch minut pokazała kilka jego wariantów - od uśmieszku błakającego się w kącikach ust po rozchylone jak ćwiartki pomarańczy wargi. Wyobrażałem już sobie bardziej promienny uśmiech, w formie ogromnego banana albo tęczy, zarezerwowany na specjalne okazje. Przy nim nawet szeroki uśmiech Julii Roberts wyglądałby jak smutny grymas. Byłem wniebowzięty, kiedy mi dziękowała, bo uczyniła to absolutnie szczerze. Poczułem całym sobą ożywcze ciepło mikroskopijnych pozytywnych prądów wysyłanych przez nią specjalnie dla mnie. Nie mogłem się doczekać wieczoru.

Wymyśliłem tę kolację na poczekaniu. Gdybym zaproponował spotkanie we dwoje, naraziłbym się na odmowę. Tina, o której mówił mi jej brat, Tina, jakiej się domyślałem, nie zgodziłaby się na tête à tête z mężczyzną, którego prawie nie знаła. Nie mówiąc o tym, że w takiej sytuacji byłoby mi trudno ukryć emocje.

Czy to już jest to, co ludzie nazywają miłością? Jeśli wierzyć relacjom bliskich mi osób, filmom i literaturze, miłość jest irracjonalna, jest niemożliwym do rozeznania tajemniczym popędem. Wychodziło na to, że można kogoś kochać, nie angażując się do końca. Spotkać mężczyznę podłego lub brutalnego, kobietę zakłamaną lub przekupną i mimo wszystko pokochać. Mój przypadek wydawał się inny: namiętność i podziw, jakie ta nieprzeciętna kobieta we mnie wzbudzała, nie miały w sobie nic irracjonalnego. Drugiej takiej nie ma na całej kuli ziemskiej.

Nie czas na wyrażanie zdziwienia, że po tylu wiekach ewolucji liczba nadzwyczaj udanych okazów gatunku ludzkiego jest tak ograniczona. Na świecie znajdzie się może kilka tysięcy takich egzemplarzy obojga płci. Swoją drogą mężczyzna, którego Tina wybrała na męża, nie pomylił się -

postąpił tak jak ja i bez wahania złożył jej w ofierze swoje życie. Tak dobrze ją ukrywał, że przez dwadzieścia lat tylko nieliczni mieli okazję ją poznać, i jestem pewny, że wszyscy - mężczyźni i kobiety, którzy spotkali ją na swojej drodze - dostrzegli ze zdumieniem, że mają do czynienia z wyjątkową istotą, choć nie była ani święta, ani obdarzona nadzwyczajnymi właściwościami, ani skończenie doskonała. Jednym słowem kobieta z krwi i kości. Jeśli tak się szczęśliwie złoży, że przyjdzie dzisiaj wieczorem na kolację, jestem pewny, że takie samo wrażenie zrobi na Michelu i Catherine, nie mówiąc o pozostałych gościach. Moje prognozowanie co do jej decyzji o przyjęciu lub odrzuceniu zaproszenia zmieniało się co trzydzieści sekund.

Kiedy wróciłem do miasta, niebo było czarne. Michel siedział przed sklepem, z mrugającym nad nim neonem z napisem The Real Blue. W środku Wayan i sprzedawcy zrobili sobie sjestę na matach. O tej porze klienci rzadko tu zagląдают.

Mój przyjaciel wymyślił sobie, że będzie sprzedawał wszystko w niebieskim kolorze: dzinsy, ciuchy, prześcieradła, narzuty, fotele, serwety, zasłony, naczynia, figurki, butelki, sprzęt hi - fi, łóżka. Nawet narty, wystawione tu tylko ku ozdobie. Pierwszy taki interes Michel otworzył zaraz po przyjeździe do Kuty, a ponieważ przyniósł mu szczęście, pozostał mu wierny. Potem urządził jeszcze dwa podobne sklepy i wydzierżawił je Indonezyjczykom. Od tamtej pory przestał bywać we Francji.

- Spędziłeś z nią dzień? Opowiadaj, jak było! - wołał już z daleka, zanim jeszcze zsiadłem z motoru.

- Nie... Rozmawialiśmy tylko dwie minuty, zaraz potem odjechałem.

- Nawet nie poszliście napić się czegoś?

- Chyba nie była w odpowiednim nastroju...

- Jeśli tak się do tego zabierasz...

Usiadłem obok niego, w pokrytym dżinsem fotelu. Przypalił mi papierosa.

Powietrze zrobiło się prawie rześkie i nareszcie rozpuętała się burza. Po serii grzmotów, które z hukiem przetoczyły się nad nami, kiedy zdawało się, że niebo od Londynu po Sidney rozerwie się na pół, nastąpił potop. Uwielbiałem ten równikowy deszcz, ciepły i gęsty. Michel czekał, aż nawałnica się uspokoi, żeby zadać mi kolejne pytanie, ale ja byłem szybszy.

- Powiedziałem, że wydajecie dzisiaj kolację. Zaprosiłem Tinę.

Gdybym oznajmił, że Jagger i Dylan dadzą dziś koncert u niego w ogrodzie, nie byłby bardziej zadowolony.

- Przygotuję jej taką kolację, że padnie z wrażenia!

- Nie ekscytuj się tak. To jeszcze nic pewnego. Zadzwoń do niej o siódmej i dowiem się, czy przyjdzie.

- Myślisz, że lubi pikantne potrawy?

- Nie mam pojęcia.

- Domyśl się, skoro to jest kobieta twojego życia.

- Dobrze, uwielbia pikantne potrawy.

Michel wstał z fotela i podszedł do telefonu, aby przekazać wiadomość Catherine.

Spotkała się z nami na targu. Mój przyjaciel, niezrównany kucharz, miał dziesięć pomysłów na minutę, wywołujących niekończące się dyskusje na temat upodobań Tiny. Catherine nawoływała do zachowania umiaru, Michael był bowiem gotów zaryzykować i pójść na całość - upichcić dla niej węża w szatańskim sosie, granika szarego w kremie z ananasa - jednym słowem same dziwactwa i szaleństwa, które potrafią docenić jedynie wybredne podniebienia. Wróciliśmy do domu obładowani produktami. Można by z nich przygotować ucztę dla trzydziestu osób.

Zadzwoń do Tiny pięć po szóstej. Nasza pierwsza rozmowa telefoniczna. Byłem spięty.

Przerwała mi, ledwo zdążyłem się przedstawić. Uwielbiam jej głos. Przepraszała, ale nie przemyślała jeszcze mojej propozycji. Stawiłem dzielnie czoło zawołanej odmowie i nie dając jej dojść do słowa, opowiedziałem o Catherine i Lou, o kulinarnym talencie Michela, o ich pięknym domu z widokiem na góry. Wyczułem, że rozbawiło ją takie nagromadzenie argumentów, i w końcu wypowiedziała słowo, na które czekałem:

- Zgoda.

*

O dziewiątej dreptałem nerwowo tam i z powrotem przed hotelem. Przyjechałem po Tinę jeepem Catherine. Nasza pierwsza randka. Nasza pierwsza kolacja. Na Bali! Na taki prezent gotów byłem cierpliwie czekać nawet i pięć lat!

Z mroku wyłoniła się jej długa sylwetka i zbliżała się do mnie w świetle latarni. Czarne dżinsy, czarny podkoszulek, czarne tenisówki. Błyszczące włosy. Byłem już na najwyższych obrotach.

Przeprosiła za spóźnienie, chociaż przyszła chyba punktualnie. Żadne z nas nie nosiło zegarka. Uznałem to za jeszcze jeden dobry znak.

Otworzyłem przed nią drzwi samochodu, a ona wspięła się tak lekko, jakby ważyła kilkanaście kilogramów. Ruszyłem. Odwróciła się w moją stronę, a ja przestałem patrzeć na drogę.

- Rozmawiałam z chłopcami. Roland nie może się nadziwić, jak to się stało, żeśmy się spotkali.

- Domyślam się...

Zawsze mówię „domyślam się”, kiedy nie wiem, co powiedzieć. To nic nie znaczy.

- Prosił pana uściskać.

- Proszę go również uściskać ode mnie. Jak tam jego sprawy, wszystko w porządku?

- Tak, jest zadowolony. Powiada, że konkurenci są bliscy popełnienia samobójstwa.

- Jak bym go słyszał.

Kretyn na motorze zamienił się w kretyna w samochodzie, ale miałem to gdzieś. Ważne, żeby Tina czuła się przy mnie swobodnie.

Powietrze było ciepłe. Wjechaliśmy do centrum miasta. O tej porze na ulicach Legianu i Kuty - dwóch graniczących ze sobą gmin, które z czasem stały się jedną aglomeracją - panował szalony ruch. Zewsząd napływały tysiące

motorowerów. Wyczułem, że Tina jest trochę przestraszona. Zwolniłem.

- Chciałaby pani poznać treść fiszek?

Spojrzała na mnie, nie rozumiejąc. Musiałem doprecyzować.

- Mam na myśli charakterystykę. Chyba że woli pani niczego nie wiedzieć.

- Nie. Wolałabym wiedzieć.

W zwięzły sposób sportretowałem siedem osób zaproszonych na kolację. Tina słuchała z uśmiechem, o nic nie pytając.

Michel i Catherine mieszkają piętnaście kilometrów za miastem, na wzgórzu wśród pól ryżowych i lasów. Z radia popłynęły dźwięki indonezyjskiego fokstrota. Miałem ochotę wyciągnąć didżeja za to, że puścił tę piosenkę w chwili, gdy pierwszy raz wiozłem Tinę przez Kutę. Przy refrenie omal nie rozplakałem się ze szczęścia. Widziałem jej stopę wybijającą rytm. Odwróciła się do mnie.

- Wszędzie słyszę tę piosenkę. Wie pan, co to za zespół? Chciałabym kupić ich płytę...

To było piękne! Poczuję się pewniej i bez namysłu pozwoliłem sobie na żarcik:

- Nic prostszego. Wystarczy wejść do sklepu z płytami i zaśpiewać melodię. Jest bardzo znana...

- Świetny pomysł! - powiedziała sarkastycznie, dając do zrozumienia, że nigdy tego nie zrobi.

- Znam tylko imiona piosenkarzy. Ikko i Dumbang. Catherine ma płyty z ich nagraniami.

Jechaliśmy wzdłuż morza. Wiatr bawił się jej krótkimi włosami. Wyglądała na szesnaście lat.

- A pan? Nie znam jeszcze treści pańskiej fiszki...

- Siebie trudniej scharakteryzować... Wpatrywałem się w drogę. Miałem nadzieję, że się

wymagam od odpowiedzi, ale ona czekała, wciąż zwrócona w moją stronę. Nie chciałem dać się prosić, więc wystartowałem, przerażony, że po pięciu zdaniach wyrobi sobie o mnie opinię. Stawką było moje życie.

- Osiadłem we Francji dopiero osiem miesięcy temu. Dotąd mieszkałem w Tajlandii...

Przerwała mi, zdziwiona.

- Jest pan Francuzem?

- Tak. Mój ojciec był przedsiębiorcą leśnym, prawie całe życie spędził w Azji, ale zachował francuskie obywatelstwo. Ja także.

- Czym pan się zajmuje?

- Tym, co on. Las jest w naszej rodzinie pasją dziedziczną. Rodzice od dawna nie żyją. Mam dwie siostry i brata. Razem prowadziliśmy firmę po ojcu. Od pięciu lat przebywam głównie za granicą. Kupuję lasy, znajduję rzemieślników wytwarzających produkty z drewna i kontrahentów w Europie, którzy rozprowadzają gotowe wyroby. Uwielbiam podróżować.

Na koniec mojego wykładu Tina pokiwała głową z uroczą miną, jakby w uznaniu dla mojej historii. Wtedy, niczym płonąca strzała, przemknęła mi przez głowę myśl, że mogłaby mnie znienawidzić za to, że jestem wśród żywych, podczas gdy jej mąż umarł. Plułem sobie w brodę. Pociągnięty za język, opowiedziałem jej o sobie. Jeszcze trochę, a wyjmę album z rodzinnymi zdjęciami, katalogi firmowe i formularze zamówień!

Nagle jakieś dziecko wyrosło przed kołami samochodu, ona krzyknęła, ja zahamowałem gwałtownie. Skończyło się na tym, że dzieciak podszedł i przeprosił ze śmiechem. Udałem, że go łaję, a potem zapytałem, jak ma na imię.

- Nyoman - odpowiedział.

Tina stwierdziła, że to ładne imię. Zatrzymując się przed domem, wyjaśniłem, że na Bali prości ludzie nadają swoim dzieciom tylko cztery imiona, niezależnie od płci. Pierwsze dziecko zawsze nazywa się Wayan, drugie Made, trzecie Nyoman, a czwarte Ketut. Przy kolejnych zaczyna się od początku: Wayan, Made, Nyoman, Ketut...

- A pan? Ma pan dzieci?

Nie spodobała mi się jej mina, gdy zaprzeczyłem. Tak jakby chciała powiedzieć: „Nie dziwi mnie to, czegoś ci brak”.

Kiedy wysiadła z jeepa, otworzyłem żelazną furtkę prowadzącą do ogrodu, przepuściłem ją przodem i przyjrzałem się jej pośladkom. Całkiem niezłe jak na tak szczupłą osobę.

Wspinaliśmy się po kręconych schodach ukrytych pod drzewami. Z wnętrza domu dochodziła muzyka: jakieś łagodne techno, może Ace of Base, ulubiony zespół Catherine.

Weszliśmy na taras, gdzie znajdowali się już inni goście. Na spotkanie nam wyszedł Michel, a za nim Luigi i Jeannot. Nie widziałem ich od dawna, wyściskaliśmy się więc, a potem przedstawiłem ich Tinie. Uścisnęli jej rękę, wyraźnie onieśmieleni.

Dzięki moim fiszkom wiedziała, że Jeannot jest właścicielem najlepszej francuskiej restauracji w Kucie, a Luigi - malarzem, który wyemigrował z Florencji do Ubudu, miasteczka balijskich artystów, z miłości do Soni, wybitnej miejscowej malarki. Razem z rodzinami należeli do bliskiego kręgu znajomych Michela, a z czasem, a ściślej z kolacji na kolację, stali się też moimi kumplami. Obaj byli oblatani w świecie, umieli się znaleźć. Byłem spokojny, że nie będą godzinami gadać o footballu ani opowiadać kawałów przy deserze.

Zatrzymałem się na chwilę przy nich, podczas gdy Michel poprowadził Tinę do niskiego stołu. Słyszałem, jak Catherine mówi to, co zawsze:

- Jestem Catherine, żona Michela. Prawda, że to dziwne?

- Nikogo to nie dziwi poza tobą, kochanie! - zaoponował Michel.

Catherine posadziła Tinę obok siebie i przedstawiła jej troje pozostałych gości: Sonię, Made, żonę Jeannota, i Nyomana, brata Made.

Wszyscy mieli koło pięćdziesiątki, więc obie wyglądały przy nich jak smarkule. Catherine ucieszyła się, że wreszcie ma towarzyszkę w swoim wieku. Gdy dołączyłem do gości przy stole, ciągnęła właśnie Tinę do pokoju Lou, żeby pokazać jej swój śpiący skarb.

Wolałbym, żeby Catherine nie zostawała sam na sam z Tiną. Jeszcze, nie daj Boże, uraczy ją jakąś uroczą historyjką na mój temat, „żeby mi pomóc”. Jest z tych nadgorliwych. Wróciły dopiero po dwudziestu minutach. Pewnie Catherine pokazywała Tinie dom. Najważniejsze, że Tina była uśmiechnięta.

Michel zaproponował aperitif. Tina poprosiła o białe wino. Z zaskoczenia zgodziłem się na to samo, choć o tej porze wolę raczej anyżówkę albo wódkę. Catherine, skręcając jointa, zabawiała Tinę rozmową.

- Nie znasz tu nikogo, więc pokrótce ci o nich opowiem. Nie spodziewaj się niczego wyjątkowego, uprzedzam!

Tina zerknęła na mnie ukradkiem, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie, czym mnie natychmiast urzekła. Catherine obgadała wszystkich po kolei. Przedstawione w telegraficznym skrócie portrety były znacznie mniej dyskretne niż moje i wywoływały salwy śmiechu. Tina poprzestała na niewymuszonym uśmiechu. Catherine nie tylko poinformowała ją, że z powodu burzliwego charakteru związku Jeannota i Made przezwaliśmy ich Richardem i Liz, ale i do sporządzonej wcześniej przeze mnie charakterystyki dodała jeszcze jedną cechę, którą zasłużyli sobie na ten przydomek: ostro razem tankowali. Miałem nadzieję, że Tina doceniła moją powściągliwość w opisywaniu naszego grona.

Na koniec, zwracając się ciągle do Tiny, Catherine zajęła się moim przypadkiem. Opinia, jaką mi wysmażyła, była zbyt pochlebna, żeby mogła być prawdziwa. Mocno odstawała od druzgoczących karykatur naszych przyjaciół. Czułem się zażenowany, co jeszcze bardziej rozzuchwaliło tę hienę.

- Franck Vialat. Rzekomo zatwardziały kawaler, a tak naprawdę opóźniony w rozwoju nastolatek. Jedyne w tym

towarzystwie niepijus. Poza tym człowiek lasu i gołąb podróżnik. No... właściwie bardziej podróżnik niż gołąb.

Wieczór rozkręcił się na dobre. Catherine podała Tinie krążącego wokół stołu jointa, jakby z góry zakładała, że od dwudziestu lat wypala dziesięć skrętów dziennie. Tina pociągnęła ostrożnie tylko raz. Jak wszędzie jedni palili, inni nie. Należę do tych osób, które palą, gdy nadarzy się okazja, i nigdy sam. Nie trzymam też „towaru” w domu. Za dużo podróżuję, żeby mieć przy sobie choć pół grama haszu podczas odprawy celnej. Michel już dawno z tym skończył. Rzucił wszystko za jednym zamachem - herę, kokę, jointy, szlugi. Potem przytył dwadzieścia kilo, co Catherine do dziś mu wypomina.

Szybko przeszliśmy do dużego stołu. Po sposobie, w jaki został nakryty, w czym pomagały dwie młode dziewczyny zatrudnione przez Michela, towarzystwo zorientowało się, że nie jest to zwykłe przyjęcie, lecz coś wyjątkowego - coś, co zdarza się nie częściej niż raz czy dwa razy w roku. Kiedy Michel wkroczył z ogromną tacą, w otoczeniu równie obładowanych wynajętych do pomocy dziewczyn, rozległ się ryk, jakby przy stole siedziała banda dzieciaków. Michel zdejmował pokrywki i bez fałszywej skromności anonsował przystawki: sałatka grzybowa, granik szary w curry, nadziewana papryka, makaron w mleczku kokosowym, krewetki na ostro. Z łyżką w ręku zwrócił się do Tiny:

- Dla pani krewetki na ostro czy w łagodnym sosie?

Odpowiedziała z uśmiechem łakomczucha, który mnie powalił.

- Na ostro, proszę.

- Znakomicie! W przeciwnym razie bylibyśmy w kłopotcie!

Podczas kolacji Tina wypowiedziała nie więcej niż pięć zdań, wszyscy zwracali się do niej i brali ją na świadka. Była

gwiazdą wieczoru. Pewnie Catherine nie mogła sobie odmówić przyjemności i przed naszym przyjściem opowiedziała gościom o jej tragedii, starali się ją bowiem zabawić, ośmielić, sprawić, żeby czuła się jak w domu. Nawet Made, która nie ufała westernom - tym słowem Indonezyjczycy określają obcokrajowców przybywających z zachodniej Europy, a w szerszym znaczeniu białych - odnosiła się do niej przyjaźnie, bez obawy, że będzie podrywać jej faceta.

Michel i ja słuchaliśmy i obserwowaliśmy reakcje Tiny. Przy takich prześcigających się gadułach jak Catherine i Jeannot mogliśmy się spokojnie wyłączyć. Wyrzuciłem sobie w duchu, że się nie udzielam, ale Tina siedziała obok mnie, jej lewa ręka, ta z obrączką, stanowiącą jej jedyną biżuterię, ocierała się o moją, widziałem, jak je, jak się uśmiecha, i po prostu byłem przeszczęśliwy. Woląłem pozostać w cieniu niż potem zamartwiać się, że za dużo gadałem, co mi się czasami zdarza, zwłaszcza gdy wypaliłem za dużo trawy i wypilem za dużo wina.

A jednak raz sprawiłem, że się uśmiechnęła. Rozmowa toczyła się na temat par mieszanych westernów i Balijszyków. Jeannot wykladał Tinie swoją teorię:

- Najgorszy Sycylijszyk jest mniej macho niż najbardziej cool Indonezyjszyk. Dlatego tutejsze dziewczyny, dla których jesteśmy wybawcami, tak nas rozpieszczają!

Dla każdego, kto wiedział o mękach, jakie Jeannot znosi z powodu zazdrości Made, ten tekst był zabawny, a Tina chwytła żart w lot, uśmiechała się, jakby od zawsze należała do naszej paczki. Ulegając jej czarowi, Jeannot zwracał się tylko do niej, choć ryzykował, że jego wampirzyca wydrapie mu oczy.

- Natomiast związek Europejki z facetem stąd nie zdaje egzaminu. Dla kobiet z północy to jak powrót do

średniowiecza. Na początku są pewne, że zmieniają gościa, ale szybko pozbywają się złudzeń, biedactwa!

- Paski zebry nie puszczają nawet przy największym deszczu - pozwoliłem sobie zauważyć.

Właśnie wtedy popatrzyła na mnie z uśmiechem i lekko uniosła brwi, co nie uszło mojej uwagi. Pomyślałem, że skoro zdziwiła się, iż wyjeżdżam z podobnym tekstem, niczym się przecież szczególnym niewyróżniającym, to znaczy, że uważa mnie za idiotę. Czułem się zażenowany, wydawało mi się, że powiedzenie jest dość znane, naprawdę nie chciałem popisywać się czymś, czego sam nie wymyśliłem. To mnie zniechęciło i zamilkłem na dobre.

Kolacja w wydaniu Michela była najwyższego lotu. Tina czuła się ugoszczona, a jako kobieta przywykła do przyjmowania gości, która wie, ile pracy i talentu wymaga przygotowanie takiej uczy, nie szczędziła panu domu komplementów. Kiedy przyszła pora na kawę, wróciliśmy znów na poduszki. Noc była łagodna. Księżyc wyglądał jak zawieszony między chmurami. Michel wyciągnął wódkę, Catherine i Sonia skrzyły jointy, Tina paliła wszystko, co krążyło, siedziała w pozycji szewca (Pozycja szewca - nazwa tej pozycji jogi, Baddha Konasana, odwołuje się do ułożenia ciała indyjskich szewców podczas pracy. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).) naprzeciwko mnie i wyglądała na odprężoną.

Gdy muzyka ucichła i Catherine wstała, Tina też się podniosła.

- Franck powiedział, że masz kilka płyt... Ikko i... Aż podskoczyłem, słysząc swoje imię w jej ustach.

Jeszcze się odwróciła w moją stronę, oczekując, że podpowiem jej imię drugiego wykonawcy, ale Catherine już wiedziała, o kogo chodzi.

- Nie tylko kilka. Mam wszystkie płyty Ikko i Dumbanga!

Zaciągnęła Tinę do salonu, skąd już po chwili popłynęły dźwięki naszej piosenki. Gdy wróciły, zapytałem Tinę:

- Zanuciła jej pani, żeby łatwiej mogła znaleźć?

- Oczywiście!

- Zabrzmiało to jak z płyty! - zawołała Catherine.

Tym razem Tina wybuchnęła śmiechem. To był wysoki, radosny dźwięk. Nagle, a trwało to tyle, ile trwa naciśnięcie migawki aparatu, zobaczyłem jej prawdziwą twarz, z natury wesołą. Śmierć męża była zapewne pierwszą tragedią w jej życiu. Bala się, i to panicznie, że nie da sobie z tym rady.

Byłem gotów odwieźć ją do domu przy pierwszej oznace znużenia, ale nic takiego nie nastąpiło, a mnie się nie spieszyło. Było nam dobrze na tarasie.

Dołączył do nas kot państwa domu. Obwąchał wszystkich dokładnie, po czym ułożył się na kolanach Tiny. Pieściła go delikatnie, jak ktoś, kto jest oswojony z kotami. Ponieważ też jestem ich wielbicielem, omal nie zachłysnąłem się z zachwytu, że dzielę z nią jeszcze jedno wspólne upodobanie, ale na szczęście w porę sobie przypomniałem, że miłość do dachowców jest zjawiskiem powszechnym.

Była mniej więcej pierwsza w nocy. Calvin Russell śpiewał w kółko bluesa. Jeannot i Luigi grali w tryktraka, trójka Balińczyków szeptała coś na osobności, popijając wino. Od pewnego czasu Tina nie odrywała oczu od majaczących w oddali gór i księżycy, który kreślił ich szczyty na tle burzowych chmur.

Catherine odważyła się przerwać jej marzenia.

- Powłóczyłaś się już po wyspie?

Tina w ułamku sekundy wróciła do rzeczywistości.

- Pojechałam obejrzeć świątynię Tanah - Lot... Sama z kierowcą, to nie było zbyt...

Wszedłem jej w słowo i zapytałem:

- Potrafi pani prowadzić motorower ?

- Tak!

To rozbawione „tak” zdradziło, co naprawdę sobie pomyślała: „Masz mnie za debilkę?”. Była taka piękna, że chciało mi się wyć.

- Powinna pani wypożyczyć... W głębi wyspy jest bajecznie. Po dziesięciu minutach jazdy znajdzie się pani w innym świecie, wśród pól ryżowych, lasów...

- Kiedy widzę, jak oni prowadzą, mam obawy...

- Nie trzeba się bać - przerwała jej bezceremonialnie Catherine. - Wystarczy wyjechać z Legianu, żeby nie spotkać żywego ducha.

- Można by się wybrać na dłuższą przejażdżkę we czwórkę - powiedziałem, idąc za ciosem - i pokazać Tinie wyspę...

Tina uśmiechnęła się uprzejmie. Michel i Catherine, nieprzygotowani na moją szybką reakcję, spoglądali na siebie niepewnie. Mój los był w ich rękach.

- Żeby to miało jakiś sens, potrzeba by na to trzech albo czterech dni - zauważył Michel. - Jedźcie w trójkę, ja nie mogę.

- A Lou? - zaniepokoiła się Catherine.

- Zajmę się nią. Chyba nie sądzisz, że zabierzesz mi motocykl i córkę!

Catherine zamurowało, ale tylko na moment. Michel nikomu nie pożyczał swojego nortona commando z lat sześćdziesiątych, zwłaszcza że korzystał z niego na co dzień. Zamiast się zdziwić zwróciła się podekscytowana do Tiny:

- Genialny pomysł. Co ty na to?

- No nie wiem...

Wyglądała na zakłopotaną, nie miała na ten temat zdania, ale Catherine już się zapaliła. Zateęskniła za wolnością bez męża i dziecka, za zacieśnieniem sztamy z nową kumpelką, zapragnęła śledzić z bliska naszą historię, odegrać w niej jakąś

rolę. Zapewniła Tinę, że będzie się czuła jak królowa na tylnym siodełku nortona, poprowadzi go bardzo ostrożnie, i że czekają nas niezapomniane przeżycia. Tina nie umiała odmówić. Czułem się winny, że przyparliśmy ją do muru, i oszalały ze szczęścia, że zgodziła się pojechać z nami, więc musiałem dać folgę emocjom: zapaliłem skręta i napiłem się wódki.

- Zobaczysz pani najpiękniejsze zakątki świata... Jazda na motocyklu to coś absolutnie wspaniałego, ma się wrażenie, że jest się częścią przyrody. Czuje się wiatr, słońce, świeżość, zapach lasu i kwiatów... O tej porze roku, przy częstych deszczach, drzewa są intensywnie zielone, wszystko lśni w słońcu...

Zamilkłem: wszyscy troje patrzyli na mnie z rozbawionymi minami.

Odwoziłem ją jeepem. Z głową odchyloną do tyłu spoglądała w niebo. Nie zamieniliśmy słowa od wyjścia, ale nie było to krępujące milczenie.

Zmieniła pozycję, żeby zapalić papierosa. Chciała mnie poczęstować, ale ja już paliłem. Zaciągnęła się głęboko dymem, jakby nie paliła od ośmiu dni. Rozprostowała nogi.

- Będę spać jak niemowlę. Zachichotałem jak jakiś idiota.

- Co pana tak rozśmieszyło?

- „Spać jak niemowlę”. Przypomniał mi się kawał.

- Jaki kawał?

Cholera! Nie знаła go. W ten cudowny ciepły wieczór, przy wzburzonych falach oceanu, wzdłuż którego jechaliśmy, miałem ochotę na wszystko, tylko nie na opowiadanie kawału, nawet najlepszego, i zakłócanie tej chwili.

- Och, nie, sądziłem, że go pani zna... Jestem beznadziejny w opowiadaniu dowcipów.

- Będzie pan musiał.

Dopiero w tej chwili zorientowałem się, że jest trochę zawiana. Przemawiała do mnie jak kobieta, której się nie odmawia. I była jeszcze bardziej urocza.

Przełamałem się. Słuchała mnie z taką uwagą, że stopniowo nabierałem pewności siebie, rozkręcałem się, modulowałem głos, żeby wypaść jak najlepiej.

- To historia o facecie, który zbankrutował. Miał wszystko i wszystko stracił. Komornicy zabrali mu cały dobytek, żona związała z tym, który doprowadził go do plajty, dzieci nie odbierały telefonów od niego, nikt do niego nie dzwonił, oprócz jednego kumpla, który okazał się prawdziwym przyjacielem.

- „Cześć, wszystko w porządku?”

- W porządku.

- A samopoczucie? Nie jest ci zbyt ciężko?

- Nie, zapewniam cię, że mam się dobrze. Śpię jak niemowlę".

Tina uśmiechała się coraz szerzej, w oczach rozbłysły jej złote iskierki. Opowiadać jej kawały to prawdziwa przyjemność. Czekwała na puentę, ciesząc się z góry.

- „Nie wierzę! Śpisz jak niemowlę?

- Jak niemowlę, żebyś wiedział! Śpię jedną godzinę, dwie godziny płaczę, śpię jedną godzinę, dwie godziny płaczę!".

Wybuchnęła śmiechem i trwało to co najmniej pięć sekund. Kaskada wesołości. Wolałbym ją rozśmieszyć jakimś własnym tekstem, ale nie zawsze ma się na to wpływ - życiem rządzi przypadek.

Poruszyła mnie niesamowita dobroć, emanująca z niej, kiedy się śmiała. Śmiech jest najwierniejszym odbiciem duszy, więc kiedy rozbawieni przestajemy się kontrolować, cała prawda o nas wychodzi na jaw. Myślałem o tym, ilekroć natrafiłem na zdjęcie Mao, Nixona czy Mitterranda: uśmiechali się, jakby ktoś walnął ich w twarz. Za to ona... Jej śmiech był czysty i niepokalany jak ślubna suknia.

Wjechaliśmy do Kuty, a ona nadal się uśmiechała. Zapytałem, czy nie chciałaby poczytać przed snem francuskich gazet. Odpowiedziała ze zdziwioną miną, że chce. Pojechałem więc trzy ulice dalej do baru nocnego prowadzonego przez Belga, który sprzedawał zachodnią prasę. Wybrała sobie trzy pisma, zapłaciła za nie i wsiedliśmy z powrotem do jeepa. W drodze do hotelu przyglądała się ulicom, ludziom, barom, zainteresowana panującym o tej porze ruchem. Korciło mnie, żeby ją zaprosić na ostatnią wódeczkę, ale nie zrobiłem tego, bo i tak by odmówiła.

Pod hotelem szybko wysiadła, nie uściskawszy mnie ani nie podając mi ręki.

- Bardzo dziękuję... Ma pan bardzo miłych znajomych. Spędziłam wspaniałą wieczór...

- Cieszę się, naprawdę się cieszę...

- A zatem do pojutra...

Tak bardzo delectowałem się każdą spędzoną z nią chwilą, że zapomniałem o tym szczególe: pojutrze razem wyjeżdżamy!

- To będzie piękna wyprawa, zapewniam.

- Och, co do tego nie mam wątpliwości! Ale ten motocykl, dżungla... Nie jestem miss Indiana Jones!

Tym razem to ja wybuchnąłem śmiechem.

- Proszę się nie obawiać, przy Catherine nic pani nie grozi. Ona podnosi alarm już na widok biedronki!

Uśmiechnęła się. Rozstaliśmy się, życząc sobie dobrej nocy. Idąc przez dziedziniec do hotelu, trzymała zakupione gazety zwinięte w rulon. Gdybym był bohaterem komiksu, trzeba by mi było dorysować wokół głowy różnokolorowe gwiazdki, przewrotne amorki i rozśpiewane ptaszki.

W drodze powrotnej do Michela najchętniej jechałbym zygzakiem, zanurzył się w oceanie razem z jeepem. Powstrzymałem się jednak, bo to nie był mój samochód. Kiedy przybyłem na miejsce, muzyka już nie grała, a goście odjechali.

Przecinałem właśnie taras, skradając się jak kot, i aż podskoczyłem na dźwięk dobiegającego z ciemności donośnego głosu Catherine:

- Co się mówi?

Leżała wyciągnięta na kanapie przy niskim stole, z głową opartą na kolanach Michela, który drzemał na siedząco. Podeszedłem, pocałowałem ją w czoło i wybąkałem „dziękuję”, jak oczekiwała.

- Mam nadzieję, kochanie, że to nie była dla ciebie aż tak wielka pańszczyzna - mruknął Michel.

- Jestem dobrą kumpelą, ale są pewne granice! Zapaliłem papierosa, rozmawialiśmy o Tinie. Kiedy opowiadałem im o

niej, uważali, że idealizuję moją ukochaną, że wyolbrzymiam jej urodę, przymioty, wyjątkowość, nieszczęście, jakie ją spotkało. Po dzisiejszym wieczorze zgodzili się ze mną: Tina jest nadzwyczajna. Zwykle szydzili z dozgonnej miłości i uważali, że skok w bok zdarza się nawet najbardziej zakochanym parom, jakby tylko oni kochali się prawdziwie, teraz nagle uznali, że Tina jest dla mnie nieosiągalna, że upłynie wieczność, zanim otrząśnie się po stracie męża - o ile w ogóle - i że nigdy nie pokocha innego mężczyzny!

Byłem na innym etapie. Nie zadawałem sobie pytania, czy Tina kiedyś mnie pokocha - może dlatego, że wydawało mi się to oczywiste od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem. Założyłem, że jeśli podczas całego pobytu na Bali uda mi się spędzić z nią trzy razy po godzinie albo po pół godziny, będę się uważał za szczęściarza.

I oto, po tej cudownej kolacji, mieliśmy wyprawić się razem na kilka dni do najpiękniejszego zakątka ziemi. Czego mogłem więcej chcieć od życia?

Catherine odniosła się nieufnie do mojego entuzjazmu, uważała, że się maskuję i ukrywam przed nimi swoje cierpienie, wynikające z braku wzajemności ze strony Tiny, i niepokój, że w przyszłości też mnie nie pokocha. Wkurzał mnie współczujący ton, jakim wypowiadała swoje uwagi:

- Kiedy pokazywałam jej dom, niewiele rozmawiałyśmy. Biedaczka jest załamana. Zanim w ogóle pomyśli o jakichkolwiek amorach, wylejesz jeszcze morze krwawych łez....

- Nic podobnego - przerwałem jej.

- Na ogół, kiedy zakochujesz się bez wzajemności, delektujesz się tym... Znam cię.

- Tym razem jest inaczej. Ona nie może kochać ani mnie, ani nikogo innego. Zobaczymy, kiedy będzie do tego gotowa.

- Masz rację - powiedział Michel. - Kobiety potrzebują czasu, żeby się zakochać. Popatrz na Catherine. Ja oszalałem na jej punkcie od razu, podczas gdy ona musiała mnie lepiej poznać, przekonać się, że jestem wyjątkowy, zanim wreszcie dała się ponieść miłości i pożądaniu, co było nieuniknione...

- Akurat!

Ten rodzaj ironii nie bawił Catherine. Nie była pewna, czy Michel kocha ją tak jak ona jego, i często narzekała z tego powodu. Młoda ładna kobieta, taka jak ona, i podtatusiały domator - taki powinien leżeć u jej stóp i codziennie ofiarowywać jej kwiaty! Było jednak na odwrót. Michel miał żonę w garści, żeby posłużyć się jego własnym wyrażeniem, którego czasami używał, doprowadzając ją tym do szału.

Jak co wieczór od trzech tygodni, zasypiałem, rozmyślając o Tinie. Może czyta teraz francuskie gazety. O ile po winie, haszu i środkach uspokajających - bo z pewnością je bierze - szybko nie zasnęła. Tym lepiej, poczyta je sobie rano przy śniadaniu. Oto rola, jaka mi przypadła w udziale: zasypywać ją drobnymi przyjemnościami, o których nie miałaby pojęcia, gdyby nie spotkała mnie na swojej drodze. Nie oczekiwałem, że pewnego dnia będę „miał ją w garści”, przeciwnie - to ja chciałem być zawsze do jej usług, i to mi absolutnie odpowiadało.

Nie marzyłem o tym, że mnie pokocha. Marzyłem o tym, żeby to mnie było wolno ją kochać.

Michel wyczyścił nortona na wysoki połysk. Przy takim cacku moja stodwudziestkapiątka wyglądała jak ubłocona kupa złomu. Wypożyczyłem sobie potężnego wygodnego harleya, ale na tę podróż zrezygnowałem z niego. Chciałem, żeby Tina mogła poprowadzić motocykl, gdyby przyszła jej na to ochota. Na stodwudziestkępiątkę - oczko mocniejszą od motoroweru - mogłaby się jeszcze pokusić, ale przy dwustukilogramowym potworze byłaby skazana na tylne siodełko.

Od dziesięciu minut kręciłem się po dziedzińcu hotelu Stella. Zamiast uprzedzić Tinę o naszym przyjeździe, Catherine poszła do niej na górę do pokoju, a rezultat był taki, że zaczynałem świrować na myśl, że coś się stało i czy aby nasza wyprawa nie zostanie odwołana. Już miałem do nich zatelefonować, kiedy pokazały się w drzwiach i zbiegły po schodach.

Tina była ubrana na czarno, jak poprzedniego wieczoru. Z króciutkimi włosami w nieładzie i w okularach przeciwsłonecznych na nosie, też czarnych, można by ją wziąć za gwiazdę rocka incognito, w rodzaju Annie Lennox w korzystnym wydaniu.

Melancholia przydająca smutku olśniewającej urodzie Tiny podkreślała zarazem jej niepowtarzalność. Gdziekolwiek by się znalazła - na Bali, w Paryżu czy w Nowym Jorku - wszędzie zwracałaby na siebie uwagę.

Z powodu okularów nie mogłem zobaczyć spojrzenia, jakim mnie powitała, a sędzę, że wiele by mi powiedziało. Może to i lepiej, że go nie widziałem. Już nie była taka rozluźniona jak podczas wczorajszej kolacji. Może, widząc ładującą się do pokoju Catherine, uznała, że za mało nas zna i nie ma ochoty bawić się z nami w Easy Ridera. Ale machina poszła w ruch i żadna siła jej nie zatrzyma.

Przywitała mnie nieśmiałym „dzień dobry”, obeszła nortona dookoła i pogratulowała Catherine takiego cacka. Czerń i chrom błyszcząły tak mocno, że odbijała się w nich zwielokrotniona sylwetka Tiny. Wspięła się bez wysiłku na wysokie siodełko. Wyglądała na nim jak na stołku barowym i przewyższała Catherine o głowę. Jej jedynym bagażem był nieduży plecak. Resztę rzeczy zostawiła w hotelu.

Catherine podała jej słuchawki.

- Gdybyś chciała posłuchać czegoś innego, klepnij mnie w plecy, okej?

Tina pokiwała głową. Nie miała pojęcia, jak burzliwe i czasochłonne było uzgadnianie rodzaju muzyki, jaką wybraliśmy na początek! Ostatecznie wygrali Blues Brothersi, moi faworyci. Uważałem, że to idealny wybór. Zaczynało się poważnie. Belushi śpiewał *She caught the Katy*, a potem z piosenki na piosenkę robiło się coraz szybciej i lżej, aż po zawrotne tempo *Everybody needs somebody to love*.

Catherine wolała piosenki Ikko i Dumbanga, które stały się już częścią historii znajomości nas trojga, ale postawiłem na swoim. Najpiękniejsze utwory tej pary wykonawców są zarazem najsmutniejsze. Pod koniec włączęgi Tina będzie zalewała się łzami! Według Catherine nie miałem prawa się wtrącać, ponieważ, sam na motocyklu, nie będę słuchać tych samych płyt, co one. Śmieszny argument! Los wybrał mnie i postawił przede mną zadanie pokazania Tinie piękna i uroków mojej wyspy, więc tylko ja jestem uprawniony do dokonania wyboru, jakże ważnego, muzyki, która wprawi ją w określony nastrój i wywoła taki, a nie inny stan ducha! Sprawa była delikatna. Chodziło wszak o to, żeby podróż nie okazała się niewypałem. Pozostałem niewzruszony w swoim postanowieniu: melodie muszą być chwytliwe, ale nie rozklejające. Cudowne krajobrazy, w które mieliśmy się zanurzyć, broniły się same i nie trzeba było do tego

rozedrganych tonów skrzypiec. Dopiąłem swego dopiero wtedy, gdy Catherine wymogła na mnie, że ja też będę słuchać Blues Brothersów. Twierdziła, że na starcie naszej wyprawy nie może mnie pozbawić doznawania tych samych przyjemności, jakie były udziałem Tiny.

Tak więc śpiewał Belushi.

Wyjechaliśmy z miasta drogą wzdłuż plaży. One przodem, ja za nimi. Fale rozbijały się z hukiem w porannym brzasku. Na surferów było za wcześnie - ocean igrał sam ze sobą. Widziałem profil Tiny, gdy patrzyła na morze. Na podpórce dla stóp wystukiwała piętą rytm w takt pulsowania saksofonów. Szosa należała do nas. Zrównałem się z nimi. Catherine nie pomyliła się - Tina czuła się na motocyklu jak królowa.

Ani mi w głowie było zamienić się miejscami z Catherine. Mając Tinę za sobą, prowadziłbym spięty z powodu zbyt intymnego kontaktu, gorszego niż tańczenie powolnego kawałka. Nawet gdybyśmy jechali jak grzeczne dzieci, nasze ciała stykałyby się ze sobą przy każdym hamowaniu, a ja bym wtedy umierał z zażenowania, więc nie, wielkie dzięki. Rola bodyguarda, jaka mi przypadła, bardziej mi odpowiadała; sam, na tym byle jakim motocyklu, byłem gotów interweniować, gdyby mojej gwiazdzie i jej kumpelce przytrafiła się jakaś komplikacja.

Opracowałem trasę jak marzenie. Przemierzywszy góry na zachodzie, wylądujemy wczesnym popołudniem w Ubudzie i zjemy tam obiad. Wyspa jest nieduża, więc i odległości są niewielkie. W tempie nieprzekraczającym pięćdziesięciu kilometrów na godzinę przejeżdża się ją z południa na północ w trzy godziny.

Znam Bali na pamięć. Od czasu kiedy ojciec kupił dom w Ujungu, a było to ponad trzydzieści lat temu, przemierzyłem wyspę wzdłuż i wszerz, dotarłem wszędzie, w najdalsze

zakątki. Znam wszystkie drogi i ścieżki, wiem, gdzie kryją się najpiękniejsze lasy i doliny, o jakiej porze i w jakim kierunku należy przez nie przejeżdżać. Rajdy odbywałem zawsze sam. Jeden jedyny raz zaprosiłem na dwudniową przejażdżkę koleżankę i wspominam to jak najgorzej. Zrobiło to na niej nie większe wrażenie, niż gdybyśmy jechali autostradą Paryż - Bruksela. Kompletny brak zainteresowania z jej strony tak mnie wkurzył, że nigdy więcej nie ponowiłem tej próby. Zresztą lubiłem być sam. Żyłem otoczony liczną i wszechobecną rodziną, za którą odpowiedzialność spadła na mnie, i te wypadki na Bali przez długi czas dawały mi jedyne chwile spokoju.

Trasa, jaką wybrałem, miała jeden mankament: była najpiękniejsza, ale zależało mi na tym, żeby Tina jak najprędzej przekonała się, że przyjazd tutaj był słuszną decyzją, że nie przesadziłem, zachwalając to miejsce, że naprawdę nigdy czegoś takiego nie widziała - takiej harmonii przyrody, bujnej i obfitej.

Droga, która biegnie przez wyspę z południa na północ, przez Selamadeg i Pupuan, to prawdziwy cud natury. Tina rozglądała się na wszystkie strony, oczarowana. Melancholia jej nie opuszczała, ale po ułożeniu warg, na których nie było uśmiechu, domyślałem się, że jest zachwycona, a nawet - gdybym wysilił wyobraźnię - pozostaje w pełnej symbiozie z otoczeniem.

Oddawaliśmy się kontemplacji w sposób dość wyjątkowy, bo w ruchu. Podczas jazdy, zwłaszcza drogą wijącą się zboczem góry, oświetlenie, krajobrazy i doznania zmieniają się z każdym zakrętem. Wznosiliśmy się coraz wyżej, pokonując dziewicze lasy z płataniną drzew jak w czasach Adama i Ewy, kiedy na ziemi panował jeszcze chaos, by po chwili znaleźć się wśród pól ryżowych położonych na tarasach o przemyślnych formach, będących ukłonem w stronę

inteligencji i pomysłowości człowieka, jego zmysłu estetycznego i poszanowania przyrody.

Ze słuchawkami na uszach nie słyszeliśmy warkotu silników. I o to chodziło. Osobiście wolałbym - czy ona również? - oglądać wspaniałości wyspy przy dźwięku szemrzących strumieni i poszumu lasu, ale to było niemożliwe. Czasami zazdrościłem rowerzystom, którzy posuwali się w ciszy w samym sercu doliny.

Najchętniej podłączyłbym się do mózgu Tiny i poznał jej myśli, dowiedział się, czy jej przyjemność z pobytu tutaj - że była wielka, co do tego nie miałem wątpliwości - przyćmiewa choć trochę smutek spowodowany odejściem męża, czy też poczucie samotności, w obliczu takiego piękna, jeszcze się wzmaga.

Po godzinie jazdy zatankowaliśmy benzynę na archaicznej stacji pośrodku góry, dysponującej jedynie prymitywnym dystrybutorem w postaci beczki z rurą, który z dużym trudem obsługiwał dzieciak. Catherine zaproponowała zmianę płyty, na co Tina odpowiedziała bez wahania, że chce słuchać Blues Brothersów. Omal jej nie wyczałowałem w oba policzki. Mnie też, kiedy ruszam w drogę z dobrze dobraną muzyką, trudno się z nią rozstać. Catherine podporządkowała się bez dyskusji.

Trochę dalej, jak przystało na tę porę roku, złapała nas solidna burza. Przeczekaliśmy ją w lesie. Przez gąszcz gałęzi i liści spadło na nas zaledwie kilka kropli. Spokojnie wsłuchiwalismy się w szelest deszczu, dzieląc się owocami, które zabrałem ze sobą. Nawet Catherine nie bała się, że jakiś tygrys skoczy jej do gardła.

Od początku podróży Tina powiedziała nie więcej niż dziesięć słów. Ilekroć zatrzymywaliśmy się, zdejmowała okulary, wodziła wzrokiem po bezkresnej zieleni zlewającej się z błękitem nieba, jakby badała każdy szczegół. My zaś, widząc, jak jest poruszona, milczeliśmy. Chciałbym wierzyć,

że wszystko w niej buzuje i ożywa, że po ośmiomiesięcznym śnie budzi się do życia niczym Śpiąca Królewna. Kiedy wracała do rzeczywistości, niecierpliwość, z jaką wskakiwała na siodełko, była wprost wyczuwalna.

Po deszczu wydawało się, że przyroda pnie się do nieba, że drzewa, trawy i kwiaty rosną na naszych oczach w przyspieszonym tempie, zamieniając wyspę w jeden wielki rajski ogród. Zielone wzgórza lśniły aż po horyzont, w wodzie wypełniającej poletka ryżowe odbijały się chmury, do swoich ostępów zapraszały nawet najbardziej nieprzystępne lasy. Tina wydawała się w tak błogim nastroju, że wręcz krępowałem się patrzeć na nią. Wyprzedziłem je i przez jakiś czas jechałem na przedzie, zerkając w lusterko. Zdecydowanie mniej mi to odpowiadało.

Nasz hotel położony był sześć kilometrów od Ubudu, w bajecznym miejscu, pośród dziewiczej natury. Drogę wskazywała przybita do drzewa tabliczka. Niewprawna ręka wykaligrafowała na niej napis Kupu Kupu Barong Hotel. Nikt by się nie domyślił, że ta niepozorna wywieszka anonsuje luksusowy hotel. Nie mam bzika na punkcie luksusowych hoteli, ale akurat ten Tina obowiązkowo powinna zaliczyć. Podjechaliśmy na parking na polanie. Dobry znak: był pusty. Dozorca powitał nas tak, jakby przybyli Trzej Królowie.

Nie powiem, żebym nie ucieszył się z dotarcia do celu. Nie wiem jak paniom, ale mnie kręgosłup dawał się we znaki. Wstępowaliśmy po wąskich kamiennych schodach, wiodących wprost z dżungli. Żadnych zabudowań w zasięgu wzroku - przed nami tylko zieleń drzew. Po chwili dobiegły nas ciche dźwięki indonezyjskiej melodii.

Kiedy wyszliśmy na taras restauracji, w oczach dziewczyn dostrzegłem niekłamany zachwyt. Zbliżyliśmy się do balustrady, stanęli obok siebie i w milczeniu kontemplowali urodę najpiękniejszej doliny na planecie Ziemia.

Na przeciwległym zboczu, bardzo blisko, bo zaledwie trzydzieści metrów od nas, przycupnęły na stoku tarasy ryżowe o zachwycających, pełnych poezji formach. Delikatne kłosa ryżu połyskiwały złotem w promieniach słońca i pochylały się na wietrze. Piętnaście metrów niżej, w wąwozie, wiała się rzeka, dalej poszerzała się i przechodziła w wodospad. Dwaj rybacy w łodzi zarzucali sieci. Rozśpiewane ptaki przefruwały dziesiątkami ze zbocza na zbocze. Tysiąc lat temu musiało tu być podobnie. Hotel był dobrze ukryty, bungalowy oddalone od siebie, wtopione w skalisty krajobraz, schowane wśród drzew.

Restauracja była pusta, wybraliśmy stół przy balustradzie, mając dolinę na wyciągnięcie ręki. Odkąd przybyliśmy, minęło pięć minut, a nikt nie wyrzekł słowa. W końcu Tina i Catherine odwróciły się w moją stronę. Zobaczyłem ich osłupiałe z wrażenia miny.

- W porządku - powiedziałem - zdałyście egzamin.

- Jaki egzamin? - zapytała Catherine.

- Tę historię opowiedział mi ojciec, kiedy przyjechaliśmy tu po raz pierwszy. Miałem wtedy piętnaście lat... Odkrył to miejsce z przyjacielem, jeszcze w młodości, gdy był tu tylko bufet leśny. Zaniemówili z wrażenia. Przysięgli sobie nie

podtrzymywać znajomości z kimś, kto swoim gadulstwem zakłóci czar.

- Ale nam się udało! - ucieszyła się Catherine.

- Po kilku latach ojciec wrócił tutaj ze swoją narzeczoną, później żoną i moją matką. A ona tylko rzuciła na to okiem, zamówiła herbatę i zaczęła mówić, mówić... Zaśmiały się obie jednocześnie.

- Mimo to ożenił się z nią - zdziwiła się Tina.

- Tak. Wolał, jak mi powiedział, żeby interesowała się nim, a nie otoczeniem.

- To się trzyma kupy! - zawołała Catherine.

Tina nic nie powiedziała. Wywnioskowałem z tego, że jest innego zdania. Nie wiedziałem, co o tym sądzić.

Po obiedzie i zameldowaniu się w hotelu pokojowy poprowadził nas do przeszklonej windy, którą zjechaliśmy na otoczony bujną roślinnością taras na zboczu, z widokiem na dolinę. Gdy otworzył drzwi pierwszego bungalowu, zaniepokoiłem się, czy wybierając ten hotel, nie ustawiłem zbyt wysoko poprzeczki. Wnętrze zdobiły balijskie meble w najlepszym guście, żadnych tandetnych złocień, jednym słowem wspaniały pokój, trochę too much, zważywszy na to, że nie przyjechaliśmy tu w podróż poślubną. Łóżko ustawione na podwyższeniu w przeszklonej wnęce zdawało się zwisać nad doliną, łazienka pod gołym niebem, wśród drzew i kwiatów, wydrążona była w skale.

Ponieważ nikt nie śmiał wziąć tego pokoju w obawie, że zawłaszczy najlepszy, błyskawicznie podjąłem decyzję i podarowałem go Tinie. Życzyła nam dobrego odpoczynku, a mnie, na myśl, że trzeba się rozstać, ogarnął nagle taki smutek, że przez chwilę stałem tylko i gapiłem się na nią z przyklejonym uśmiechem.

Pomimo zmęczenia nie udało mi się zmrużyć oka. Brakowało mi Tyny. Po spędzeniu z nią sześciu godzin czułem

się uzależniony od jej obecności. Nie potrafiłem wykorzystać czasu dzielącego mnie od następnego spotkania, mogłem tylko trwać w oczekiwaniu.

Wieczorem wybraliśmy się na przechadzkę po Ubudzie. W tym miasteczku otoczonym tarasami ryżowymi osiedliła się większość balijskich malarzy i rzeźbiarzy oraz spora grupa artystów przybyłych z całego świata. W co drugim kramiku mieściła się galeria sztuki. Tina oglądała wszystko z zainteresowaniem, nie przejawiając chęci kupienia czegokolwiek. Jedyną rzeczą, jaka przykuła jej uwagę, był naturalnej wielkości wół wyrzeźbiony w drewnie, zadziwiająco realistyczny: ekspresja, postura i szarobrązowy kolor, jakby wytarzał się w błocie.

Jedliśmy kolację na świeżym powietrzu w Cafe Lotus, przy jednym ze stolików ustawionych dookoła basenu, z kwiatami lotosu falującymi na powierzchni wody. Prostokątny placyk zamykała ładnie oświetlona czerwona fasada Świątyni Królewskiej. Powietrze w pobliżu wody było prawie rześkie. Catherine monologowała, jakby uznała za konieczne wziąć na siebie ciężar całej rozmowy. Byli tutaj na kolacji z Michele w początkach ich związku. Opowiedziała Tinie historię ich miłości. Najpierw miała wątpliwości, czy powinna wyjść za niego za mąż, ale później, jako młoda mężatka, była zachwycona. Po raz pierwszy, odkąd są razem, miała spędzić noc bez niego, i to nie dawało jej spokoju. Tina słuchała, rozbrojona swoistą mieszaniną romantyzmu i cynizmu, tak charakterystyczną dla Catherine.

Tina ciągle mnie onieśmiała. Odzywając się równie rzadko jak ona, pozwalałem dziewczynom umacniać zażyłość, nie izolując się jednak, rezerwując dla siebie rolę dyskretnego obserwatora. Na próżno wmawiałem sobie, że Tina czuje się z nami dobrze i że o to właśnie chodzi, ale nie byłem z siebie zadowolony.

W końcu doszedłem do wniosku, że jeszcze nie zaistniałem w jej świadomości. Dostrzega mnie, ale gdyby Catherine zapytała ją, co o mnie sądzi, odpowiedziałaby prawdopodobnie, że jestem „sympatyczny”, a gdybym odszedł od stolika i nie wracał przez pół godziny, nie niepokoiłaby się z tego powodu. Tak, nie istniałem w jej świadomości. Catherine bawiła ją, wzruszała, ja nie robiłem na niej żadnego wrażenia. Nasza znajomość ani na jotę nie posunęła się do przodu. Tina nie była ani życzliwsza, ani bardziej poufała niż podczas naszego pierwszego wspólnego kwadransa w jeepie.

Po kolacji, kiedy winda zatrzymała się na poziomie bungalowu Tiny, Catherine zasugerowała, żeby poszły do jej pokoju na ostatniego skręta. Przez grzeczność mnie też zaprosiły. Wymówiłem się ze ściśniętym sercem. Chciały pobyć same, pogadać o babskich sprawach, a przy mnie czułyby się skrepowane.

Zszedłem do swojego bungalowu ścieżką nad doliną. Byłem w kiepskim nastroju. Jeśli po „ostatnim” skręcie wypalą następnego, jak to zwykle bywa, będą gadać do świtu i obudzą się o trzeciej po południu.

Mój bungalow położony był najniżej ze wszystkich trzech domków, zaledwie kilka metrów od rzeki. Z tarasu nie było widać innych zabudowań, czułem się więc jak Tarzan w dżungli. Nie zapalając światła, wyciągnąłem się na materacu i z zamkniętymi oczami wsłuchiwałem w odgłosy lasu, koncentrując się na chwili obecnej, na oznakach życia wokół mnie. Rozpoznawałem hałas, jaki czyni gałąź uginająca się pod ciężarem małpy. Wszystko słyszałem, wszystko czułem - przyjemny chłodek idący od rzeki, zapach zwilgotniałych po deszczu gałęzi brzozy, plusk wody w potoku przy skale, słonawą bryzę napływającą od południa.

Poderwał mnie trzepot skrzydeł. Tina ponownie opanowała wszystkie moje myśli.

Zasnąłem koło drugiej, a obudziłem się o siódmej. Telefon zadzwonił dopiero w południe. Catherine poinformowała mnie, że rozmawiały do trzeciej nad ranem.

- Mam ci tyle do opowiedzenia! I rozłączyła się.

Ruszyliśmy w dalszą drogę, zanim Catherine zdążyła cokolwiek mi opowiedzieć. Do Penelokanu dotarliśmy o drugiej, czyli o wiele za późno, żeby podziwiać jedną z najpiękniejszych panoram Bali: jezioro Batur z wulkanami Batur i Abang, wznoszącymi się na wysokość dwóch tysięcy metrów. Zazwyczaj po godzinie dziesiątej, zwłaszcza o tej porze roku, spowija je mgła. Tego dnia bogowie byli łaskawi dla Tyny - świeciło słońce, obręcz czarnych chmur opasujących górę Abang zatrzymała się w połowie jej wysokości, szczyt wynurzał się z białych i miękkich jak wata obłoków i przeszywał jaskrawy błękit nieba. Sylwetki obu kolosów odbijały się w wodach położonego u ich stóp jeziora.

Catherine zaproponowała, żebyśmy się zamienili okularami przeciwsłonecznymi. Twierdziła, że przez jej szkła krajobraz wygląda najpiękniej. Mnie nie musiała długo przekonywać - były żółte i nawet niebo było przez nie jakby pozłacane. Ciemnoszare szkła okularów Tyny sprawiały, że wszystko wyglądało surowiej niż w rzeczywistości. Byłbym rad, gdyby zechciała zatrzymać moje - najmniej przyciemnione - ale nie odważyłem się jej tego zaproponować.

Zanim opuściliśmy to miejsce, zapytałem ją, czy ma ochotę poprowadzić stodwudziestkępiątkę.

- Bardzo chętnie, o ile to nie będzie zbyt skomplikowane.

Była zachwycona. Wy tłumaczyłem jej, jak się zmienia biegi, i ruszyła dość gładko. Przejechała sto metrów i zawróciła w naszą stronę, uśmiechając się od ucha do ucha. Patrząc, jak siedzi na moim motocyklu, byłem szczęśliwszy, niż gdybym przywrócił wzrok niewidomemu. Za to Catherine wcale nie była zadowolona, że pojedzie ze mną, a nie z Tiną.

Usiadłem za kierownicą nortona. Tina wyjęła discmana i puściła pierwszy album Tracy Chapman. Musiałaby być z kamienia, gdyby przy takiej muzyce, w ciemnych okularach

na nosie, nie zatrzymywała się, żeby sobie popłakać. Zaproponowałem, żeby jechała przodem, z prędkością, jaka jej odpowiada. Nigdy nie przekraczała pięćdziesiątki, dzięki czemu mogła bezpiecznie podziwiać krajobrazy. Wybór muzyki, jako rzecz najmniej ważną, pozostawiłem Catherine. Efekt był taki, że stale mieliśmy w uszach melodyjki grupy R.E.M. Everybody hurts! Jestem pewny, że zrobiła to naumyślnie.

Za Kintamani, na cholernie stromym podejździe, wyrosła przed nami gromada małp, które urządziły sobie naradę na środku szosy. Tina zwolniła, żeby je ominąć, a wtedy trzy małe małpki ruszyły za nią w podskokach, a za nimi cała zgraja. Bobas wskoczył na siodełko za Tiną i objął ją w pasie, jakby naśladując mnie i Catherine na sąsiednim motocyklu. Tina kontynuowała jazdę, jednocześnie głaszcząc owłosione palce, uczipione jej bioder. Nieodstępujący ich starszy samiec złapał malca za ramię i ściągnął go na ziemię. Tina odwróciła się i pomachała mu na pożegnanie. Maleństwo patrzyło na jej oddalającą się sylwetkę i przysięgłbym, że było zasmucone.

Kiedy później zatrzymaliśmy się w Gunung Kawi, Tina nadal była pod urokiem bliskiego spotkania z małpką. Przed zaatakowaniem kamiennych schodów wiodących do świętego miejsca Catherine stanęła okoniem: była tu już z Michele i myślała, że umrze, gdy przyszło im pokonać dwieście trzydzieści stopni, o których informowała tablica.

- Z tego, co pamiętam, było ich pięćset! - oznajmiła.

Przez grzeczność zaproponowałem Tinie, żebyśmy darowali sobie zwiedzanie, jeśli jej na tym tak bardzo nie zależy.

- Nie, chodźmy. Zbyt dobrze zareklamował pan to miejsce.

Rzadko zwracała się do mnie wprost - przeważnie wtedy, gdy nawiązywała do czegoś, o czym wcześniej mówiłem. Jak

z tego wynikało, słuchała uważnie i zapamiętywała moje słowa! Z wrażenia dostałem gęsiej skórki. Czułem się jak fan w obliczu swojej idolki. Rozanielony osobnik beta. Nawet jeśli nie ma teraz głowy do tych spraw, zauważy w końcu, co do niej czuję, to więcej niż pewne. A tego bym nie chciał.

Na jakimś postoju rzeczywiście „zareklamowałem” jej Gunung Kawi. To ukryte na dnie doliny, w samym środku dżungli, bardzo stare miejsce należące do dziedzictwa kultury jest równie piękne, jak tajemnicze. Legenda głosi, że żyjący pod koniec pierwszego tysiąclecia król Anak Wungsu porzucił przepych swojego pałacu i przybył tutaj, żeby dokonać żywota w samotności i w ascezie, kontemplując przyrodę i oddając cześć bóstwom.

Już po pierwszych krokach wiedziałem, że wizyta w Gunung Kawi pozostanie jednym z najpiękniejszych wspomnień mojego życia.

Byliśmy ze sobą zsynchronizowani.

Choć o tym nie wiedziała ani nie myślała, zauważyłem, że zatrzymujemy wzrok na tym samym i reagujemy podobnie.

Schody były na tyle szerokie, że mogliśmy iść obok siebie. Po mniej więcej pięćdziesięciu stopniach natknęliśmy się na parę westernów, którzy dysząc, z poczerwieniałymi z wysiłku twarzami wspinali się w górę. Z trudem pohamowaliśmy śmiech.

- Obawiam się, że niedługo będziemy wyglądali tak jak oni - powiedziała Tina.

- Proszę mówić za siebie, bo ja na pewno będę w znacznie gorszej formie.

Uśmiechnęła się. Ten uśmiech, obiektywnie rzecz ujmując, uprzejmy albo porozumiewawczy, zrobił na mnie piorunujące wrażenie, jakbym otrzymał całusa. Dopadło mnie, nie ma co.

W miarę jak schodziliśmy, dżungla otaczała nas ze wszystkich stron. W połowie drogi między drzewami ukazała się sielska polanka z miniaturowymi poletkami ryżowymi i płynącym środkiem strumieniem. Ptak o niespotykanym odcieniu błękitu, z długim ogonem, coś między papugą a bażantem, poderwał się do lotu i w mgnieniu oka zniknął. Tina spojrzała na mnie z osłupieniem.

W przyrodzie cały błękit przywłaszczyło sobie niebo i wspaniałomyślnie zabarwia tym kolorem wody mórz i jezior. Ziemia jest niebieska tylko w piosenkach... A jednak ten ptak był tutaj, nie przyśnił się nam, i był błękitny, prawdziwie błękitny, jak ten na fladze francuskiej. Ani wcześniej, ani później już takiego nie widziałem.

Powiedziałem Tinie, że być może spłoszyliśmy mitycznego ptaka króla Anaka Wungsu, ostatni okaz wymarłego gatunku sprzed tysiąca lat. Chyba że był to sam król w kolejnym wcieleniu, nadal zażywający niebiańskiego spokoju w odosobnieniu wśród ruin. Na co ona odpowiedziała, że jedno nie wyklucza drugiego. Nie rozmawialiśmy więcej aż do samego dołu.

Schodząc drogą, która wygląda, jakby również miała tysiąc lat, doznaje się podobnych emocji, jakie zapewne towarzyszyły odkrywcom tego ukrytego w dżungli skarbu.

Na miejscu nie było żywej duszy. Opustoszały kompleks budowli Gunung Kawi zrobił na nas przejmujące wrażenie. Dwudziestometrowe drzewa wdzierały się na polanę, jakby chciały znów nią zawładnąć. Znaleźliśmy się w innym świecie, w innym wymiarze czasu. Tina była tak poruszona i przejęta, że oddaliłem się, aby jej nie przeszkadzać w przeżywaniu tej chwili.

Zwiedzaliśmy obiekt każde na własną rękę, uśmiechając się do siebie, kiedy nasze drogi się przecinały. Tina przystawała przed każdą rzeźbą, przed każdą budowlą,

wpatrywała się w dżunglę, nasłuchiwała krzyków małp i nawoływań ptaków. Choć niewidoczne, były wszędzie. Długo tkwiła nieruchomo przed kamienną kolumną. Choć stała odwrócona do mnie plecami i znajdowała się dość daleko, byłem pewny, że płacze. Wzruszyłem się, gdy zobaczyłem, że wyciera sobie oczy. Na polanie pojawiła się grupa japońskich turystów. Tina podeszła do mnie, dając sygnał do odwrotu.

Wspinaczkę rozpoczęliśmy w zbyt szybkim tempie. Od razu to poczułem, ale nie śmiałem tego powiedzieć głośno, ponieważ nie chciałem wypaść na cherlawego starca, niezdolnego dotrzymać Tinie kroku. Schody wiły się wśród tropikalnej zieleni, tak gęstej, że widzieliśmy przed sobą zaledwie dziesięć - piętnaście stopni, rzadko kiedy więcej. Za zakrętem wyłaniał się kolejny odcinek schodów i, jak w filmie Bustera Keatona, mieliśmy wrażenie, że nigdy się nie skończą.

Po pokonaniu jednej trzeciej tej golgoty czułem się, jakbym miał sto lat. Spojrzałem kątem oka na Tinę i stwierdziłem, że też nie wygląda najlepiej. Paliła tyle co ja i właśnie teraz za to płaciła. Przed nami, w dole, pod kamiennym mostkiem, rzeka płynęła rwącym strumieniem między skałami. Tina wyjęła z torby butelkę, w milczeniu wyciągnęła ją w moją stronę, ale ja gestem zaproponowałem, żeby napiła się pierwsza. Sączyła wodę kącikiem ust, potem podała mi butelkę, wycierając palcami miejsce, którego dotykała wargami. Podczas tych wspólnie spędzonych chwil byłem taki szczęśliwy, że aż kręciło mi się w głowie. Obawiałem się, że Tina jak nic zda sobie z tego sprawę.

Złapaliśmy oddech i podjęliśmy wspinaczkę. Po kolejnych pięćdziesięciu stopniach znów byliśmy w opłakanym stanie. Na pokonanie jednego stopnia potrzebowaliśmy dziesięciu sekund. Czułem, że za chwilę wybuchnę nerwowym śmiechem.

Na zakręcie minęliśmy dwoje turystów, którzy schodzili w dół. Pozdrowiliśmy ich ze współczującymi minami, podobnie jak nas jakiś czas temu inna para. Popatrzyliśmy z Tiną po sobie, ona miała ceglaste wypieki, ja pewnie takie same, i zaczęliśmy się szaleńczo śmiać. Wydawało się, że nigdy nie przestaniemy, że tylko po to wymknęliśmy się we dwoje na te niekończące się schody, żeby śmiać się bez końca.

Dziki śmiech nie zniekształcił jej rysów, a śmiech był niewymuszony i zaraźliwy. Na próżno unikaliśmy się wzrokiem, aby nie przedłużyć tych spazmów, ale w jakimś momencie - to było od nas niezależne - nasze spojrzenia spotykały się i wszystko zaczynało się od nowa. Rozbolały nas brzuchy, Tina powtarzała: „nie, nie”, ale nie mogła się powstrzymać i śmiała się nadal, a ja z nią. To straszne, co potrafi taki obłąkańczy śmiech, jak dobrze działa na głowę i jak wszystko po nim boli, tak jakby za każdą przyjemność, nawet za taką, trzeba było obowiązkowo zapłacić.

Trwało to pięć albo dziesięć minut, a może dwie godziny i dwadzieścia minut, sam już nie wiem. Kiedy ponownie zaatakowaliśmy schody, ciągle trzymając się za brzuchy, pokonanie jednego stopnia zajmowało nam dwadzieścia sekund. Catherine miała rację: na pewno było ich co najmniej pięćset.

Kiedy ją dostrzegliśmy, siedzącą na podeście schodów, zostało nam do pokonania jakieś czterdzieści stopni, czyli jakby dwa piętra. Nie mieliśmy już sił. Usiedliśmy i pozwoliliśmy skończyć szalonemu śmiechowi śmiercią naturalną.

Catherine zbiegła do nas. Chciała się dowiedzieć, co nas tak rozśmieszyło, ale nie umieliśmy jej tego wyjaśnić. Poza tym co tu było do wyjaśniania?

Wieczorem wróciliśmy do Ubudu, aby w ogrodach Świątyni Królewskiej zobaczyć pokaz tańca legong. Tina

nigdy nie widziała tradycyjnego balijskiego baletu, a my z Catherine nie mieliśmy sumienia jej zniechęcać. Zapamiętałem ten spektakl jako bardzo nudny i od dwudziestu lat nie obejrzałem ani razu. Dzisiaj jednak, siedząc obok Tiny, tak bardzo zadowolonej, było inaczej: tancerze, kostiumy, pomysłowa gra świateł i muzyka oczarowały mnie, a gdy przy najmniejszym poruszeniu powietrza słodki zapach lotosów łaskotał mi nozdrza, byłem wręcz w siódmym niebie. Od czasu do czasu Tina zerkała na śpiącą Catherine i posyłała mi porozumiewawczy uśmiech.

Po przedstawieniu zasiedliśmy do kolacji przy świecach, którą podano nam na tarasie bungalowu Catherine. Cała dolina była skąpana w księżycowej poświacie.

Dżungla wokół nas tętniła życiem. Nawet Catherine, oczarowana baśniową atmosferą, mówiła niewiele. Po deserze poszła do pokoju nastawić muzykę, zostawiając mnie sam na sam z moją lubą. Milczeliśmy, zapatrzeni na ryżowe poletka, z falującymi w wieczornej bryzie kłosami. Tina położyła wyprostowane nogi na krześle, odchyliła głowę i przyglądała się niebu.

- Tutaj gwiazdy zdają się świecić jaśniej... jak byśmy byli bliżej nieba... - powiedziała, przerywając ciszę.

Gdyby wyznała mi miłość, byłbym chyba równie poruszony jak tym stwierdzeniem. Zmieniła pozycję, odwróciła się w moją stronę.

- Całe to piękno - ciągnęła - działa tak dobrze... Nie byłam przygotowana na podobne doznania... To dzięki panu...

- Jestem tylko jednym z ogniw łańcucha. Idąc tym tropem, można powiedzieć, że znalazła się pani tutaj dzięki Timowi Buckleyowi. To przez niego poznałem pani brata.

Opowiedziałem jej o spotkaniu z Rolandem. Nasza zażyła znajomość datuje się od czasu, gdy szukałem płyty Tima Buckleya. On też jej nie miał, ale zamówił ją dla mnie.

- Wziąłem ten album ze sobą. Chce pani posłuchać?

Poszła za mną do pokoju. Catherine siedziała pośród rozgrzebanych płyt i paliła papierosa. W sekundę namierzyłem okładkę Greetings from LA. Tina usiadła na podłodze, plecami do kanapy, twarzą do doliny. Włożyłem płytę do odtwarzacza i ustawiłem na Sweet surrender, moim ulubionym kawałku. Gitarowy początek wdarł się w ciszę, po chwili rozległ się głos Tima - rozdzierający, nabrzmiący emocjami, dramatyczny. Tina kołysała głową z zamkniętymi oczami. Wejście skrzypiec podkreśliło niezwykły nastrój. Wstrzymałem oddech.

Utwór skończył się po sześciu minutach i czterdziestu sekundach. Tina otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Śpiew Tima dotarł chyba do najbardziej obolałych zakamarków jej duszy, bo wydawała się bardzo poruszona. Byłem zły na siebie. Ta piosenka, nawet gdy nie zna się angielskiego, strasznie dołuje, o czym zupełnie zapomniałem. Gdy wystartowała melodia Night Hawkin, wstała i z plastikowego pudełka, które zostawiłem na wieży stereo, wyjęła kartonik z tekstem Sweet surrender. Spojrzała na mnie pytająco. Minę miała poważną i bardzo uroczystą.

- Można by ją jeszcze raz puścić?

Tim śpiewał, a ona czytała na głos słowa piosenki.

Kolacja u Catherine przeciągnęła się do drugiej w nocy. Wracaliśmy do naszych bungalowów ścieżką nad rzeką. Księżyc oświetlał dolinę jak w teatrze. Drzewa poruszały się niespokojnie.

- Chciałabym przyjechać tu z dziećmi - powiedziała. Kolejny raz uśmiechnąłem się jak głupek. Miałem dość totalnego paraliżu, jaki mnie dopadał, ilekroć Tina otwierała usta. Zapragnąłem wyznać jej, co powoduje ten stan, choć wiedziałem, że nie powinienem.

*

Nie wytrzymałem.

Maszerowaliśmy w milczeniu. Po raz pierwszy cisza mi ciążyła, a każda sekunda zdawała się trwać godzinę.

- Chcę pani coś wyznać...

Urwałem, przerażony własnymi słowami. „Chcę!” Gorzej nie mogłem zacząć. Tina czekała na dalszy ciąg. Nie miała pojęcia, do czego zmierzam, więc nie opancerzyła się, a ja czułem, że popełniłem gafę wielką jak góra Abang. Wybrałem niewłaściwy moment, ale nie mogłem się już, niestety, wycofać. Jąkając się, z trudem znajdując słowa, robiąc pięciosekundowe przerwy między zdaniami, ciągnąłem:

- Zobaczyłem panią... nim Roland przedstawił nas sobie... Wtedy jeszcze nie wiedziałem, kim pani jest, ale... doznałem... nie wiem, jak to powiedzieć... dziwnego uczucia... - plątałem się.

Patrzyła na mnie zaintrygowana. Zorientowałem się, że jest w tej chwili oddalona o dziesięć milionów lat świetlnych od mojej planety, że się zamyka przede mną. Było już jednak za późno, nie miałem wyboru, brnąłem więc dalej, starając się przybrać luzacki ton.

- Nim usłyszałem pani głos... w chwili, kiedy panią zobaczyłem... wiedziałem, tak, to było oczywiste... że jest mi pani przeznaczona.

Przerwała mi, i to ostro:

- Czy pan zwariował?

Zaczęła iść coraz szybciej. Dotrzymywałem jej kroku. Nie chciałem pozostać w tyle.

- Przepraszam, jeśli panią uraziłem. Wiem, jak daleka jest pani od tego wszystkiego... Ale nie mogę już dłużej udawać... Pani obecność przepelnia mnie szczęściem, o jakim nie śniłem. Przebywanie z panią, słuchanie jej, wspólnie spędzone godziny... Ukrywając to przed panią, czułem się jak kłamca i oszust...

Popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby miała mnie spoliczkować, po czym odezwała się tym swoim wyniosłym tonem, który zmroził mi krew w żyłach:

- Lepiej by pan zrobił, gdyby się pan w ogóle nie odzywał. Wszystko pan popsuł.

Nie odwracając się, weszła do swojego bungalowu i zamknęła za sobą drzwi. Byłem w takim stanie, jakby Holyfield zadał mi cios podbródkowy i poprawił lewym sierpowym w wątrobę. Chciałbym cofnąć czas o dwie - trzy minuty albo obudzić się i przekonać, że to był koszmarny sen,

ale nie, poległem, leżałem znokautowany, arbiter już dawno policzył do dziesięciu.

Prawie nie spałem tej nocy. Rozpamiętywałem słowa, które wypowiedziałem, a każde z nich z perspektywy czasu wydawało mi się niezręczne i nie na miejscu. Byłbym hipokrytą, gdybym twierdził, że nie wyznałem jej miłości, nawet jeśli to słowo ani razu nie padło. I choć moje niestosowne zachowanie było oczywistym błędem, to jednak broniłem się przed uznaniem tego za przewinienie. To żadna hańba nie móc dłużej znosić własnego wyrachowania i obłudy. Musiałem z tym skończyć. To było nieuniknione. To straszne, ale ten okropny epizod, zasadniczy z mojego punktu widzenia, jej wydawał się bez żadnego znaczenia. Na pewno nie zasypiała z myślą o mnie.

Z drżeniem serca zastanawiałem się, jakim wzrokiem powita mnie nazajutrz.

Kiedy rano dotarłem na parking, Tina i Catherine były już gotowe do drogi. Rzuciłem ogólne „dzień dobry”. Ona, nie patrząc na mnie, odpowiedziała chłodno, dając mi do zrozumienia, że nie żywi urazy. Catherine niczego się nie domyśliła.

- Właśnie opowiadałam Tinie, jaką miałam koszmarną noc - powiedziała.

Nie mogła zasnąć z powodu hałasu, jaki czyniło „coś żywego” - szczur albo wąż, a może Freddy 18, który stalowymi pazurami drapał w drzwi pokoju. Wszystko było możliwe, ale za bardzo się bała zapalić światło i sprawdzić. Nakryła się z głową prześcieradłem i tak dotrwała do rana. Zabawnie to opowiadała i Tina się śmiała. Nie odważyłem się zaproponować jej stodwudziestki.

*

Na szczycie góry Catherine zawyła, wstrząśnięta widokiem, jaki się stamtąd roztaczał. Tina aż stanęła na podpórkach, żeby to zobaczyć. Zrównałem się z nimi. Przejrzysty błękit ciągnął się aż po horyzont. W tym miejscu to nie był już Ocean Indyjski, ale Morze Balijskie. Na tej wysokości byliśmy jakby zawieszani między błękitem nieba i wody. Góra schodziła łagodnym stoki aż do położonego w dole miasta Singa - raja.

Obiad zamówiliśmy w Lovina Beach. Nic nie zakłócało panującej wokół ciszy. Morze było nieruchome, ognista kula słońca prażyła czarny piasek, jedynej palmy na plaży nie poruszał najmniejszy wiaterek. Przed posiłkiem dziewczyny poszły się kąpać. Wolałem im nie towarzyszyć. Po wczorajszym wyznaniu wspólna kąpiel, tylko w kostiumach, mogłaby być dla Tiny krępująca. Zostałem przy stoliku i popijając wino, przyglądałem im się zza okularów przeciwsłonecznych.

Podczas obiadu, podobnie jak przez cały poranek, Tina nie zaszczyciła mnie ani jednym słowem, ani jednym spojrzeniem. Znosiłem to lepiej, niż mogłem przypuszczać. Niech sobie udaje, że nie istnieję dla niej. Przebywanie z nią i tak było wspaniałą sprawą. Teraz przynajmniej wiedziałem, dlaczego mnie nie zauważa. Nie odzywałem się, ona też. Przysłuchiwaliśmy się Catherine, siedzącej na wprost nas, szczęśliwej, że znalazła się w centrum naszej uwagi. Nie połąpała się, że w przepływie prądu między Tiną i mną nastąpiła przerwa.

Dopiero po wyznaniu prawdy Tinie miałem wrażenie, że nasza historia na dobre się zaczęła. Już nie dusiłem w sobie sekretu. Nasze stosunki stały się mniej przyjemne, ale nie mniej pasjonujące. Wkraczaliśmy w nowy etap naszej znajomości.

Przed powrotem w głąb wyspy krążyliśmy po ulicach Singarai. Catherine kupiła sobie u antykwariusza pierścionek, a potem zrzędziła, że nie pomogłem jej wytargować korzystniejszej ceny. Odwróciła się ode mnie i rozmawiała z Tiną, tak jakby mnie w ogóle nie było. Zwiertzyłem niebezpieczeństwo. Spodziewałem się niecnej zemsty, i słusznie.

- Jestem beznadziejna w targowaniu się, za to on ma w tym wprawę - powiedziała, wskazując na mnie. - Widziałam go w akcji, kiedy negocjował cenę za stół, który stoi u nas na tarasie. Nie dość, że udało mu się obniżyć ją o połowę, to jeszcze na koniec tak przerobił faceta, że ten chciał się ożenić z jego dziewczyną!

Tina oczywiście zapytała, co to znaczy „przerobił”.

- Michel tak mówi, gdy dostanie to, czego chce, w taki sposób, że ten ktoś się nie połąpie. Franck jest w tym mistrzem!

Byłem zażenowany. Catherine chichotała, wręcz śmiała się szyderczo, zadowolona z ciosu, jaki mi zadała. Aby odwrócić jej uwagę, postawiłem Tinie pytanie, czyby nie chciała dosiąść stodwudziestki. Łaskawie wyraziła zgodę, wykonując prawie niedostrzegalny ruch głową, nawet nie racząc przy tym spojrzeć w moją stronę.

Szlakiem trzech jezior, omijając Batukau, dotarliśmy do świątyni zabłąkanej gdzieś na końcu drogi prowadzącej donikąd, w głąb dżungli. Kończyło się popołudnie, słońce już tutaj nie docierało. Całe to miejsce tchnęło melancholią i smutkiem. Płynące po wodzie dwie kaczki nie zostawiały ani jednej zmarszczki na jej powierzchni. Było tu tak pięknie, tak cicho i uroczyście zarazem, że mogliśmy się jedynie oddać kontemplacji i skupić myśli na najbliższych istotach. Zostawiłem dziewczyny same. Pozwoliłem im odbyć tę medytacyjną wędrówkę beze mnie i wdrapałem się na sam szczyt głównych schodów. Z góry świątynia, położona w samym środku lasu, wydawała się maleńka. Tina obchodziła staw wolnym krokiem, a Catherine obserwowała ją, siedząc na ławce.

Gdy schodziłem, dotarło do mnie, że zajęty wyłącznie Tiną, ani razu nie pomyślałem o rodzicach. Zrobiło mi się przykro, miałem nadzieję, że nie patrzą na mnie z góry i nie czytają w moich myślach.

Kiedy dołączyłem do dziewczyn nad brzegiem stawu, odniosłem wrażenie, że Tina znowu płakała. Obiecałem sobie, że w przyszłości - o ile mnie jakaś w ogóle czeka - oszczędzę jej oglądania świątyń.

W ostatni wieczór naszej wyprawy postanowiły zjeść kolację w restauracji hotelowej, jak w dniu przyjazdu. Catherine opowiadała nam o swoim życiu sprzed Bali. Mieszkała wtedy w Lyonie i pracowała jako sekretarka. Opisała koszmarną codzienną rutynę, zabawnie

scharakteryzowała swoich kolegów i szefów, puentując tym celniej, im bardziej była zawiana. W całej restauracji nasz stół był najgłośniejszy i najweselszy. Kelnerzy dbali o to, żeby kieliszki nie stały puste. Tina, po trosze za sprawą wypitego alkoholu, śmiała się z całego serca.

Zastanawiałem się, czy zdarzało jej się pić tyle „przedtem”. Miałem nadzieję, że tak. Już drugi raz, od kolacji u Michela, widziałem ją nieźle podchmieloną, i byłem zachwycony bezceremonialnością, nieomal arogancją, jaka się w niej w takich chwilach wyzwalala. Nie udało mi się jeszcze dojść, czy pod wpływem alkoholu staje się sobą, czy też potrzebuje go zawsze, ilekroć chce się rozluźnić. Jeśli mi na to pozwoli, dowiem się tego prędzej czy później.

Kończyliśmy kolację, kelner właśnie nalewał nam wódkę do kieliszków, gdy Catherine zapytała Tinę:

- No to jak, wracasz jutro z nami?

- Nie. Wybieram się na wschodnie wybrzeże, do Candi Dasa...

Co?! Pierwsze słyszę!

- Moglibyśmy ci towarzyszyć - zaproponowała Catherine.

- Nie warto. Obejrzałam mapę i wiem, że musielibyście nadłożyć spory kawał drogi... Rozstaniemy się w Klungkungu. Złapię tam jakiś autobus, podobno często kursują...

Jak bym dostał obuchem w głowę.

Ułożyłem już sobie, że razem wrócimy do Legianu, gdzie spędzimy weekend, a w poniedziałek, zgodnie z wcześniejszym postanowieniem, wyruszę do Chiang - Rai. Nie chciałem się jej narzucać, ale głównym powodem były obowiązki głowy rodziny.

Przeliczyłem się! Nie mówiąc o tym, że z dziesięciu godzin, jakie nam zostały, osiem spędzimy osobno w swoich pokojach!

I pomyśleć, że to właśnie ja zachwalałem jej uroki wschodniego wybrzeża! I pomyśleć, że udawałem, jakoby nie miał czasu zajrzeć na kilka dni do domu w Ujungu, bo marzyłem o ponownym spotkaniu z nią w Legianie! Wpadłem we własne sidła. Dopiero bym wyglądał, gdybym teraz wybełkotał: „To nawet dobrze się składa, bo moje spotkania zostały odwołane, więc odbędziemy tę podróż razem”.

Przez chwilę myślałem, że porzuci nas z powodu mojego niefortunnego wyznania, ale to by znaczyło, że za dużo sobie wyobrażam. Nie, Tina po prostu zasmakowała we włóczędze, chce ją kontynuować sama, a ja powinienem się cieszyć, że ma taką ochotę i zdobyła się na to wreszcie.

- Będzie nam pani brakować - odważyłem się powiedzieć.

Teraz przynajmniej wie, że nie mówię tego tylko przez grzeczność.

Dochodziła północ, kiedy jako ostatni goście opuściliśmy wreszcie restaurację. Poszliśmy spać, każde w swoją stronę.

Lepiej nie mówić, jakie czarne myśli kłębiły się w mojej głowie.

Kiedy obudziłem się rano, padało. Po pierwszym śniadaniu, które każde z nas zjadło w swoim pokoju, spotkaliśmy się w restauracji na kawie.

Deszcz i perspektywa wyjazdu nie napawały optymizmem - z całej naszej trójki Tina wyglądała na najmniej zdołowaną. Nie odrywała wzroku od zaczarowanej doliny, którą nieprędko zobaczy.

Po przełknięciu ostatniego łyka kawy podniosła się, żeby pójść do recepcji zapłacić rachunek za siebie. Od początku obawiałem się tej chwili.

- Proszę się nie fatygować. Już uregulowałem należność.

- Nie widzę powodu...

- Jesteście, panie, moimi gośćmi. Cała przyjemność po mojej stronie.

- Nie ma mowy!

- Dajmy temu spokój. To już załatwione. Pierwszy raz przemawiałem do niej takim władczym tonem. Była tym równie zaskoczona jak ja. Usiadła, popatrzyła mi w oczy z taką agresją, że musiałem się poddać i odwrócić wzrok.

- Nie cierpię takich sytuacji. Stawia mnie pan w kłopotliwym położeniu.

Miałem dobry dzień. Słowom, które popłynęły z moich ust, towarzyszył odpowiedni ton - uprzejmy, z pewną dozą irytacji:

- Bardzo mi przykro, że tak to pani odbiera. Powinienem był wybrać inny hotel. Tu nie mogę postąpić inaczej.

Nie miałem zamiaru wdawać się w wyjaśnienia, dlaczego nie może być mowy o uiszczeniu rachunku przez nią. Woliałem zataić kwotę, na jaką opiewał jej rachunek.

Odwróciła głowę z niezadowoloną miną. Przestało padać. Przy pierwszych promieniach słońca kropelki wody na trawie rozbłysły tysiącami iskierek.

Zostawiliśmy hotel za sobą. Ostatni raz przejechaliśmy ulicami Ubudu, którymi po deszczu płynęły rzeki błota. Bez pośpiechu zdążaliśmy w kierunku Klungkungu. Wiele bym dal za to, żeby przemierzenie trzydziestokilometrowego odcinka dzielącego nas od tej miejscowości trwało jak najdłużej.

Zmierzaliśmy w stronę morza. Zapach ziemi i wiatru z wolna nasycił się solą. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że za pół godziny Tina przesiądzie się do autobusu i tyle ją będę widział. Jak długo jej nie zobaczę? Nie miałem pojęcia.

Tak jak przypuszczałem, deszcz nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Burza, jakiej świat nie widział, na krótko oddaliła nieuchronną chwilę rozstania. Nawałnica zaskoczyła nas w szczerym polu, wśród pól ryżowych, sto metrów od prowizorycznej wiaty. Zanimśmy się zatrzymali i zsiadli z motocykli, byliśmy przemoczeni do suchej nitki. W ulewie jak z biblijnego potopu biegliśmy do tego najbliższego schronienia, ślizgając się w błocie. Catherine i Tina były nim umazane od stóp do głów. Motocykliści i wieśniacy, bezpieczni pod osłoną, mieli świetną zabawę i śmiali się z nas do rozpuku. My zresztą również. Cieszyłem się, widząc roześmianą Tinę - taką ją chciałem zapamiętać.

Po burzy zostaliśmy pod wiatą sami i dziewczyny mogły przebrać się w suche i czyste podkoszulki. Odwróciłem się dyskretnie, ale kątem oka dostrzegłem Tinę w staniku. Czarnym. Ponieważ ten widok nie opanował jeszcze żadnej strefy mojego mózgu, doznałem szoku. Nie pozwoliłem sobie zastanawiać się nad tym, co zobaczyłem, dłużej niż trzy sekundy, ale z mizernym skutkiem. Kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę, świeciło słońce. Przy wjeździe do Klungkungu nasze dzinsy były już suche. W oczach nadal miałem czarną koronkę stanika Tiny.

Pożegnanie odbyło się tak szybko, że nie było czasu na wzruszenie. Ledwie Tina postawiła nogę na przystanku, a już pojawił się minibus do Candi Dasy, nie większy od fiata 500.

Dziewczyny wymieniły kilka miłych słów, i nie były to słowa zdawkowe, po czym się uściskały. Tina obiecała Catherine, że zadzwoni do niej zaraz po przyjeździe do hotelu. Z nich dwóch Catherine była bardziej poruszona. Nie zwracały na mnie uwagi, skorzystałem więc z okazji i do na wpół otwartej torby Tiny wsunąłem swoje okulary.

Odwróciła się i zrobiła ruch w moją stronę. Oczekujące na przystanku dzieciaki ładowały się do minibusu. W tym rozgardiaszu nie połąpałem się, co zamierza zrobić. Ucałowała mnie w oba policzki. Poczulem na skórze jej gorące wargi. Jaka słodcz... Nie byłem w stanie wydobyć z siebie słowa. W przeciwieństwie do niej.

- Dziękuję... Te cztery dni były bardzo udane...

Próbowałem się uśmiechnąć. Tina wsiadła do minibusu, który ruszył jak torpeda, zmuszając inny pojazd do ostrego hamowania.

Catherine krzyknęła coś jeszcze i w oknie pojawiła się dłoń Tiny. Machała nią, dopóki busik nie zniknął na zakręcie. Byłem rozdarty. To znaczy czułem się tak, jakbym popełnił harakiri i moje wylewające się z brzucha wnętrzności smażyły się w słońcu. Tiny już tu nie było.

Przedłużanie pobytu w Klungkungu straciło wszelki sens. Nie widziałem siebie ani tutaj, ani gdziekolwiek indziej. Minibus, jedyne miejsce, gdzie powinienem się znajdować, mknął już ulicami miasteczka.

Catherine bez słowa zmieniła płytę w discmanie. Osobiście nie miałem ochoty na żadną muzykę, wołałem huk silnika. Każdy inny dźwięk za bardzo by mnie rozklejał. Przed startem rzuciła mi współczujące spojrzenie, które mnie tylko rozjątrzyło.

- Porozmawiamy w domu... Mam ci tyle do opowiedzenia, że nie mogę się już doczekać.

Jechaliśmy tak szybko, jak pozwalała na to moja stodwudziestkapiątka. Ponieważ nie miałem już okularów, nie wiedziałem, czy płaczę, czy łzawię z powodu wiatru wiejącego w oczy.

Rozmyślałem o Tinie, o rozklekotanym busiku, i nie mogłem opanować niepokoju - brawura tutejszych kierowców i okropne, wąskie jak ścieżki dla kóz drogi, biegnące skrajem urwiska, sto metrów nad poziomem morza, były wprost legendarne. Miałem fart, że w ciągu trzydziestu lat bywania na Bali nigdy nie musiałem korzystać z tych wehikułów śmierci. Jazda nimi była jak gra w rosyjską ruletkę. Sam bym nie zaryzykował, a jej pozwoliłem odjechać czymś takim! Byłem wściekły, że mój kurzy mózg niczego nie wymyślił, żeby temu zapobiec. Nie mogłem pogodzić się z tym, że Tina odkryje beze mnie ten fragment wybrzeża, który uwielbiałem najbardziej. Wyobrażałem sobie, jak uśmiecha się na widok dróg biegnących nad przyprawiającymi o zawrót głowy urwiskami, na widok niebieszcących się zatoczek, ukrytych plaż, które powoli zawłaszczają dzungla. Będzie jej tam dobrze. O tej porze roku Candi Dasa jest oazą spokoju.

Żeby nie zapomnieć, że życie jest piękne, każdej mojej myśli towarzyszył obraz jej czarnego stanika.

W południe jedliśmy już lunch z Michele. Sprawozdanie z naszej eskapady zostawiłem Catherine. Zapamiętała każdy szczegół, powtarzała wszystkie dialogi, zupełnie jakby w jej mózgu włączył się magnetofon. Jedną jej rozmowę z Tiną odbyła się bez mojego udziału, zaraz pierwszego wieczoru. Nie obfitowała wprawdzie w rewelacje zapowiadane przez Catherine, niemniej jednak wyjaśniła parę kwestii.

Tina ma trzydzieści siedem lat, jej mąż miał na imię Bruno, poznała go i zakochała się w nim, gdy miała

dziewiętnaście lat i studiowała prawo. Bruno został adwokatem, a ona bez żalu przerwała studia na czas pierwszej ciąży i nigdy już ich nie podjęła, zresztą z własnej woli. Jeśli wierzyć Catherine, Bruno był ideałem mężczyzny: dobry mąż i dobry ojciec, inteligentny, z poczuciem humoru, solidny, no i, byłbym o tym zapomniał, niezmiennie zakochany w swojej żonie. Skoro to taki fenomen, to dlaczego nie umieszczono go w charakterze eksponatu w muzeum człowieka?

Catherine zostawiła na koniec to, co w jej mniemaniu było sensacją: od owego pamiętnego dziewiętnastego roku życia Tina nie kochała się z żadnym mężczyzną poza swoim mężem. Urażona tym, że mnie to nie dziwi, uznała za konieczne dodać, na wypadek gdybym sam na to nie wpadł, iż Tina nie wyobraża sobie związku z innym facetem. Z zażenowaniem słuchałem wyznań i tajemnic, które Tina powierzyła Catherine w zaufaniu, ale było mi niezręcznie jej to wytykać.

Miała nawet czelność wypytać Tinę o sytuację materialną. Tak jak przypuszczałem, była zabezpieczona pod względem finansowym: sprzedała dom i po śmierci męża dostała dużą sumę z jego polisy ubezpieczeniowej na życie.

- A ile ja zgarnę po twojej śmierci?

- „Dowiesz się, kiedy umrę” (Cytat z piosenki In My Darkest Hour amerykańskiej grupy metalowej Megadeth.)! - zawołaliśmy z Michelelem jednocześnie i obaj odpukaliśmy w niemalowane drewno.

- Najważniejsze zachowała dla siebie - zakomunikowałem tajemniczo.

Catherine popatrzyła na mnie zdziwiona. Gdy opisałem w skrócie scenę oświadczyn, była załamana. Według niej popełniłem błąd. Zachodziła w głowę, jak w ogóle mogłem coś takiego zrobić, nie rozumiała tego.

- Po jakie лихо zwierzałeś się jej ze stanów swojego ducha?

- Miałem dość oszukiwania.

- No i rezultat jest taki, że uciekła!

- Wcale nie uciekła. Po prostu chciała побыć trochę sama...

- Akurat! Gdy jest sama, ma ochotę się powiesić!

Żeby mnie dobić, dodała, że dziwnym zbiegiem okoliczności nazajutrz po moim wybryku, kiedy kąpały się beze mnie w Lovina Beach, Tina oznajmiła, że chce kontynuować podróż sama. Wystarczyło kilka sekund, aby Catherine przekonała mnie, że jestem beznadziejny. Tina, zachwycona naszym towarzystwem, cieszyła się, że znalazła w nas bratnie dusze, była rozmowna, skora do śmiechu, chętna do włączenia się z nami, i gdybym trzymał język za zębami, nadal by tak było. A tak dołącza się teraz przeze mnie, sama w obskurnym pokoju. Jestem skończonym durniem.

Michel, zauważywszy, jak celnie jego żona dowala jego przyjacielowi, ruszył mi na ratunek.

- Najważniejsze, że twój komunikat został odebrany. Potraktowała cię serio. Gdyby zaczęła się z ciebie nabijać...

- Żadna kobieta nie nabija się z faceta - przerwała mu Catherine - który wyznaje jej miłość!

- Powinnyście się wstydzić. Cmentarze pełne są grobów gości, którym się to przytrafiło!

Nie było mi do śmiechu, mimo to roześmiałem się.

Nagle zadzwonił telefon. To była Tina. Catherine bez żenady włączyła głośnik.

Podróż minęła dobrze, była zachwycona drogą i krajobrazami, nie może się doczekać, żeby obejrzeć je jeszcze raz z siodełka stodwudziestki, którą właśnie wypożyczyła. Catherine zapisała numer jej hotelowego

telefonu i obiecała zadzwonić później, kiedy w pobliżu nie będzie „tych typów” i będą mogły swobodnie porozmawiać.

Byłem dumny jak paw, że wybrała zachwalany przeze mnie hotel Subak. Miałem nadzieję, że po przepychu Kupu Kupu Barong będzie zdziwiona, mile zdziwiona, że poleciłem jej tak skromny hotel. O tej porze roku jest w nim pustawo, podobnie jak na pobliskiej plaży. Catherine nie miała racji, Tina ma się dobrze. Od razu poczułem się lepiej.

Postanowiłem złapać pierwszy samolot odlatujący do Chiang - Rai. Rodzina spodziewała się mnie tam dopiero za trzy dni, ale nie mogłem przenieść się do naszego domu w Ujungu i ryzykować, że natknę się na Tinę.

Myśl, że nie mam prawa przebywać z nią, wyciągnąć się obok niej na piasku, zaprosić na kolację do restauracji, jechać za nią na motocyklu wzdłuż plaży, była nie do zniesienia. Wszystko, co najlepsze, zostało mi zabronione.

Nadzieja na powtórne spotkanie z nią kazała mi uzbroić się w cierpliwość. Tina obiecała przyjechać za dwanaście dni na przyjęcie z okazji urodzin Catherine, o ile wcześniej nie wróci do Francji. Michel miał do mnie zadzwonić i poinformować o jej planach - a więc i o moich. Gdyby wybierała się na uroczystość, wróciłbym na Bali po krótkim pobycie u rodziny. Gdyby wracała do Francji, zrobiłbym to samo. Nie znoszę sytuacji, kiedy nic ode mnie nie zależy, kiedy muszę puścić kierownicę i zdać się na ślepy los.

Po raz pierwszy wsiadałem do samolotu, który oddalał mnie od niej. Denpasar, Bangkok, Chiang - Rai. Powiększającą się odległość między nami odbierałem jak karę za niezawinione grzechy.

Na lotnisku w Chiang - Rai wypożyczyłem samochód. Od La Garde dzieliło mnie jeszcze trzydzieści kilometrów. Nie uprzedziłem nikogo o swoim przyjeździe, wolałem zrobić im niespodziankę.

Przybyłem wczesnym przedpołudniem, była sobota, dzieciaki kopały piłkę na podwórzu przed domem w oczekiwaniu na obiad. Przerwały na widok obcego samochodu podjeżdżającego pod portyk Vialat Wood Inc. Rozpoznawszy mnie za kierownicą, rzuciły się z krzykiem do auta. Byłem uszczęśliwiony jak zawsze, kiedy znów się spotykaliśmy. Po chwili w drzwiach wyjściowych pojawiła się moja siostra Isabelle. Zdziwiona, pomachała mi ręką.

Isabelle zawsze była najbliższą mi osobą - tą, która kochała mnie najbardziej, tą, która jeszcze kochała mnie najbardziej. Zrobiło mi się żal, że już nie mogę powiedzieć tego samego o sobie. Byliśmy nierozłączni przez prawie czterdzieści lat. Do szkoły poszła o rok wcześniej, żeby chodzić do tej samej klasy, co ja. Sophie i Martin, nasza siostrzyczka i braciszek, powiększyli rodzinę znacznie później; byliśmy już z Isabelle nastolatkami, kiedy nasza mama, młoda jeszcze kobieta, znowu zatęskniła za macierzyństwem.

Ojciec urodził się w Marsylii w 1903 roku. Będąc synem dokera, zaciągnął się w wieku szesnastu lat do marynarki handlowej. Od pierwszych rejsów Azja i tamtejsze kobiety podbiły jego serce. Porzucił marynarkę w połowie lat dwudziestych, żeby osiąść w Wietnamie, ówczesnej kolonii francuskiej, ale przybierający na sile ruch separatystyczny

zniechęcił go do zamieszkania tam na stałe. W tym czasie jedynym niezależnym krajem Azji Południowo - Wschodniej była Tajlandia i tam kupił w 1937 roku swój pierwszy las. Imał się wszystkich możliwych robót fizycznych, do czego predysponowała go postura. Został drwalem, co sobie chwalił, i piął się coraz wyżej, żeby po dwudziestu latach zainwestować oszczędności w eksploatację stuhektarowego lasu w pobliżu Chiang - Rai. Nazwał go La Garde, na pamiątkę katedry Notre - Dame - de - la - Garde w Marsylii. Z czasem dokupił sąsiednie tereny leśne i stał się jednym z najpoważniejszych przedsiębiorców w tej branży na zachód od Mekongu. Był typem wodza w dawnym stylu, szefem w pełnym znaczeniu tego słowa.

W wieku czterdziestu pięciu lat ożenił się z miłości z dziewiętnastoletnią Tajką, świeżo przyjętą do pracy w La Garde, ona zaś wielbiła go jak żywe bóstwo. Mojej matce zależało na nadaniu nam imion farangów - odpowiedników westernów w Tajlandii. Przyszedłem na świat jako pierwszy. Otrzymałem imię Franck na cześć Sinatry, za którym oboje rodzice przepadali.

Byłem ich jedynym dzieckiem o wyglądzie faranga. Oczywiście miałem tylko trochę skośne, włosy ani czarne, ani proste, a prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu wystarczyło, żebym uchodził w rodzinie za olbrzyma. Według Isabelle z powodu tych znaków szczególnych stałem się ulubieńcem ojca, traktującego mnie jak swoją własność. Miałem nadzieję, że się myliła.

Chociaż mieszkaliśmy w środku lasu, nie byliśmy odcięci od świata. Mieliśmy telewizję, każdego ranka dostawaliśmy z pocztą dzienniki „Le Provençal” i „L'Equipe”, a w Chiang - Rai, jak wszędzie, były kina, gdzie wyświetlano filmy amerykańskie, pobudzające naszą wyobraźnię. Kiedy byliśmy mali, matka zawoziła nas tam co sobotę. Później, jako

nastolatkiem, wyprawialiśmy się już do miasta sami na motorowerach.

W domu rozmawialiśmy po francusku, a wszędzie indziej - po tajsku i nigdy się nie myliliśmy. Ojciec, uznawszy, że jesteśmy na tyle dorośli, żeby opuścić rodzinne gniazdo, wysłał mnie i Isabelle do Bangkoku, gdzie przez dwa lata chodziliśmy do francuskiego liceum. Mieszkaliśmy u siostry naszej matki. Nie znosiliśmy jej. Potem na dwa lata, aż do matury, w Aix - en - Provence przygarnęła nas siostra ojca i tę ciotkę uwielbialiśmy. To wtedy zakochałem się w kraju moich przodków po mieczu.

Po maturze Isabelle wyjechała do Stanów na studia z zarządzania i administracji, ja zaś wróciłem do La Garde. Ojciec chciał, żebym objął po nim firmę. Nie śmiałem mu powiedzieć, że mam inne zamiary, sądziłem, że jeszcze zdążę.

Śmierć rodziców w wypadku samochodowym pięć lat później zmusiła mnie do zrewidowania planów. Razem z Isabelle podjęliśmy się prowadzenia Vialat Wood. Inc., jednocześnie zajmując się wychowaniem Sophie i Martina, wówczas zaledwie ośmio- i dziesięcioletnich. Przez następnych dwadzieścia lat żyłem, jakbym miał żonę i dwoje dzieci. Dopiero jako czterdziestodwulatek mogłem skoczyć na głęboką wodę.

Sophie i Martin pozakładali rodziny, zamieszkali i podjęli pracę w La Garde. Isabelle przeboleła swój rozwód. Firma dobrze prosperowała, można było rozszerzyć działalność o rynki zagraniczne. Wziąłem to na siebie. Przekazałem Isabelle tytuł prezesa, Sophie i Martin zostali mianowani wiceprezesami, mnie zaś przypadł tytuł prezesa honorowego, odpowiedzialnego za kontakty zagraniczne. Gdy spakowałem walizki, żadne z nich nie próbowało mnie zatrzymać. Wiedzieli, jak bardzo pragnę wyruszyć w świat i spełnić swoje młodzińcze marzenie.

Wracalem do La Garde na tydzien co dziesiec tygodni, niezmiennie od pieciu lat. Za kazdym razem dopadala mnie chandra i nie odstepowala przez kilka pierwszych godzin. Czulem sie tak, jakbym wroutil do sierocińca. Isabelle znalazła sposob na mój spleen, ustanawiając „rytuał pierwszego wieczoru”, który łagodzil trudną chwile powrotu, pozwalal zasnąć w tym pełnym duchów domu.

Tak więc kazdego pierwszego wieczoru, po rodzinnej kolacji, Isabelle przychodzila do mojego pokoju na dwie lub trzy fajeczki opium. Wyciągaliśmy sie na łozku, rozmawiali, palili, potem mówiliśmy coraz mniej, aż po godzinie czy dwóch splywał na mnie sen, porównywalny ze stanem nieważkości. Isabelle zawsze znajdowała dość siły, żeby sie podnieść i pójsc do swojego pokoju.

Rodzice też palili opium. Gdy mieliśmy po dziesiec i jedenaście lat, Isabelle znalazła cale oprzyrzadowanie, ukryte w szufladzie. Zbyt rozumni, żeby spróbować tego narkotyku w tak mlodym wieku, pierwszą fajkę wypaliliśmy w dniu piętnastych urodzin Isabelle. Polubiła to bardziej ode mnie. Od śmierci rodziców paliła kazdego wieczoru przed zaśnięciem.

Tym razem opium smakowało mi inaczej niż zwykle. Byłem smutny z powodu Tiny, a dokładniej: ten nowy smutek nakładal sie na inne smutki, chroniczne.

- Poznałem pewną kobietę - powiedziałem. Isabelle z uwagą wysluchala mojej opowieści. Byłem wzruszony, ona także, zwierzając sie na łozku w pokoju, w którym dorastałem. Zawsze wszystko jej mówiłem - o swoich nadziejach, lękach, niepokojach i miłostkach.

Jako nastolatka Isabelle marzyła o miłości, ale rodzina i praca pochlonęły ją bez reszty. Mąż odszedł od niej dawno temu. Syn studiował w Bangkoku i przyjeżdzał tylko na wakacje.

Na twarzy Isabelle pojawił się błogi uśmiech opiumisty. Przymknęła oczy.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam... Fajka się skończyła. Teraz było mi prawie dobrze.

Noc była krótka, wstałem wczesnie. Po niedzielnym rodzinnym śniadaniu udałem się razem z Martinem i z dziećmi na przejażdżkę autem z napędem na cztery koła. Lubilem wracać do moich lasów, opowiadać ich historię bratankom i siostrzeńcom, podobnie jak przedtem opowiadałem ją bratu i siostrze, kiedy byli w wieku swoich dzieci, a sam usłyszałem ją od ojca.

Sprawy firmy odłożyliśmy do poniedziałku. Isabelle postarała się, żebym w nadchodzącym tygodniu nie miał wolnej chwili. To były rzeczywiście piekielne dni. Firma V.W.I. potężnie się rozrosła, mieliśmy prężnie działające gospodarstwa leśne w Tajlandii, w Laosie, i w Indonezji. Isabelle większość spotkań odkładała na czas, kiedy byłem na miejscu, kładąc nieraz czekać naszym wspólnikom i klientom pod byle jakim, nawet najbardziej nieprawdziwym pretekstem. Święcie wierzyła, że mój wygląd faranga i dwadzieścia lat doświadczenia w zarządzaniu V.W.I. zrobią na nich wrażenie.

Michel zadzwonił dopiero piątego dnia. Wyściskał mnie na odległość i oddał słuchawkę Catherine. Spędziły z Tiną, Made i dziećmi dzień na plaży w Kusembie, w połowie drogi między Legianem i Candi Dasą. Tina postanowiła przedłużyć swój pobyt na Bali, co oznaczało, że przybędzie na urodziny Catherine. Mieszka w hotelu Subak w Candi Dasie. Czuje się bardzo dobrze, przemierza okolice na wypożyczonej stodwudziestcepiątce. Ma wyrzuty sumienia, że przesunęła termin powrotu, ale podjęła decyzję i nie wróci do domu przed końcem wakacji. Samotność, która tutaj ją uspokaja, tam by ją przerażała.

Dzień przed urodzinami Catherine znów siedziałem w samolocie. Tym razem każda przebyta mila, każda zostawiona z tyłu chmura przybliżały mnie do niej. Byłem wesoły jak szczygiełek.

Zobaczyć ją znowu na przyjęciu... O niczym innym nie marzyłem.

Michel, Catherine i Lou przyjechali po mnie na lotnisko. Od razu zaczęliśmy rozmawiać o Tinie. Rano konferowały z Catherine przez telefon.

- Wyjedzie jutro z Candi Dasy pierwszym minibusem. Made odbierze ją z hotelu i przywiezie do nas. Ja muszę jechać na lotnisko po siostrę. Przylatuje o siódmej, więc nie będę miała czasu.

Skreśliła mnie z programu, zołza! Odczekała chwilę, po czym dodała:

- Głupio się czuję... Nie miałam okazji pogadać z nią o tobie. Nie wie, że tutaj będziesz.

- Może mnie nie być, jeśli ma być ci głupio.

Powiedziałem to chyba nieprzyjemnym tonem, bo jęzda odwróciła się i sprawdziła, jaką mam minę. Widać nie była na tyle groźna, żeby zmusić ją do milczenia.

- Można dostać kręcka od tych matactw! Żałuję, że jej nie powiedziałam o twoim powrocie. Jeszcze sobie pomyśli...

- ...nic sobie nie pomyśli - przerwałem jej ostro. - Nie ma ośmiu lat. Bardzo dobrze, że jej o tym nie wspomniałaś.

Miałem prawo przypuszczać, że teraz wreszcie się zamknie, ale nie, lubiła się stawiać, wymachiwać szabelką przy byle okazji, dumna ze swojej bezkompromisowości, często wynikającej z lenistwa przed podjęciem innych działań.

- Czuję się jak hipokrytka, nienawidzę tego! Gdyby to była jakaś zdzira, jak ta twoja Amerykanka albo ta druga, ta mała grubaska, miałabym to gdzieś. Mierzi mnie podwójna gra, jaką z nią prowadzę, a do tego jeszcze Michel opowiada ci wszystko, o czym z nią gadam...

Ale hucpa! Mój związek z Tiną przeszkadza jej związkowi z nią! Przecież gdyby nie ja, nie wiedziałyby nawet o jej istnieniu! Byłem wściekły, musiałem wziąć kilka głębokich

oddechów, żeby nie wdawać się w dalszą pyskówkę. Michel uśmiechnął się do mnie we wstecznym lusterku.

Amerykanka i „mała grubaska”, która nie była ani mała, ani gruba, to kumpelki. Spotykałem się z nimi pięć czy sześć lat temu na stopie koleżeńskiej. Wówczas Catherine je uwielbiała i wciąż mnie namawiała, żebym zajął się jedną z nich na serio, ponieważ, według niej, były dla mnie stworzone.

*

W samochodzie Michel puścił radio na cały regulator, zagłuszając paplaninę Catherine. Zrozumiała i aż do domu nie otworzyła ust. Lou wzięła mnie za rękę.

Pod domem zaczekałem, aż dziewczyny się zmyją, i poprosiłem Michela o pożyczenie chevroleta, którym chciałem pojechać po Tinę do Candi Dasy.

- Coś ty! Weź jeepa, przecież pozna limuzynę.

- I o to chodzi.

Zrobił zdziwioną minę, ale wręczył mi kluczyki.

- Tylko, błagam, nie jedź za szybko, bo to model kolekcjonerski.

Ruszyłem. Silnik chodził jak zegarek.

Słońce zaszło. Do Candi Dasy zostało już tylko trzydzieści kilometrów. Przy pięćdziesięciu na godzinę, w ulewnym deszczu, z Bobem Marleyem puszczonego na maksa, w chevrolecie było przytulnie i miło. Z góry cieszyłem się na ponowne spotkanie z Tiną i na wspólną jazdę powrotną w intymnej atmosferze limuzyny.

Gdy dotarłem do hotelu Subak, zapadał zmierzch. Żeby nie wpaść na Tinę, wynająłem w pośpiechu pokój i zaszyłem się w nim. Zadzwoiłem do recepcji i dowiedziałem się, że pierwszy minibus do Kuty odjeżdża o szóstej rano. Zamówiłem budzenie na wpół do piątej i poszedłem do łóżka bez kolacji, z kryminałem Jamesa Hadleya Chase'a, ale nijak

nie mogłem wciągnąć się w akcję. Tina nieźle namieszała mi w głowie.

Miałem pietra. Co powie, kiedy zobaczy chevroleta i będę musiał się przyznać do tego, że jej przyjazd z lotniska po przybyciu na Bali został starannie zorganizowany? Specjalnie przyjechałem limuzyną: chciałem zmazać pierwsze kłamstwo. Teraz, będąc na miejscu, zastanawiałem się, jak ona to przyjmie.

Kwadrans po piątej zszedłem na dół i czekałem na nią na wewnętrznym patiu hotelu, skąd widziałem drzwi wszystkich pokoi. Było jeszcze ciemno.

Na drugiej kondygnacji galerii otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich ona, a mnie aż ścisnęło w środku. Miała na sobie lekkie granatowe spodnie, szary podkoszulek, a włosy, jeszcze wilgotne po umyciu, na tyle urosły, że mogła je zaczesać do tyłu.

Zniknęła na jakiś czas - tyle ile trzeba, żeby zejść z drugiego piętra. Na dole wyszła prosto na mnie. Stałem nieruchomo, w odległości pięciu metrów. Dostrzegłem, że zatknęła moje okulary za dekolt podkoszulka.

W ułamku sekundy na jej twarzy pojawiła się cała gama emocji: zdumienie, uśmiech, zakłopotanie. Kiedy podeszliśmy do siebie, dominowało zakłopotanie.

- Dzień dobry...

Co za szczęście móc usłyszeć ponownie jej głos! Zażenowana, zbliżyła się i wspięła na palce. Podczas gdy moje wargi dwukrotnie musnęły policzki Tiny, jej trafiały w próżnię. Czuję się nieswojo.

- Cieszę się, że panią widzę...

- Ale... pan tutaj? Od kiedy?

- Od wczorajszego wieczoru. Przyjechałem po panią. - Spostrzegłem błysk gniewu w jej oczach. Spodziewałem się tego i nie dałem się zbić z tropu. - Wiem od Catherine -

brnąłem dalej - że postanowiła pani jechać minibusem... Jutro zaczyna się okres świąteczny, pomyślałem, że może pani o tym nie wiedzieć. Minibusy będą przepełnione, mogłaby pani do żadnego się nie dostać.

Wyczułem jej wahanie. Pewnie zastanawiała się, czy wciskam jej kit i powinna kazać mi iść precz, czy podziękować za troskę. Nie zrobiła ani jednego, ani drugiego.

- Chwileczkę...

Nerwowym krokiem podeszła do recepcji uregulować rachunek. Usiadłem w fotelu. Drżały mi nogi. Nienawidzę takich siłowych rozwiązań.

Na parkingu przed hotelem stał tylko jeden samochód: Chevrolet. Tina zareagowała natychmiast.

- Znam ten samochód.

- Wiem.

Popatrzyła na mnie niepewnym, lekko zaniepokojonym wzrokiem. - Jak to?

- Zaraz wszystko opowiem.

Otworzyłem przed nią drzwi limuzyny i zaczekałem, aż wsiądzie. Nawet przyspieszając kroku, potrzebowałem wieczności, żeby obejść ten wielki jak stadion olimpijski krążownik szos. Tina zdążyła w tym czasie zapalić papierosa.

- No więc? - zapytała, ledwo usiadłem za kierownicą.

Zanim odpowiedziałem, ruszyłem z miejsca.

- To samochód Michela. Wayan, którego pani poznała, jest jego pracownikiem.

- Co to ma znaczyć?

Wziąłem głęboki oddech. Klamka zapadła. Nie było odwrotu.

- Już mówię. Poprosiłem Michela, żeby zrobił wszystko, co tylko możliwe, żeby umilić pani pobyt na wyspie... No więc umówił się z szefem hotelu, że zamiast firmowego auta z

szoferem wyśle po panią na lotnisko Wayana. Tutaj wszyscy się znajdują...

Spojrzała na mnie z mieszaniną niedowierzania i wściekłości w oczach.

- Co pan wygaduje! Nie wierzę własnym uszom!

- Uważałem, że po dwudziestu godzinach w samolocie wygodny samochód i ulubiona muzyka dobrze pani zrobią...

Jej zdziwienie sięgnęło zenitu, a wściekłość co najmniej się potroiła.

- Co? I to także?

- Roland powiedział, że uwielbia pani Scorpionsów...

Zaniemówiła. Była w furii. Przed nami ruszył z przystanku wypełniony po brzegi minibus. Ze trzydzieści osób zostało na lodzie. Dzieciaki obsiadły dach i zderzaki. Przy takim obciążeniu bus mógł jechać z prędkością nieprzekraczającą trzydziestu kilometrów na godzinę. Specjalnie go nie wyprzedzałem.

- Pilnowaliście mnie... Jak gliny!

- Nie, czuwaliśmy nad panią, a to nie to samo. Gdyby miała pani jakieś kłopoty, zaraz byśmy o tym wiedzieli... Moglibyśmy interweniować, przyjść z pomocą...

- Jakim prawem?! - zapytała podniesionym tonem. Była nie tylko oburzona, ale i zgorszona. Pytanie było retoryczne, mimo to odpowiedziałem:

- Prawem człowieka, który za wszelką cenę usiłuje... uprzyjemnić pani życie.

- No to się pan przeliczył!

Odebrałem to jak sierpowy Tysona. Zostałem znokautowany.

Opuściliśmy pogrążoną jeszcze we śnie Candi Dasę i wyjechaliśmy na szosę wzdłuż morza. Włączyłem stereo i wystartował Marley z Corning in from the cold. Nie patrząc na

mnie, Tina ściągnęła z podkoszulka moje okulary i położyła je na pokrywie schowka.

Narzucałem jej się, a tego nie lubiła. Dostrzegłem w tym wszystkim tylko jeden pozytyw: dzięki mojemu wyznaniu i jej reakcji nasze stosunki stały się w pewnym sensie namiętne. Była wściekła, bo czuła się złapana w sidła, zmanipulowana, choć przecież tak nie było. Nie zmusiłem jej do niczego, czego sama by nie chciała.

Nie odczuła żadnych przykrych skutków mojej troski, z wyjątkiem tej trzygodzinnej jazdy ze mną. Bez przesady z tą katorgą. Gdyby nie ja, spędziłaby dziesięć godzin na stojąco w zatłoczonym i przegrzanym busie. A poza tym miała wybór: mogła kazać mi zatrzymać się i wysiąść. Nie dodałbym gazu, chichocząc głupkowato.

Na całej trasie nie padło ani jedno słowo. Co jakiś czas zmieniałem płyty, nie pytając jej o zdanie. Wraz z upływem kilometrów wyczułem, że przyjemność, jaką jej sprawia podziwianie krajobrazów z okna tego salonu na kółkach, jest większa niż niechęć do mnie.

W Klungkungu, przejechawszy na drugi brzeg dużym żeliwnym mostem na rzece Jehunda, wartko spływającej z góry Abang, zatrzymałem się i zaproponowałem jej kawę. Wsiadła z samochodu bez słowa. Była siódma i miasto dopiero budziło się do życia. Odjechaliśmy po dziesięciu minutach i nadal nie usłyszałem jej głosu. Już się jednak nie boczyła, już nie czułem takiego napięcia. Gdybym nie doprowadził jej do szału, odbylibyśmy tę podróż w pogodnym nastroju. Nie musielibyśmy przecież mielić ozorami przez bite trzy godziny. Tina lubiła milczeć, ja również.

W Legianie odstawiłem ją do hotelu Stella.

- Dziękuję - rzuciła sucho, zanim wysiadła.

Nie musiała. Od tego „dziękuję” zrobiło mi się ciepło na sercu, tak jak by powiedziała „dobrze mi z tobą”.

Właściwie, patrząc na to optymistycznie, można założyć, że właśnie to miała na myśli, skoro podziękowała za te trzy godziny spędzone razem, zwłaszcza że na początku chciała mnie zabić.

Nie pojechałem wprost do Michela. Nie miałem ochoty odpowiadać na pytania Catherine. Włóczyłem się po mieście, rozglądając się za prezentem urodzinowym dla niej, i wreszcie wyszperałem w antykwariacie bransoletkę, jakiej szukałem.

Wylądowałem u nich koło południa. Catherine pojechała odebrać Lou ze szkoły. Zadzwoiłem do sklepu i podziękowałem Michelowi za chevroleta. Na pytanie, jak było, odpowiedziałem: „Dobrze” i położyłem się. Ubiegłej nocy spałem nie dłużej niż dwie godziny, a chciałem być wieczorem w formie. Zależało mi na tym, ponieważ, mówiąc łagodnie, nie startowałem z najlepszej pozycji.

Zanim zasnąłem, założyłem się sam ze sobą o parę rzeczy, które mnie interesowały. Czy Tina będzie ubrana na czarno? Tak. Zrobi sobie makijaż? Nie. Czy będzie tańczyć? Nie. Czy wyjdzie w trakcie przyjęcia, czy na końcu? W trakcie.

Jak się później okazało, miałem rację w połowie.

Stałem na tarasie i rozmawiałem z Luigim, kiedy pojawiła się na górze schodów. Pierwszy zakład przegrany: była w czarnych spodniach i czarnych tenisówkach, ale miała na sobie białą jedwabną koszulę. Wyglądała oszałamiająco pięknie. Po raz pierwszy przeraziłem się ogromu swojego uczucia. Przestraszyłem się, że jestem w błędzie. Tina nigdy nie będzie moja, a cała ta historia jest tylko wymysłem mojej chorej wyobraźni. Jeśli ta kobieta nie będzie moja, jeśli nie będzie mi dane dzielić z nią życia, nigdy się już nie pozbieram.

Zatrzymała się przy Made, Jeannocie i ich czterech szkrabach. Obyczaj nakazywał, aby w takie święto najbliżsi zjawili się na godzinę przed gośćmi. Kiedy dawaliśmy sobie z dziećmi buziaka, Tina i Made zniknęły we wnętrzu domu. Udały się na poszukiwanie Catherine, żeby wręczyć jej prezenty. Miałem to już za sobą. Bransoletka została przyjęta nadspodziewanie dobrze.

Tina pojawiła się ponownie po kwadransie razem z całą paczką dziewczyn: olśniewającą Catherine w dopasowanej czerwonej sukience mini, jej młodszą siostrą Annick, blondynką, całą na biało, Sonią w bajecznie kolorowym sarongu, i Made w postrzępionych dżinsach i podziurawionym podkoszulku, jakby przyszła sprzątać, a nie na przyjęcie. Wszystkie oprócz Made były ładne, choć każda na swój sposób. Tylko Tinę wszyscy zaproszeni, niezależnie od płci, uważali za piękną.

W gwarze odbywających się prezentacji i składanych życzeń Tina rozdała całusy panom, którzy nie szczędzili jej komplementów i nie kryli radości z ponownego spotkania. Nie ma chyba takiego mężczyzny na świecie, który nie poczułby się szczęśliwy na jej widok.

W końcu podeszła do mnie. Wygrałem zakład: była bez makijażu. Z mety mnie ostudziła.

- Myśmy się już widzieli.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, a już usadowiła się na kanapie, obok Catherine droczącej się z Michelelem.

- Byłam pewna, że będzie na mnie czekał gotowy wielki joint, ale widać było to tylko moje pobożne życzenie. Nawet na trzydzieste urodziny sama go muszę sobie skrócić!

Michel zachichotał i wyciągnął zza pleców gigantycznego, dwudziestocentymetrowego jointa. Pokazowy skręt, prawdziwe arcydzieło.

- A co to jest? Banan?

Catherine przypadła do stóp swojego mężczyzny i błagała go o przebaczenie, dając wyraz swojej żywiołowej elokwencji. Była przy tym szalenie zabawna. Tina się zaśmiewała.

Dźwięk klaksonów zapowiedział przybycie pierwszych gości i Catherine poderwała się na nogi.

- Dziewczyny, za mną!

Znające zwyczaje domu Made i Sonia podniosły się natychmiast, natomiast Tina i Annick trochę się ociągały.

- To będzie „Powrót Janis Joplin”. - zachichotał Michel.

Nie zrozumiały. Catherine przywołała do porządku zgromadzonych przy stole mężczyzn:

- A propos Janis Joplin, może któryś z was ruszy się wreszcie, żeby było ją trochę słychać. Nie myślcie, że będę robiła za didżeja!

Wzięła Annick i Tinę pod rękę i oddaliła się z nimi wolnym krokiem, kręcąc przy tym tyłkiem. Wszyscy jak jeden mąż gwizdnęliśmy, żeby zrobić jej przyjemność.

- Cała Catherine, nie sposób jej okiełznać - zażartował Michel.

- A próbowałeś bykowca? - zasugerował Jeannot.

- Nie odważy się - powiedziałem. - Bo a nuż ona go kocha?

Było dużo śmiechu. Zastanawiałem się, czy pozwoliłbym sobie na taką niemądrą uwagę w obecności Tiny. Pewnie nie, w każdym razie nie na trzeźwo. Rzadko ją rozśmieszałem.

Dużo bym dał za to, żeby udać się razem z dziewczynami do pokoju Catherine i zobaczyć reakcję Tiny po spożyciu halucynogennych grzybów. Mężczyźni byli wyłączeni z tego rytuału. Niby nie wiedzieli, że kobiety raczyły się nimi, a w rzeczywistości bardzo szybko się orientowali.

Michel pokazał nam miejsce, gdzie schował butelkę coli zaprawionej grzybami, zarezerwowaną dla panów. Lubiałem tę silną mieszankę wprawiającą w stan euforii, ale ponieważ Tina znajdowała się w pobliżu, nie było mowy, żebym to tknął. Zdarzyło mi się zachować nieodpowiedzialnie po czymś takim, więc wolałem nie ryzykować.

Nie minęły trzy kwadranse, a po domu krążyła już z setka gości. W połowie miejscowych, w połowie westernów, jedna trzecia na tarasie, reszta w ogrodzie, gdzie urządzono parkiet. Muzyka - łagodne techno - była odpowiednio nagłośniona i zachęcała do tańca. Oczywiście nie mnie, bo ja nigdy nie tańczę.

W stosownym momencie piątka dziewczyn zrobiła efektowne wejście na taras, trzymając się za ramiona jak girlsy w Lido. Ta, na którą wszyscy patrzyli, nie znajdowała się w środku. Rozległy się gwizdy, mężczyźni wyli jak wilki z kreskówki Texa Avery'ego.

- A ja chciałam, żeby to się odbyło dyskretnie! - powiedziała kokieteryjnie Catherine.

Była godzina jedenasta. Oprócz „myśmy się już widzieli” Tina nie odezwała się do mnie ani słowem. Gdyby wyszła stąd przed końcem przyjęcia, a nasze stosunki nie uległyby poprawie, byłbym skazany na inercję aż do powrotu do

Francji, gdzie, po wstawiennictwie jej brata, mógłbym próbować od nowa. Perspektywa była tak deprymująca, że postanowiłem użyć wszelkich możliwych sposobów, żeby to zmienić.

Staliśmy z Michelelem i Luigim oparci o balustradę tarasu. Po odbyciu rundy honorowej dziewczyny zeszły do ogrodu i przystanąły pod nami. Michel zwinął język i gwizdnął tym swoim charakterystycznym, rozpoznawalnym pośród tysiąca innych gwizdem, na co one podniosły głowy, a następnie, zanosząc się śmiechem, bardziej rozbawione niż Olivia Newton - John i jej koleżanki w Grease, rozsiadły się półkolem na trawie, przodem do parkietu. Przy głośnej muzyce nie mieliśmy szansy usłyszeć, o czym rozmawiają, ale na pewno nabijały się z nas. Tina ani razu nie popatrzyła w naszą stronę, za to dużo się śmiała. Kolejny przegrany zakład: spróbowała magicznych grzybów.

Przy fokstrocie Ikko i Dumbanga Catherine podniosła się z trawnika i zachęcała kumpelki do wspólnego tańca, ciągnąc za rękę jedną po drugiej i podnosząc je na nogi. Tylko Tina odmówiła. Catherine nie nalegała. Przecisnęły się na parkiet i ruszyły do fokstrota, śpiewając przy tym na całe gardło. Tina przyglądała im się i śmiała w najlepsze. Powiedziałem sobie, że przysiędę się do niej, jeżeli po tej piosence dziewczęta pozostaną na parkiecie.

Miałem wrażenie, że cofam się w rozwoju i zachowuję jak czternastolatek organizujący przyjęcie niespodziankę, ale tak naprawdę tylko okoliczności były młodzieńcze. Już nie miałem czternastu lat, Tina również. Mieliśmy na karku czterdziestkę i pięćdziesiątkę. Wkroczyliśmy, ni mniej ni więcej, w drugą połowę dorosłego życia. Z takim nastawieniem trudno poderwać się do lotu.

Po tej piosence didżej puścił kolejnego fokstrota Ikko, a panie tańczyły dalej. Schodząc ze schodów, czułem na sobie

rozbawiony wzrok Michela i Luigiego. Zbliżyłem się do Tiny od tyłu i usiadłem obok.

Zerknęła na mnie z absolutną obojętnością. Po ułamku sekundy jej wzrok znów powędrował na parkiet, gdzie dziewczyny szeptały coś sobie do ucha. Odczekałem chwilę, zanim otworzyłem usta.

- Czy mógłbym pani... Nie pozwoliła mi skończyć.

- Dlaczego zawsze jesteś taki oficjalny? Tutaj wszyscy są zżyci i mówią sobie po imieniu.

Pewność siebie i domaganie się większej poufałości zbiły mnie z tropu. Po raz pierwszy to ona chciała przyspieszyć kroku.

- Nie śmiałem proponować...

- A niby dlaczego?

- Dlatego, że... czekałem, kiedy pani... ty... pierwsza zaczniesz mówić mi po imieniu.

- Ojej, przestań marudzić!

- Masz rację... Tino...

Posłała mi cierpki uśmieszek, który miał oznaczać:

„Sam widzisz, że jak chcesz, to potrafisz!“. Byłem rozanielony.

- Lubię każdy twój uśmiech, Tino. Spiorunowała mnie wzrokiem. Przestraszyłem się, że zaraz stąd odejdzie, ale przesunęła się tylko, żeby lepiej widzieć tańczących. Zmieniłem ton na bardziej koleżeński:

- Nie napiłabyś się czegoś orzeźwiającego? Zobaczę, co tam mają - powiedziałem, podnosząc się z trawnika.

- Świetny pomysł. Umieram z pragnienia! Pognałem do kuchni, załadowałem na tacę szklanki, lód, wodę, sok z ananasa i zbiegłem na dół. Cała paczka już obsiadła Tinę. Dziewczyny powitały mnie owacyjnie.

Spędziliśmy noc, siedząc na trawie, opowiadając sobie różne bzdury, śmiejąc się, pijąc i paląc, słuchając muzyki,

obserwując nasze rozbawione koleżanki. Dotrzyliśmy z Michele towarzystwa Tinie, która, podobnie jak my, nie tańczyła. Ten zakład wygrałem. Zastanawiałem się, czy już tańczyła po śmierci męża. Odpowiedź logiczna brzmiałaby „tak”, ponieważ dziewięć na dziesięć kobiet uwielbia tańczyć, ale co do Tiny nie byłbym tego taki pewny. Być może dlatego, że jakoś nie umiałem sobie wyobrazić jej tańczącej.

Około trzeciej nad ranem Catherine porwała dziewczyny do swojego pokoju na kolejną porcję halucynogennych grzybów. Połowa zaproszonych dołądziła się chyba tym samym, w ogrodzie zapanowało bowiem istne szaleństwo. Tina jeszcze nigdy się tyle nie śmiała, dawno przekroczyła próg trzeźwości; z całą pewnością był to jej najlepszy i najweselszy wieczór.

Szczególne porozumienie nawiązała z Annick, siostrą Catherine, tak jak ona nowicjuską w tym gronie. Blondyneczka źle się czuła, długi czas przeleżała wyciągnięta na trawie, z głową na kolanach Tiny, która głaskała ją po włosach, nie przestając się śmiać. Gotów byłbym dać się zabić, byle znaleźć się na miejscu Annick i poczuć dłoń Tiny na włosach, jej udo pod policzkiem. Winszowałem sobie, że nie tknąłem magicznych grzybów, bo i bez tego byłem nieźle rozochocony.

Odkąd zaczęliśmy zwracać się do siebie po imieniu, nie zamieniliśmy więcej niż trzy słowa, ale najważniejsze, że nie było już między nami chłodu. Tina dobrze się czuła w gronie pań. Znalazła wśród nich swoje miejsce. Była doskonałym odbiorcą, śmiała się tak donośnie z żartów, że wszyscy prześcigali się w ich opowiadaniu. Salwy śmiechu były tak zaraźliwe, że nawet Michelowi i mnie, którzy jako jedyni pozostaliśmy wierni chablis i wódce, udzielił się nastrój wesołości.

O świcie, kiedy na parkiecie tańczyło jeszcze kilkanaście par, udaliśmy się na taras napić się kawy. Góry w oddali zaczynały różowieć. Rogal księżycyca robił się coraz bledszy, zapowiadając wzejście słońca i początek nowego dnia. Całości dopełniała psychodeliczna muzyka o powtarzających się rytmach - z pewnością Philipa Glassa. Tina siedziała w pozycji szewca, nasze kolana poruszały się do taktu i czasami tręcały. Towarzystwo powitało pojawienie się nagusieńkiej i zaspanej Lou ekstatycznymi westchnieniami. Dziewczynka podeszła do taty i wtuliła się w jego ramiona, a on opowiedział jej historię o słońcu zakochanym w księżycu, który nie może się do niego zbliżyć, bo grozi mu to spalaniem.

Podaliśmy kawę. Podnosząc filiżankę do ust, zerknąłem na Tinę. Siedziała w tej samej pozycji i też na mnie patrzyła. Uśmiechnęła się do mnie.

Zza wierzchołka góry wyjrzał skrawek słońca. Lou ssła palec z szeroko otwartymi oczami. Michel podniósł się z zamiarem zaprowadzenia jej do pokoju.

- Na mnie też pora - zwróciła się do mnie Tina.

- Odwiozę cię.

Uściskaliśmy Michela i Lou, zanim udali się na górę, potem resztę towarzystwa i zeszliśmy do ogrodu. Serce waliło mi jak oszalałe. Prześlizgnęliśmy się między ostatnimi tańczącymi parami i wyszli na ulicę.

Przed samochodem okazało się, że w kieszeni mam tylko kluczyki od stodwudziestki.

- Nie wziąłem kluczyków od Michela...

Już miałem rzucić się pędem po nie, ale mnie zatrzymała.

- Pojedźmy motocyklem. Jest tak ładnie.

O tej porze plaża była pusta. Toczyłem się powoli nad wodą, po mokrym piasku. Zza horyzontu wylaniała się czerwona kula słońca. Tina trzymała się moich ramion. Patrzyła na morze, na jeszcze uśpione fale na głębinie.

Jadąc z nią na motocyklu, osiągnąłem taki poziom zadowolenia i radości, o jakim nawet nie śniłem. W porannym słońcu odbywało się misterium: przyroda budziła się do życia. Po raz pierwszy od bardzo dawna niczego mi nie brakowało do szczęścia, bo ona była ze mną, czułem jej ręce na ramionach, uścisk palców przy każdym podskoku i dotyk piersi - miękkich, jakby nagich, odartych z koszuli i stanika - na moich plecach

Czyż tego wzlotu wszystkich moich zmysłów naraz nie można nazwać szczęściem? Bo czymże jest szczęście?

Ktoś mógłby powiedzieć, że szczęście to jest właśnie to, tyle że z kochającą mnie Tiną, z Tiną, która nie pożegna się ze mną za dziesięć minut i nie pójdzie spać beze mnie. Zapewne. Ale w tej chwili nie myślałem o tym, było mi zbyt dobrze.

Jechałem powoli, prawie wlokłem się, a i tak w końcu wylądowaliśmy na dziedzińcu hotelu. Zsiadłem z motocykla pierwszy, wysunąłem podpórkę i pomogłem jej zejść. Znalazła się tuż przy mnie, z ustami w odległości trzydziestu centymetrów od moich. Upojony chwilą, omal nie skradłem Tinie całusa, ale powstrzymałem się, choć umierałem z pragnienia. Pochyliłem się i pocałowałem jej dłoń od wewnętrznej strony. Kiedy się wyprostowałem, niespodziewanie objęła mnie za szyję. Zerknąłem na nią: z zamkniętymi oczami wyglądała nieziemsko. Ująłem w dłonie twarz Tiny i musnąłem ustami jej wargi. Co za rozkosz! Byłem rozpalony do białości. Wyczuła to. Nie chciałem niczego przyspieszać. Wszystko odbywało się w zwolnionym tempie. Nieśmiało wysunęła język. Dotknąłem go swoim.

Miałem ochotę na pełny, niekończący się pocałunek, ale jeszcze się powstrzymałem. Całowałem wargi, koniuszek języka. Zostawiła mi inicjatywę, była moja. Nigdy bym nie przypuszczał, że może być taka lubieżna, gotowa na wszystko. Stopniowo, nieuchronnie, nasze języki splątały się. Jej był rozpalony, wilgotny i szorstki, tak jak lubiłem. Chciałbym całować ją tak przez całą noc, kochać, całować i kochać, pieścić, chronić, nie opuścić do końca życia. Przytuleni, zaczęliśmy się o siebie ocierać. Poczulem pod podkoszulkiem jej rękę na gołej skórze. Znajdowałem się w innym świecie, poza czasem. W raju.

Przerwała pocałunek z nieziemską subtelnością, prześlizgnęła się wargami na mój policzek i wyszeptała: - Chodź...

Przyciągnąłem ją do siebie, obejmowaliśmy się i całowaliśmy zapamiętale, nasze rozbiegane palce sięgały wszędzie. Tina uwolniła się delikatnie i pociągnęła mnie za sobą.

- Chodź...

Nie wypuszczałem jej z ramion. Jak w złym śnie usłyszałem własny głos wypowiadający jedno słowo, jedyne, jakie miałem prawo powiedzieć:

- Nie...

Nie przestając mnie całować, zawędrowała ustami do mojego ucha i wyszeptała:

- O co chodzi? Nie czujesz, że mam ochotę?

To nie był odpowiedni moment na robienie wykładu, ale wiedziałem, że nie powinienem iść do niej, nawet gdybym miał cierpieć jak potępieniec. Nie przestając obsypywać jej pocałunkami, wyszeptałem, że ja też jej pragnę, i to nieludzko, pożądanie rozpala mnie do nieprzytomności, uwielbiam smak jej warg, języka, skóry, że będę ją kochał do końca moich dni, ale...

Nie chciała słyszeć żadnego „ale”. Przywarła do mnie ustami. Znów zaczęliśmy spalać się w pocałunku i coraz gwałtowniej pieścić. To mnie przypadło w udziale rozluźnienie uścisku.

- Jeśli pójdę z tobą na górę, nie będziesz chciała mnie więcej widzieć. Nie zniósłbym tego. Chcę być z tobą aż po kres moich dni.

Już nie byliśmy przyklejeni do siebie, staliśmy naprzeciwko. Tina cofnęła się troszeczkę, popatrzyła na mnie z taką miną, jakby zadawała sobie pytanie, jak to się stało, że się tak zagalopowała.

- Nie wiem, co...

Nie dokończyła. Była jednocześnie zażenowana i niezadowolona, ja też miałem się z pyszna. Już miała mi za złe, że ją całowałem, pieściłem, milcząco wyznawałem miłość. Czulem w ustach większą suchość, niż gdybym był na Saharze. Ledwo wyartykułowałem dwa zdania:

- To grzyby... Czasami tak działają...

Takie wyjaśnienie przyniosło jej chyba ulgę. Może zapomniała, że je brała.

- Chcę iść do siebie - powiedziała z nikłym uśmiechem.

Przeciągnęła ręką po włosach - ten zwyczaj pozostał jej z czasów, kiedy były długie - bezbarwnym głosem wyszeptała „dobranoc” i odwróciła się na pięcie. Moje „dobranoc” było za ciche, żeby do niej dotarło. Doszła chwiejnym krokiem do głównego wejścia, zobaczyłem jeszcze jej profil, gdy wchodziła po trzech stopniach do środka, i zniknęła. Nie odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć. Umarłem.

Powoli opuściłem dziedziniec. Motocykl stanowczo zbyt hałasował. Sto metrów dalej, w knajpce nad samym morzem, zobaczyłem kelnera czekającego na pierwszego klienta. Usiadłem w słońcu i zgodziłem się na wszystko, co mi zaproponował.

Co ja tu robię? Dlaczego nie jestem z nią i nie kochamy się teraz?

Ofiarowała mi siebie, a ja powiedziałem: nie!

Siedziałem ogłupiały na brzegu krzesła. Ta dezercja jawiła mi się jak coś nierzeczywistego, absurdalnego.

Długo nie mogłem się pozbierać. Byłem zdruzgotany. Marzyłem o tej chwili zespolenia, ona też tego pragnęła, żądała wręcz, a ja się wycofałem! Ta myśl była nie do zniesienia.

Usiadłem wygodnie, zapaliłem papierosa, zamknąłem oczy i odtwarzałem w pamięci chwile pożądania, zapomnienia i uniesienia. Nadal jeszcze płonąłem od jej pieszczot, od cudownie wilgotnych pocałunków... Wszystko, czego się o niej dowiedziałem - te intymne szczegóły, które wtedy poznałem - przyprawiało o zawrót głowy. Zapach skóry, smak języka, miękkość piersi, twardniejące pod wpływem mojego dotyku sutki, pojękiwania, przyspieszony oddech, kołysanie biodrami, aby całą sobą przywrzeć do mojego przyrodzenia. I wszystko, co odkryłem, sprawiło, że kochałem ją coraz mocniej.

Nagle zobaczyłem ją. W odległości stu metrów ode mnie przecięła ulicę i zmierzała w stronę morza. Miała na sobie granatowy sarong owinięty wokół bioder i biały podkoszulek. Szła szybko, na bosaka, wymachując rękami.

Nie przyszło mi na myśl, żeby pobiec za nią. Przeciwnie, krępowało mnie przypatrywanie się tej scenie bez jej wiedzy. Odnosiłem wrażenie, że ją szpieguję. Już miałem uciec, kiedy

kelner podał mi śniadanie. Nie spuszczać z niej wzroku, rzuciłem się na szaszłyki z kurczaka.

Zatrzymała się dwadzieścia metrów od brzegu. Rozwiązany sarong opadł u jej stóp, zdjęła podkoszulek. Pod spodem miała czarny kostium kąpielowy - ten, który lubiłem - z cienkimi ramiączkami skrzyżowanymi na plecach. Wolnym krokiem weszła do wody, schyliła się i zamoczyła końce palców. O tak wczesnej porze woda jest chłodnawa. Na całej plaży Tina była jedyną kąpiącą się osobą.

Pochłoniłem danie w dwie minuty, zapłaciłem, wsiadłem na motocykl i ruszyłem. Zatrzymałem się na rogu ulicy, trzysta metrów dalej, i stamtąd patrzyłem, jak płynie, nurkuje, igra z falami. Tym razem nie odczuwałem żadnej przyjemności. Przeciwnie - niemożność podejścia do niej sprawiała mi ogromny ból. Na wypadek gdyby coś jej się stało, zasłabnięcie lub cokolwiek innego, zaczekałem, aż wyjdzie z wody.

Zanim skręciłem za róg, zobaczyłem, jak okrywa sarongiem ociekające wodą biodra. Uznałem, że czuje się dobrze.

Zmieniłem zdanie. Dobrze zrobiłem, że z nią nie zostałem. Z upływem czasu dzielącego mnie od tamtych pocałunków utwierdzałem się w przekonaniu, że winę za chwilowe zapomnienie w dużym stopniu ponoszą magiczne grzyby. Postąpiłem słusznie, wykręcając się.

Gdybym poszedł z nią do pokoju, powrót na ziemię byłby dla niej z pewnością cięższym przeżyciem niż moja rejterada. Drżałem na myśl o własnym wstydzie, o tym, jak bym się czuł, kiedy Tina doszłaby do siebie, a ja leżałbym na niej albo byłbym w niej. Tak, znienawidziłaby mnie.

Miała prawo uznać mnie za tchórza albo za człowieka niespełna rozumu. Być może powinienem był zaryzykować i postawić na seks. Być może, odzyskawszy jasność myślenia,

byłaby zachwycona, że znajduje się w moich ramionach. Być może kochalibyśmy się cały dzień jak szaleni i zasnęli spleceni ze sobą, a po obudzeniu się Tina stwierdziłaby, że jest we mnie zakochana... No i co jeszcze? Nie, nie było takiej możliwości, nawet jednej na dziesięć miliardów. Życie i czarodziejskie baśnie nie idą ze sobą w parze.

Czułem się okropnie, jak jeszcze nigdy dotąd. Tina chciała się ze mną kochać, potrzebowała tego, a ja odmówiłem, żeby nie zaprzepaścić wszystkiego i dostać pewnego dnia to, czego pragnę! To było podłe, egoistyczne, nikczemne, obrzydliwe! Ucisk w klatce piersiowej powodował, iż miałem wrażenie, że serce rozsadza mi żebra.

Po powrocie do domu nawet się nie kładłem. Wiedziałem, że nie zasnę, że to imadło, które mnie tak ściska, nie popuści, dopóki się nie dowiem, co Tina zapamiętała z tych pięciu minut szaleństwa i jak oceniła moje zachowanie. Jak teraz ułożą się stosunki między nami?

Prawdopodobnie ten epizod nie pozostanie bez wpływu na nasz związek. Bo jeśli nawet Tina obudzi się, niczego nie pamiętając, to czy ja będę w stanie tłumić pożądanie, tak jak to robiłem dotychczas? Grzyby w brutalny sposób obnażyły popęd płciowy, zniosły bariery, ale przecież namiętność nie rodzi się z niczego, nie rzuciłaby się na każdego mężczyznę, który odwiózłby ją do domu. Poza tym, co jest bardzo ważne, narkotyk nie ma wpływu na to, w jaki sposób okazuje się pożądanie. Kobieta, którą trzymałem w ramionach, niczego nie udawała. Była prawdziwa. Czy teraz, kiedy wiem, że nasze ciała mogą współgrać, potrafię się opanować i nie rzucę się na nią? Czy będę mógł patrzeć na jej piersi, nie zdradzając wzburzenia, nie zachowując się lubieżnie?

Ruch w domu zaczął się koło południa. Pojechaliśmy na plażę, gdzie już czekała Made z dziećmi, ale bez męża, który

jeszcze leczył kaca. Tina, choć wiedziała o spotkaniu, nie przyszła.

W ogóle się nie pojawiła. Nie zatelefonowała wieczorem. Ani nazajutrz rano. Imadło nadal ścisnęło moją klatkę piersiową. Nie wiedziałem, co robić, co myśleć, rozważałem różne hipotezy - wszystkie jednakowo deprymujące. Miałem ochotę walić głową w ścianę. W południe Catherine zadzwoniła do niej, nie włączając tym razem głośnika.

- Dzień dobry! Tu Catherine. Jak się masz? - Słuchając odpowiedzi, dłuższą chwilę milczała, za to coraz bardziej smutniała. - Tak mi przykro, to przeze mnie. Nie powinnam była...

Usłyszałem protestujący głos Tiny. Catherine przerwała jej w pół zdania:

- Ależ tak, na pewno. Nie daruję sobie tego. Ale skoro jesteś chora, zatroszczymy się o ciebie... Zajrzę później do hotelu...

Tina widocznie powiedziała, że nie chce nikogo widzieć.

- Jak chcesz... Jak chcesz... Wypoczywaj... Całuję... - powiedziała na zakończenie z nagle pobladłą twarzą.

Odprawiła ją, bo źle się czuje. Ma migrenę i mdłości, grzyby bardzo jej zaszkodziły. Da znać, jak poczuje się lepiej.

Nie zadzwoniła nazajutrz. Następnego dnia też nie. Po trzech dniach milczenia nie wytrzymałem i sam zadzwoniłem. Recepcjonistka powiedziała, że lokatorka prosiła, żeby jej z nikim nie łączyć. Pognałem do Stelli, posmarowałem komu trzeba i dowiedziałem się, że Tina nie opuściła pokoju od tamtego poranka, kiedy kąpała się w oceanie. Na drzwiach jej pokoju wisi karta Don't disturb. Nie wpuszcza nawet sprzątaczkę. Sałatkę, którą zamawia co wieczór, oddaje prawie nietkniętą. Przelotnie widzieli ją tylko kelnerzy wnoszący tace: siedziała bezgranicznie smutna, w zadymionym pokoju,

przy włączonym telewizorze. Raz zamówiła w nocy butelkę wódki.

Wszedłem na górę, nie czekając na windę. Przed drzwiami, zanim zapukałem, złapałem oddech.

Nagle usłyszałem jej płacz, bardzo blisko, za ścianą.

Płakała jak ktoś, kto płacze od dawna, jak zagubione dziecko, przekonane, że zostało porzucone na zawsze. Potworny szloch, długa skarga przerywana zachrypniętą czkawką. Byłem załamany, zaciskałem zęby, żeby się nie rozryczeć. Dopóki płakała, nie odważyłem się poruszyć, nawet otrzeć łzy.

Kiedy się uspokoiła, zawróciłem i odszedłem na palcach.

Wróciłem po dwóch godzinach. Było południe.

Za drzwiami panowała cisza. Pomyślałem, że Tina śpi. Zapukałem jednak, dwa razy. Przytłumiony głos odpowiedział „tak”, tonem, który miał oznaczać: „Już otwieram”. Usłyszałem zbliżające się kroki. Serce zabiło mi gwałtownie.

Uchyliła drzwi, pozostając niewidoczna. Kiedy mnie zobaczyła, otworzyła je szerzej, zrobiła dziwną minę, bardziej zaskoczona niż wrogą, a ja zdobyłem się jedynie na powściągliwy uśmiech, właściwie na cień uśmiechu.

- Wejdz... Zaraz wrócę... - powiedziała, znikając w łazience.

Pokój był zadymiony, żaluzje opuszczone, zasłony zaciągnięte, lampka przy łóżku i telewizor włączone. W koszu na śmieci dostrzegłem butelkę po wódce i kilka plastikowych butelek po wodzie mineralnej, puszki po piwie, plik kartek zabazgranych nerwowym charakterem pisma, pokreślonych i podartych. Z kranu za ścianą pociekła woda, po chwili Tina wyszła z łazienki. Mimo że się odświeżyła, wyglądała jak z krzyża zdjeta, miała zapuchnięte od płaczu oczy i zapadnięte policzki. W ciągu czterech dni schudła ze trzy kilo, akurat tyle, ile przybrała od przyjazdu na Bali. Była wymizerowana, ale przede wszystkim nieszczęśliwa i pokonana. Miałem ochotę wziąć ją w ramiona i bronić przed nikczemnościami życia.

Włożyła swoje czarne luźne spodnie i czarny podkoszulek. Przyjrzałem się jej dłoniom: paznokcie miała jak zawsze krótko obcięte i idealnie czyste. Póki dba o paznokcie, nie jest z nią najgorzej - pomyślałem, podniesiony na duchu.

- Przepraszam, że się narzucam...

- Strasznie tu nadymione! Zaraz otworzę okno...

Kręcąc korbką, podnosiła żaluzje. Słońce stopniowo zalewało pokój. Zmrużyła oczy, szukała wzrokiem okularów, więc podałem jej swoje - te, które mi zwróciła. Podziękowała,

uśmiechając się smętnie, i założyła je. Było jej w nich cholernie do twarzy (czy w czymkolwiek jest jej nie do twarzy?), wyszła na balkon, a ja za nią.

Przez chwilę stała nieruchomo, spoglądając na morze, którego kojący błękit ciągnął się aż po horyzont. Miała zbolałą twarz jak podczas naszego pierwszego spotkania, była tak samo wychudzona, tak samo poważna i trochę sztywna.

Kiedy słońce zanadto przypiekło jej ramiona, usiadła na leżaku stojącym w cieniu, twarzą do morza. Usadowiłem się na drugim, który stał obok. Przez pręty balkonu widać było surferów ślizgających się na falach.

Milczenie przeciągało się. Doszedłem do wniosku, że sama nie zacznie rozmowy.

- Podobno nie wychodzisz z domu od tamtego ranka... Niepokoiłem się... Ciągle źle się czujesz? Co się dzieje?

- A to, że wyrzuciłam moje lekarstwa. Odtąd coś jest nie tak. Mam nadzieję, że złe samopoczucie wkrótce minie...

- Ale... dlaczego... co cię do tego skłoniło? Przełknęła ślinę, siląc się na uśmiech.

- Tego ranka, kiedy mnie odwiozłeś, poszłam się kąpać. Było mi tak dobrze, wróciłam do pokoju i nadal czułam się cudownie, więc wrzuciłam tabletki do toalety. Śmiałam się sama do siebie, czułam się taka silna, byłam pewna, że mogę się bez nich obejść... Rezultat był taki, że nie spałam trzy doby.

- A teraz?

- Śpię jak niemowlę! No właśnie! - Zachichotała nerwowo, łza spłynęła jej po policzku. Zatrzymała ją końcem palca. - Mam wrażenie, jakby czas cofnął się o pół roku.

Przykucnąłem obok niej i przekonywałem, że się myli, że to, co było, już nie wróci. Przechodzi teraz trudne chwile, ale najgorsze ma już za sobą. Tak bardzo wierzyłem w to, co mówię, tak bardzo chciałem znów zobaczyć uśmiech na jej

twarży, że starałem się być jak najbardziej przekonujący, mówiłem z takim zapałem, jakbym nie dostrzegał żadnego zagrożenia.

- Oczywiście, taka metoda odtruwania organizmu jest dość brutalna. No, ale przecież oboje wiemy, że nie ma innej możliwości, żeby z tym skończyć. Trzeba to świństwo odstawić z dnia na dzień i tak też zrobiłaś. Brawo!

Uśmiechnęła się.

Przekonałem ją wreszcie, że zamykanie się w zadymionym pokoju nie jest właściwym lekarstwem na jej stan. Zaciągnąłem ją na dach hotelu na lunch. Nigdy tam nie była.

Taras w hotelu Stella znajdował się na ostatnim piętrze czegoś w rodzaju donżonu dobudowanego do głównego budynku. Otwarty na przestrzał, umiejscowiony na wysokości trzydziestu metrów, stanowił wspaniały punkt obserwacyjny na Legian i Kutę, na morze i dżunglę. Ponieważ okoliczne domy miały nie więcej niż dwa piętra, czuliśmy się tutaj jak w latarni morskiej. Jakiś czas milczeliśmy i tylko rozglądali się dookoła - na miasto w prażącym w samo południe słońcu, na ocean, na majaczącą w oddali górę Agung.

Byliśmy jedynymi klientami restauracji. Młoda kelnerka przyjmująca od nas zamówienie zapytała, czy nie chcielibyśmy posłuchać muzyki. Oczywiście, że chcieliśmy. Po chwili rozpoznałem nosowy głos Axela Rose'a i melodyjny gwizd, którym rozpoczyna się Civil War. Dobry wybór, dziewczyno! Za chwilę spokojny rytm przejdzie w konwulsyjny rock, więc nie ma obawy, że dopadnie nas melancholia.

Podczas obiadu zapytałem ją, czy nadal zamierza wrócić do Francji w przewidzianym terminie, czyli za dziesięć dni. Zasepiła się.

- Już nie mogę niczego zmienić, zawiadomiłam chłopców o przyjeździe. No i jak na złość wrócę w takim samym stanie, w jakim wyjechałam...

- Nie jesteś w takim samym stanie! Lepiej czuć się źle, nie zażywając niczego, niż pakując w siebie środki antydepresyjne!

- To zależy od punktu widzenia.

- Nie. Taka jest prawda.

- Zawsze taki jesteś?

Zaniepokoił mnie sarkastyczny ton jej głosu.

- Co to znaczy „taki”?

- Właśnie taki: pozytywnie nastawiony, optymistyczny, uśmiechnięty...

Nie powiedziała „naiwny” ani „głupi”, ale na jedno wychodziło.

- Uważasz, że przesadzam?

- Trochę...

- Szkoda. Ale nie sędzę, żebym przesadzał. Po prostu uważam, że jutro będzie lepiej, niż jest dzisiaj.

- Ty to masz szczęście.

Tym razem powiedziała to bez ironii.

Zjedliśmy nasi goreng - bogato garniowany smażony ryż z ostrymi przyprawami. Zapaliłem papierosa. Axel Rose brawurowo rozpoczął balladę Don't cry. Tina wybijała rytm bosymi stopami. Były wspaniałe - prawdziwie kobiece, wąskie, ale nie kościste, o zachwycających palcach, nie za krótkich, nie za długich.

Zanim podano nam kawę, ośmieliłem się zauważyć, że odmawiając sobie wszystkiego, co lubi, pogarsza swój stan. Nie powinna rezygnować z przyjemności. Spacer, przejażdżki, kąpiele, a zwłaszcza balijska przyroda, której harmonią tak się zachwyciła - wszystko to pozwala ujrzeć sprawy w innym świetle. Słuchała uważnie, jakby

potrzebowała zainteresowania swoją osobą. Odbierała je na pozytywnych falach, aczkolwiek moje zaangażowanie aż za bardzo rzucało się w oczy i mogło być dla niej krępujące. Powinna na nowo uczepić się życia. Za dziesięć dni spotka się z dziećmi. Nie ma czasu do stracenia.

Patrzyła na mnie tak przyjaźnie, że posunąłem się o krok dalej i zaplanowałem jej cały dzień.

- Teraz każde z nas wróci do siebie na małą sjęstę. Przyjadę o trzeciej, wypożyczymy motocykl dla ciebie i pojedziemy do Uluwatu. To tylko pół godziny drogi stąd, na końcu półwyspu Bukhit. Zobaczysz, spodoba ci się tam... Wykapiemy się po drodze. Po powrocie weźmiesz prysznic i przebierzesz się, a potem wybierzemy się do miasta. Może kupisz sobie jakieś płyty, jakiś drobiazg w antykwariacie albo kuszącą spódniczkę z wystawy...

- Z tą spódniczką to już przesadziłeś!

- Dlaczego? Byłoby ci bardzo ładnie w...

- Oczywiście!

Co znaczyło: „Dobra, dobra”.

- O dziewiątej wieczorem na rozgrzewkę - ciągnąłem niezrażony - aperitif i przekąski w Dimitri. Potem kolacja w White Lagoon. Następnie jedna czy dwie vodka - get w King's Bar. Zamykają go o drugiej, więc nie grozi nam żadne szaleństwo. Potem, jeżeli za dużo wypijemy, możemy zakończyć wieczór w McDonalddie. Dwa royal cheese, duża porcja frytek i chocolate sundae wystarczą na splukanie litra wódki. Będziesz po tym spala jak kamień. To najlepszy środek nasenny na świecie!

Warto było się wysilić, żeby zobaczyć jej uśmiech.

- Musisz być jednak czujna. Łatwo wpaść w pułapkę i jedno uzależnienie zastąpić drugim. Wódka i royal cheese też są szkodliwe. Za pół roku z trudem wbiłabyś się w rozmiar XXL. Pękała ze śmiechu.

Początkowo uważałem, że Tina mniej mnie onieśmiela z powodu naszej namiętnej przygody na dziedzińcu Stelli. Trzymałem ją w ramionach, poznałem jej ciało, smak ust, pieszczoty, pocałunki, ona poznała moje. Taka intymność mogła wszystko zmienić, ale nie, zmieniło się tylko to, że nabrała do mnie zaufania.

O trzeciej, powiadomiona przez recepcjonistkę o moim przybyciu, Tina wyszła z windy. Po oczach poznałem, że mój status uległ zmianie. Wyglądała na zadowoloną, że przyszedłem i wybieramy się razem na przejażdżkę.

Na dziedzińcu czekały dwie stodwudziestki. Załatwiłem z Nagibem, żeby dwóch chłopaczków pomogło mi podstawić je pod hotel. Podałem jej kluczyki. W oddali czarne chmury nacierały na słońce jak wojenna nawałnica.

Po półgodzinie zatrzymaliśmy się na plaży przed Jimbaranem. Weszliśmy do oceanu ramię w ramię. Nasza pierwsza wspólna kąpiel. Woda była ciepła. Choć nie miałem odwagi patrzeć, dostrzegłem piersi Tyny sterczące bezwstydnie pod kostiumem. Popłynęliśmy na głębszą wodę, dostosowałem się do jej rytmu. Jednocześnie wynurzaliśmy głowy dla nabrania powietrza. Nasze ciała opływała słona woda, ślizgała się po nich i po naszych twarzach niczym idealna pieszczota. Niebo nad nami pociemniało i po chwili zaczęło ostro padać. Deszcz był chłodniejszy od wody w morzu, leżeliśmy nieruchomo na plecach z rozpostartymi ramionami, z twarzami zraszany niebiańskim deszczem, zanurzeni w ciepłej wodzie oceanu. Znajdowała się tylko metr ode mnie, na wyciągnięcie ręki.

Kiedy ruszaliśmy w dalszą drogę, znów świeciło słońce. Tina również promieniała. Kąpiel ją odświeżyła. Jej twarz, wygładzona deszczówką, lśniła jak wypolerowany kamień, bez śladu soli. Pomknęliśmy do Uluwatu, na najbardziej wysunięty na południe kraniec wyspy. Drogę wskazywała nam wyrazista tęcza. Powietrze było miękkie i delikatne jak puder dla niemowląt.

Uluwatu słynie ze stromych brzegów, surferów i pięknych zachodów słońca.

Widzieliśmy wszystko.

Najpierw piliśmy herbatę w barze na klifie górującym nad plażą. Robiło się późno, morze wytracało impet, na wodzie zostało już tylko dwóch zapalonych surferów, którzy wykorzystywali najmniejszą falę, żeby się jeszcze poślizgać. Czerwona kula słońca w otoczeniu granatowych i fioletowych chmur powoli zbliżała się do linii horyzontu. Trzeba było wsiadać na motocykle i dojechać do świątyni wzniesionej na skraju najwyższego klifu Uluwatu, sześćdziesiąt metrów nad falami. Właśnie z tego miejsca kultu można oglądać najpiękniejsze zachody słońca na Bali i w ogóle na świecie. Po drodze mijaliśmy setki zaparkowanych motorowerów i aut.

Na górze zebrał się tłum. Bajecznie kolorowe kompozycje z owoców na głowach kobiet zdawały się unosić nad tysięczną rzeszą wiernych ubranych na pomarańczowo, zwróconych w stronę słońca, śpiewających, rozmawiających, modlących się, roześmianych.

Okrążyliśmy to ogarnięte zbiorowym szaleństwem zgromadzenie i zatrzymaliśmy się w niezbyt dogodnym miejscu, zbyt oddalonym od centrum ceremonii, ale za to z doskonałym widokiem aż po horyzont. Fale na głębokiej wodzie mieniły się różnymi barwami: od granatowej po pomarańczową i karminową. Tina nie mogła się nadziwić panującej tu atmosferze: wesołości ludzi, radosnym śpiewom, temu całemu rozgardiaszowi, niemającemu nic wspólnego z powagą nabożeństw w jej stronach. W całym tym zgiełku tylko ona mówiła szeptem.

Nagle niebo pokraśniało. Tłum wpadł w zachwyt, zawył z radości, jedynie my w milczeniu podziwialiśmy rozgrywające się na naszych oczach widowisko. Ojcowie i matki unosili swoje dzieci wysoko ponad głowy, podrzucali je do góry, prosto w nasycone czerwienią powietrze.

Taki zachód słońca nie zdarza się co dzień. Ognista kula wchłonęła chmury i już nic nie mąciło jarzącego się w niej

światła. Potem, prześlizgując się na drugą stronę świata, naznaczyła gorejącym płomieniem ocean i Uluwatu. Po trzydziestu albo czterdziestu sekundach czerwień przeszła w róż, potem róż przemieniał się w coraz intensywniejszy fiolet, aż zrobiło się ciemno.

Tina zerknęła na mnie od czasu do czasu, sprawdzając, czy na mnie też zrobiło to takie ogromne wrażenie jak na niej. Po pięciu dniach spędzonych w odosobnieniu radość, że się tu znalazła, wprost rzucała się w oczy. Trwający od trzech godzin wielki spektakl, z udziałem nieba, słońca i morza, uświadomił jej, co traci, zamykając się w pokoju z opuszczonymi żaluzjami. Przypominał, jak odżywczy wpływ mają dobroczynne fluidy wysyłane przez przyrodę. Znow się przekonywała, że najskuteczniejszym lekiem jest sama natura i wiatr we włosach, słońce na ramionach, krople deszczu na twarzy, oczyszczająca moc oceanu, uspokajający szum palmowych liści, światło zmierzchu, widok przystrojonego gwiazdami nocnego nieba.

O wpół do siódmej byliśmy z powrotem w Stelli. Podczas gdy Tina szykowała się do wyjścia, ja przechadzałem się brzegiem plaży. Jeszcze tylko cienka czerwona niteczka zaznaczała horyzont. Spotkaliśmy się dziesięć minut później. Tina miała wilgotne włosy, ubrana była w sprane dżinsy i białą koszulę. Wyglądała jak uczennica.

Po Kucie włączyliśmy się pieszo. O tej porze ulicami przewalały się tłumy. Tina kupiła album zespołu Guns'n Roses, którego muzyka towarzyszyła nam niedawno na tarasie Stelli. Nie przymierzyła żadnej spódniczki.

Po paru pierwszych wódkach w Dimitri zaczęła wypytywać mnie o podróże, jakie kraje zwiedziłem, i praktycznie do końca wieczoru rozmawialiśmy tylko o tym. Jej ciekawość, granicząca nieraz z naiwnością, czyniła z niej idealną słuchaczkę.

W rzeczywistości było mi jeszcze daleko do poznania całego świata. Jedynym kontynentem, gdzie czułem się jak w domu, była Azja. Wiele mnie z nią łączyło: rodzina, praca, fascynacja kulturą i dawnymi cywilizacjami - poruszałem się tu całkiem niezłe, podczas gdy w innych stronach świata czułem się wyobcowany.

Opowiadałem jej o urodzie miejsc, które widziałem w przelocie i chciałbym jeszcze kiedyś zobaczyć. Nie powiedziałem „z tobą”, ale to było tak oczywiste, że mogła się tego domyślić: Kenia i lasy Kanady, Nil i Tobago, Rzym i Nowy Jork... Reagowała żywo, jakby wszystkiego spragniona.

Stało się - połknęła bakcyła podróżowania.

Zasmakowała w czymś, co mogło nadać sens jej nowemu życiu, co mogłaby dzielić z ludźmi, których kocha i lubi. Była podekscytowana: przez pięćdziesiąt lat, jakie miała przed sobą, mogła odkryć dla siebie całą ziemię. Ta pasja nas zbliżała, ponieważ oboje należeliśmy do rodziny „kontemplujących włóczędów”. Marzyły nam się świątynie Azteków i dziewicze połączenie bieguna północnego, bezkresne przestrzenie, zamorskie kwiaty, zwierzęta i ptaki, miasta i wsie, nieznanne twarze na ulicach, muzyka, barwy, zapachy.

Kolacja w White Lagoon była wyśmienita. Przytłumione dźwięki sugestywnej muzyki indonezyjskiej potęgowały egzotykę, woń kadzidel mieszała się z zapachem imbiru. Tina próbowała wszystkich potraw, pytała o ich nazwy.

O północy wylądowaliśmy w barze King's, gdzie zabawiała się miejscowa młodzież przed udaniem się do dyskoteki. Usiedliśmy przy barze, twarzą do gigantycznego ekranu, z nagrany na wideo koncert zespołu Bon Jovi. Czekając na podanie zamówionych dwóch vodka - get, wyjaśniłem, że zdaniem Michela ta mieszanka dwóch trzecich wódki z jedną trzecią francuskiego likieru miętowego jest

wynalazkiem Serge'a Gainsbourga, który nazwał ten koktajl Zielonym Smokiem.

Tina, zmylona podobieństwem do napoju miętowego, upiła tak duży łyk tego legendarnego już płynu, że aż ją zatkało.

- Auu! Ale mocne!

Trzeba było widzieć jej minę, kiedy poczuła pieczenie w gardle, i uśmiech, z jakim powiedziała: „Ale mocne!”. Mam fart, że się w niej zakochałem.

Gdy umilkła piosenka zespołu Bon Jovi, odwróciliśmy się jednocześnie, żeby zobaczyć, kto teraz pojawi się na ekranie. Natychmiast rozpoznała Scorpionsów. Nie spuszczać z nich oczu, wypić drugi łyk, bardziej obliczony na swoją miarę, i oblizła smakujące miętą wargi.

Nagle wpadłem na pewien pomysł. Taki z gatunku życzeń, a nawet marzeń.

Podjąłem decyzję w ciągu dziesięciu sekund. Okazja nadarzyła się sama. Przy fokstrocie w wykonaniu Scorpionsów miałem szansę na powodzenie. Musiałem się tylko pilnować, żeby zbyt nie okazywać entuzjazmu.

- Co zamierzasz zrobić przez dziesięć dni, które zostały ci do wyjazdu? Nie chciałabyś się gdzieś ruszyć?

- Jeszcze nie wiem.

- Może wybrałabyś się ze mną na Lombok? To wyspa, niedaleko stąd... Dzika, spokojna, byłabyś nią zachwycona...

Odwróciła głowę w moją stronę, uniosła brwi.

- Muszę tam obejrzeć las. Godzina motocyklem do portu Padang, cztery godziny promem wśród delfinów i latających ryb i jesteśmy na miejscu.

Słuchała z drwiącym uśmieszkiem, mówiącym: „Nie ze mną te numery, cwaniaczku”. Nalegałem.

- Nie rób takiej miny, jak bym plótł androny! Już nieraz okazało się, że podobają nam się te same rzeczy, jesteśmy już

niemal dobrymi kumplami, dlaczego nie moglibyśmy wyjechać na parę dni we dwoje?

- Brzmi niewinnie!

- Kiedy to prawda! Byłoby szczytem głupoty, gdybyśmy nie mogli się przyjaźnić i podróżować razem tylko dlatego, że za tobą szaleję.

Powiedziałem to żartobliwym tonem, ale nie wywołałem tym uśmiechu na jej twarzy. Bałem się na nią spojrzeć, przenosiłem wzrok na ekran, potem z ekranu na nią. Alkohol dodawał mi odwagi, strasznie chciałem, żeby mi ufała, pragnąłem ją przekonać i uspokoić, bez uciekania się do kłamstwa.

- To takie oczywiste. Uwielbiam z tobą przebywać, poznawać cię... i wcale nie zżera mnie namiętność, nie zadrezczam się pytaniem, czy kiedyś mnie pokochasz... Wiem, że... biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się w twoim życiu, w najbliższym czasie takie sprawy nie wchodzą w rachubę. Podoba mi się, że taka właśnie jesteś.

Słuchała mnie z kamienną twarzą, na szczęście bez zniecierpliwienia. Wypiliśmy nasze Zielone Smoki, więc zamówiłem jeszcze dwa. W oczekiwaniu na następną kolejkę Tina połknęła kostki lodu pozostałe na dnie szklanki. Na ekranie Scorpionsi ustąpili miejsca nieśmiertelnemu Marleyowi. Buffalo soldier. Zrobiło się lżej, wyhamowałem emocje, którym dałem się ponieść, i kontynuowałem tym samym co poprzednio żartobliwym tonem.

- Uwielbiam cię. Nie mogłabyś trafić na lepszego przyjaciela ode mnie... Podoba mi się w tobie każdy najdrobniejszy szczegół, wszystko - sposób mówienia, poruszania się, twoje ręce, głos, twoja twarz, kiedy jesteś smutna i kiedy się uśmiechasz. Lubię patrzeć, jak gramolisz się na motocykl, słuchać, jak rozmawiasz z kelnerami w

restauracji... A to, czy mnie kochasz, czy nie, niczego nie zmienia. Jesteś sobą...

Patrząc na jej profil, nie dostrzegłem nic, co powinno by mnie skłonić do milczenia. Na ekranie, w dużym zbliżeniu, Marley potrząsał dreadami. Już widziałem się z nią na statku, kontynuowałem więc podekscytowany:

- Pożądanie musi być wzajemne, ale miłość nie. Nie umrę z pożądania, jeśli wiem, że tobie ani to w głowie... Ale kochać cię mogę, nawet jeśli ty mnie nie kochasz. To nawet proste!

W końcu się uśmiechnęła.

Kiedy odstawiłem ją do Stelli, darując sobie i jej McDonalda, było wpół do drugiej w nocy. Powiedziała, że zadzwoni rano do Catherine i zaproponuje wspólne śniadanie na plaży. Czy będę wolny i przyjdę?

- Oczywiście, wyjazd na Lombok przewidziany jest dopiero pojutrze.

Nie podjęła tego tematu, cmoknęła mnie dwa razy, powiedziała „do jutra” i weszła do hotelu.

Nazajutrz zastałem ją już na plaży z obiema siostrami. Ucieszyła się z ponownego spotkania. Ja zachowywałem się z rezerwą. Zostawiłem je po śniadaniu. Przed powrotem do domu miały odebrać ze szkoły Lou. Tina pomogła Michelowi przygotować posiłek, który zjedliśmy w szóstkę. Jak zawsze kilka razy odleciała myślami.

Koło północy poczuła się zmęczona - miała poważne zaległości w spaniu. Odwiozłem ją jeepem. Dopiero przed hotelem napomknąłem o wyprawie na Lombok.

- Zasięgnąłem informacji o jutrzejszych kursach promu. Gdybyśmy wyjechali w południe, dotarlibyśmy akurat na zachód słońca. - Zareagowała uśmiechem, więc dodałem: - Przyjechać po ciebie o dziesiątej? Nie za wcześnie?

- Nie, w porządku.

Nie dałem po sobie poznać, że jestem zdziwiony.

Na przepelnionym promie nie było ani jednego siedzącego miejsca, włącznie z podłogą. Pustką wiało jedynie na pomostach, gdzie niemiłosiernie prażyło słońce. Odpływając, usiedliśmy na rufie, żeby patrzeć na oddalającą się Bali. Dopiero po godzinie, gdy znaleźliśmy się na pełnym morzu, otoczeni błękitem nieba i wody, przenieśliśmy się na dziób, przodem do słońca.

Tina regularnie polewała sobie twarz wodą mineralną ze spryskiwacza, który potem mi podawała. Słońce i wiatr błyskawicznie wysuszały skórę. Szkoda, bo krople spływające po jej twarzy, niebędące łzami, nie szpeciły jej ani trochę. Na świecie mało jest chyba ludzi szczęśliwszych ode mnie.

Z piany wyskakiwały latające ryby. Tina śledziła ich lot i uśmiechała się błogo. Towarzyszące promowi mewy nurkowały za nimi i próbowały je złowić, jednak tego dnia, jakby zdopingowane wzrokiem Tiny, ryby nie dały się zaskoczyć.

Tina nigdy nie płynęła statkiem. Zafascynowana, doznawała wzruszeń na miarę Krzysztofa Kolumba i Marca Pola oraz wszystkich żeglarzy, którzy przed nią widzieli, jak morze otwiera się przed statkiem, i wypatrywali lądu na horyzoncie.

Nie chciałem się jej narzucać, więc pod pretekstem nieznośnego słońca wdrapałem się na wyższy pokład, gdzie dziesięć metrów za nią znalazłem cień. Ledwie zdążyłem się umościć, wyjęła z torby słuchawki. Uznałem, że dobrze zrobiłem, zostawiając ją samą, że pewnie od początku podróży rwała się do posłuchania muzyki, ale nie miała odwagi odciąć się tak radykalnie, kiedy byłem z nią. Wkurzyłem się na myśl, że swoją obecnością mogłem ją pozbawić jakiejkolwiek przyjemności i że wciąż czuje się przy mnie skrępowana. Z

drugiej strony, oczywiście, było mi miło, że z wetknięciem sobie do uszu słuchawek poczekała, aż zostanie sama.

Zdjęła tenisówki, podwinęła dżinsy do kolan i wysunęła nogi za burkę, trzymając je nad wodą. Silniejsze fale zraszały zapewne jej stopy. Za nią, z twarzą przykrytą chustką, spał jakiś mężczyzna.

Wkrótce pojawiły się pierwsze delfiny. Spieszyły na spotkanie z promem, jakby przyciągała je postać w białym podkoszulku na dziobie statku. Tina odwróciła się w moją stronę, sprawdzając, czy ja też je widzę. Było ich pięć, wynurzyły się ponownie na wysokości promu, wyskakując w górę jak jakieś morskie koźlątka. Bardzo szybko zniknęły nam z pola widzenia. Gdy zszedłem z górnego pokładu i usiadłem obok niej, już nie miała w uszach słuchawek.

Po trzech godzinach spędzonych na pełnym morzu ujrzeliśmy ląd. Z daleka Lombok wydaje się tajemniczą wyspą Verne'a, z bliska przypomina Bali: takie same plaże, palmy, góry porośnięte lasami.

Do portu Lembar, przycupniętego na końcu estuarium, wpływa się wąskim kanałem. Stary zardzewiały prom zgrzytał i chrzęścił, lawirując między wzniesionymi na palach domami. W ładowni czekały na nas motocykle, a my byliśmy nie tylko podróżnymi, ale także łowcami przygód. Obiecałem sobie, że przedstawię nas w hotelu jako pana i panią Indiana Jonesów, choć wiedziałem, że się nie ośmielę.

Siedzieliśmy na pomoście aż do chwili, kiedy prom, ustawivszy się równolegle do nabrzeża, przybił do niego, uderzając burtą w stare opony. Tina wyglądała tak, jakby była bliska udaru. W drodze, kiedy słońce zaczęło mocno przypiekać, uprzedzałem ją, żeby uważała, ale machnęła ręką, dając do zrozumienia, że ma to gdzieś.

Dopiero kiedy wydobyliśmy nasze motocykle z brzucha statku, zobaczyła w lusterku spieczoną na raka twarz. Biała była tylko skóra wokół oczu, chroniona przez okulary. Mieliśmy niezły ubaw.

W ładowni, w oczekiwaniu na wyjazd, dwieście motorowerów i dziesięć ciężarówek urządziło istną kanonadę. Huk, dym i wyziewy spalin były nie do zniesienia. Wyciągnęliśmy bandany i przewiązaliśmy twarze jak bandyci.

Już nie byliśmy panem i panią Indiana Jonesami, lecz Bonnie i Clyde.

Przy wyjeździe z portu wypatrzyliśmy drogowskaz na Senggigi. Zdjęliśmy chustki i wygrzebali z torby discmany, aby uprzyjemnić sobie dalszą podróż muzyką. Ponieważ Tina zastanawiała się nad wyborem płyty, zasugerowałem Johna Surnama. Nie знаła go. Poradziłem, żeby zaczęła od utworu Repeat, który trwa osiem minut, czyli będzie go mogła wysłuchać dwa albo nawet trzy razy. Sam zdecydowałem się na No Prima Donna, w hołdzie Morrisonowi - rock pobudza, dopinguje do ostrej jazdy.

Puściłem Tinę przodem. Jej stodwudziestkapiątka była taka sama jak moja - też niebieska, tylko trochę nowsza. Świetnie sobie radziła z tą maszyną. Można by pomyśleć, że całe życie spędziła na siodełku motocykla. Jechałem za nią i podziwiałem, jak doskonale wtapia się w krajobraz. Za to ona na pewno była szczęśliwa, że nie ma nikogo przed sobą. Świat jest dobrze urządzony.

Nadal byliśmy w Indonezji, od Bali dzieliło nas tylko sto kilometrów, a mimo to znaleźliśmy się w innej cywilizacji, mieliśmy do czynienia z inną religią, odmienną architekturą. Tinę zdumiała ta nagła zmiana otoczenia. Lombok, kraina islamu, z powodu ogromnej konkurencji Bali, swojej hinduistycznej sąsiadki, pozostał niemal nietknięty przez masową turystykę. Tutaj samochodów prawie się nie spotyka. Szosą ciągną przeważnie konne dokary, kursujące między wioskami. Te archaiczne dwukółki, ozdobione masą kwiatów, pomponami i frędzlami, zabierają do piętnastu osób. Kiedy je wyprzedzaliśmy, pasażerowie pozdrawiali nas - o tej porze roku para westernów na stodwudziestkachpiątkach to rzadki widok.

W Senggigi zamieszkaliśmy w jednym z bungalowów rozrzuconych na brzegu zatoczki w kształcie idealnego łuku. Wzięliśmy prysznic w swoich pokojach, po czym spotkaliśmy się na tarasie restauracji. Od plaży odgradzał nas tylko niski murek, tak że fale zamierały niemal u naszych stóp. Znad horyzontu wystawała już tylko połowa pomarańczowego słońca. Tina była rozpromieniona, jakby przepłynęła Pacyfik na żaglach. Szukając w torbie papierosów, natknęła się na discmana.

- Piękna była ta muzyka, którą mi poleciłeś. Mogę ją zatrzymać?

Chyba nie myślała, że wyrwę jej tę płytę! Wyjąłem z torby pudełko i podałem jej. Odnalazła na nim tytuł piosenki. Uśmiechnęła się, odczytując: Portrait of a romantic. Nie wyskakiwałem z tym wcześniej, żeby nie wyjść na durnia. Pewnie i tak przesadziłem.

O zmierzchu wszystkie latarnie zapłonęły jednocześnie. Tina zaskoczyła mnie pytaniem:

- Jak myślisz, mają tu karty? - Karty?

- Do gry. As, król, dama...

Roześmiałem się. Przyznałem się, że nie znam żadnej gry. W La Garde mieliśmy inne rozrywki. W kasynach grywałem tylko w ruletkę, nigdy w karty.

- Nauczę cię.

W szafce w recepcji znalazła to, czego szukała. Wybrała dwie mało zniszczone talie i wróciliśmy na taras. Zaczęła od remika, którego zasad musiałem się nauczyć, jeśli chciałem z nią grać w jej ulubioną, bardziej zaawansowaną grę, jaką był remik gin. Byłem zaskoczony, kiedy to powiedziała; jakbyśmy mieli razem podróżować dłuższy czas, jakby widziała nas razem w odległej przyszłości.

Przeliczyła, potasowała i rozdała karty z wprawą zawodowego gracza. Przyglądałem się temu z zachwytem.

- Jesteśmy zapalonymi karciarzami - usprawiedliwiała się.
- Wszyscy, moi bracia, ja, dzieci... mój mąż.

A więc jej mąż grywał w karty! Nareszcie jakaś skaza, nareszcie coś, co rzuca cień na wizerunek przykładnego małżonka z aureolą świętości wokół głowy! Karty to męska gra, grywał więc i bez niej, z facetami. Już sobie wyobrażałem te wieczory, a może i noce, spędzone na czekaniu na niego, na kibicowaniu mu, na podawaniu kolejnych piw! Nieźle, Bruno! Jak mogłeś spędzać czas na grze w karty, będąc kochanym przez taką kobietę?!

Pierwsze rozdanie, w którym wytłumaczyła mi zasady gry, było na niby, ale od drugiego musiałem już radzić sobie sam. Rozłożyła mnie na obie łopatki - wygrałem jedną partię z pięciu, i to tylko przez przypadek.

Kolację zjedliśmy przy tym samym stole. Gra w karty źle podziałała na Tinę, przywołała wspomnienia, nastroiła melancholijnie. Początkowo próbowałem ją rozweselić. Jej smutek mnie dobijał. Co jestem wart - zastanawiałem się - skoro nie potrafię jej dać tego, czego ona potrzebuje?

Zamówiła tylko jedno danie, ja poszedłem w jej ślady, więc o siódmej byliśmy już po kolacji. Tina nie była senna, nie miała ochoty na pogaduszki, ale też nie chciała wylądować w pokoju sama ze swoimi widmami. Zaproponowałem spacer po mieście, choćby po to, żeby w miejscowych bookshope poszukać czegoś do czytania. Skończyłem mojego Chase'a, a jako zwolennik fly light nigdy nie wkładałem do torby więcej niż jedną książkę: po przeczytaniu zamieniałem ją na inną w jednej z księgarni z drugiej ręki, których pełno jest w Azji.

Tina nie była zainteresowana lekturą, nie udało jej się nawet zacząć powieści Mary Higgins Clark, choć wozila ją od

początku podróży. Po dwóch stronach uświadamiała sobie, że nic do niej nie dociera.

Wypiłem kawę jednym haustem. Była jeszcze gorsza niż zwykle. Pomyślałem o ojcu, który zawsze narzekał na kawę u nas domu. Tina nigdy nie piła jej wieczorem, ja też nie za często, teraz zamówiłem ją tylko po to, żeby nie kończyć tak szybko posiłku.

Główna ulica Senggigi tonęła w półmroku. Bary i restauracje bezskutecznie czekały na klientów, bookshop był jednym z nielicznych otwartych o tej porze miejsc publicznych. Jak niemal wszędzie, francuskojęzyczne książki zajmowały tylko jedną półkę, z czego dwie trzecie to kryminały z serii OSS 117 i jakieś marne podróbki powieści detektywistycznych. Jak zawsze, znalazł się jeden James Hadley Chase. Tytuł nic mi nie mówił. Wymieniłem go na mojego nowiutkiego Chase'a, nie dopłacając nawet jednej rupii.

Po powrocie do hotelu zaproponowałem szklaneczkę czegoś mocniejszego przed zaśnięciem. Powiedziała „zgoda” w sposób, jaki uwielbiałem. Udałem się do mojego pokoju i w lodówce znalazłem wszystko, co potrzeba - dwie buteleczki wódki i kostki lodu. Gdy wróciłem na taras, Tiny nie było. Drzwi do niej były otwarte, więc zajrzałem do środka: siedziała na łóżku i robiła skręta.

- Catherine dała mi trochę trawy... Obserwowałem jej ruchy. Widać było, że nie robi tego na co dzień. Podniosła skręta do ust, przeciągnęła po nim językiem i skleiła końce bibułki. Pomyślałem mimowolnie, że znam ten język, wiem, jaki jest dobry, ciepły i szorstki, bardziej stworzony do całowania niż do sklejanego jointów.

Paliliśmy na dworze, siedząc w wiklinowych fotelach przed otwartymi drzwiami do naszych pokoi, wsłuchani w

szum załamujących się przy brzegu fal. Tylko u nas paliło się światło. Sięgnąłem po leżącego na stoliku Chase'a.

- Poczytać ci na głos? Zrobiła zdziwiona minę.

- Nie wiem... Kiedy byłam mała, lubiłam słuchać...

Opowiedziałem jej, jaką miałem frajdę dawno temu

w La Garde, czytając bajki moim braciom i siostram, a później ich dzieciom. Całe wieczory schodziły nam na zgłębianiu losów bohaterów moich ulubionych powieści, razem z nimi odkrywałem mroczne, tajemnicze wątki kryminałów.

Powiedziała, że chciałyby spróbować.

- Znasz jakąś powieść Chase'a? - Nie.

- Tym lepiej, ale jeśli ci się nie spodoba, przerywamy.

- Sam się przekonasz. Jeżeli zasnę... Uśmiechnęła się.

Otworzyłem książkę na pierwszym rozdziale. Tina podłożyła sobie poduszkę pod plecy, ja zaś dopiłem wódkę.

Już po pierwszych zdaniach zorientowałem się, że mam do czynienia z Chase'em pierwszej próby:

- „Okolo wpół do dziesiątej wieczorem, po czterech godzinach jazdy, dotarliśmy do Pelotty. Była to nieduża miejscowość na wybrzeżu Florydy, podobna do stu tysięcy innych, ze sklepami, kioskami z pamiątkami, kawiarniami i stacją benzynową...”

Upłynęły trzy godziny, a my wciąż czytaliśmy. To znaczy ja czytałem, a ona słuchała. To był dobry Chase. Wokoło szeleściły liście palm, grały świerszcze, kumkały żaby, szum uśpionego morza nadawał nocy rytm, czytałem kobiecie mojego życia kryminał ulubionego autora, widziałem jej profil madonny, zmarszczone brwi, jedną rękę leżącą na dżinsach, drugą z papierosem między palcami, którą podnosiła do ust w geście tak doskonałym, że miałem ochotę ująć ją w swoją dłoń, całować, pieścić, przycisnąć do serca.

Kończąc czwarty rozdział - umówiliśmy się, że to będzie ostatni - zagiąłem rożek dziewięćdziesiątej czwartej strony. Tina wstała i przeciągnęła się.

- To było dobre. Jak widać, każdy dzień uczy czegoś nowego.

- Aha! To dlatego staruszka nie chciała umierać. Rozśmieszyłem ją. To było powiedzenie mojej babki. Powiedziała mi dobranoc, ja życzyłem jej przyjemnych snów i rozeszliśmy się. W pokoju usiadłem na łóżku i oparłem się plecami o ścianę. Jej łóżko przylegało do mojego, tyle że po drugiej stronie ściany. Usłyszałem lejącą się wodę z kranu, a potem już nic. Położyłem się. Nie przypuszczałem, że poczucie takiej bliskości będzie dla mnie aż tak uciążliwe. Na szczęście mieliśmy tu spędzić tylko jedną noc. Nazajutrz przenosiliśmy się na drugi koniec wyspy.

Mijały godziny, a ja wierciłem się na posłaniu, bezskutecznie czekając na sen. Powtarzałem sobie, że za ścianą ona męczy się tak samo jak ja i też nie może zasnąć, więc może lepiej by było, gdybyśmy się do siebie przytulili. Nie mogłem jednak zapukać do niej i powiedzieć: „Chcesz, żebym położył się obok ciebie?”. Nie, w żadnym wypadku.

Wyobrażałem sobie najbardziej idylliczne sytuacje. Na przykład idę na plażę, wchodzę do wody, a ona dołącza do mnie. Albo zostawiam otwarte drzwi, zasypiam, a o świcie budzę się z nią śpiącą obok mnie. Właściwie czemu nie? Mogłaby mieć dość samotnego przewracania się z boku na bok i wyjść zaczerpnąć powietrza. Zobaczywszy uchylone drzwi, położyłaby się przy mnie, spragniona obecności drugiego człowieka.

Wstałem z łóżka, uchyliłem drzwi i znów się położyłem. Tym razem zasnąłem.

Zerwałem się o świcie. Nie było jej w moim łóżku. Ponowne zaśnięcie zajęło mi godzinę. Rezultat był taki, że kiedy się docuciłem, Tina była już na dworze.

Gdy tylko otworzyłem drzwi pokoju, zobaczyłem jej mikroskopijną głowę w błękitnym oceanie. Płynęła na głęboką wodę. Morze było spokojne i gładkie jak jezioro. W oddali, gdy podniesie się poranna mgiełka, będzie widać Bali. Na tarasie, na jednym ze stołów, na którym kelner stawiał śniadanie, rozpoznałem jej rzeczy.

Wyszła z wody dwoma susami, wytarła twarz sarongiem, po czym owinęła nim biodra, zsunęła ramiączka, włożyła podkoszulek i zdjęła mokry kostium. Wyglądała zabójczo, idąc przez plażę w moją stronę. Czy jeszcze długo będzie robiła na mnie takie wrażenie? Czy kiedyś spojrzę na nią obiektywnie, a moje serce nie oszaleje na jej widok - tak jak teraz - ociekającej wodą, z rozwichrzonymi krótkimi włosami, z poruszającymi się pod podkoszulkiem piersiami, na bosaka, zostawiającej ślady wspaniałych stóp na ceramicznych płytkach? Byłem pewny, że taki dzień nigdy nie nastąpi, i to przekonanie napawało mnie w równej mierze i radością, i trwogą.

Okolo dziewiątej opuściliśmy Senggigi. Jechaliśmy wzdłuż plaży, kierując się na północ, drogą prowadzącą nad urwiskiem. Mijaliśmy porty rybackie, gdzie czas się zatrzymał, dobrze utrzymane plantacje palm i woły pasące się dwa kroki od niebieskich fal. W powietrzu unosiło się mnóstwo pyłków - fruwały wszędzie, jakby specjalnie dla nas, żeby wszystko było jeszcze piękniejsze.

W Bangsai piliśmy kawę na plaży. Wyjąłem mapę Lomboku i pokazałem Tinie naszą trasę. Docelowo jechaliśmy do położonej na przeciwległym krańcu wyspy miejscowości o nazwie Kute. Na mapie wyglądało to tak, jakbyśmy mieli

przejechać w poprzek całą Australię, podczas gdy w rzeczywistości było to nie więcej niż sto czterdzieści kilometrów. W drodze do Kute ani razu nie zobaczymy morza.

- Wiesz, na co miałabym ochotę? - zapytała, uśmiechając się z wyrachowaniem.

Nie, nie wiedziałem, ale po sposobie, w jaki zwróciła się do mnie - a zrobiła to tak zachwycająco, że miałem ochotę ją schrupać - spodziewałem się, że poprosi mnie o coś trudnego, ale czemu będę w stanie sprostać.

- Już z góry się na to cieszę.

- Chciałabym się dowiedzieć, jak nasz Johnny wybrnie z sytuacji...

Załapałem po sekundzie: Johnny to bohater kryminału Chase'a.

- Właśnie chciałem ci to zaproponować...

To nie było grube kłamstwo. Tina podniosła się z piasku.

- Wykąpiemy się szybko, a potem przeczytamy rozdziałik. Idziesz?

Nie chciałem być na każde jej zawołanie, to by było niedyplomatyczne z mojej strony, więc się wymówiłem.

Podczas kiedy Tina pluskała się w wodzie, wziąłem nasze rzeczy i przeniosłem bliżej brzegu. Nie minęło pięć minut, jak już leżała koło mnie, ociekająca wodą, z papierosem w ustach.

- „Bursztynowe odbłaski pomarańczowego księżycy igrały na wodzie. Na piasku stał zaparkowany samochód z wygaszonymi światłami. Po jego obu stronach mężczyzna i kobieta rozbierali się w pośpiechu...”

Tina słuchała z zamkniętymi oczami. Wypuszczała dym z papierosa, wysuwając wargi jak do pocałunku. Zapałałem chęcią pocałowania jej. Przyływ nagłego, nieoczekiwanego pożądania zmusił mnie do przerywania lektury. Tina otworzyła oczy. Poczujęm się jak kompletny idiota, więc szybko podjąłem wątek. Z rozpędu zaliczyłem też rozdział szósty. Dla

niej gotów byłem przeczytać jednym tchem Wojnę i pokój, gdyby tego zażądała.

Droga na południe wiodła przez lasy i góry. Jadąc z prędkością nieprzekraczającą czterdziestu kilometrów na godzinę, mogliśmy spokojnie kontemplować widoki, wypatrywać ptaków na drzewach, przyglądać się małpom, które bawiły się i wygłupiały na każdym kroku.

Gdy zrobiliśmy sobie przerwę na papierosa, natychmiast zeskoczyły z drzew i zbliżyły się do nas. Tina wyjęła z torby aparat fotograficzny - zupełnie nowy, co mnie trochę zdziwiło. Powiedziałem, żeby uważała, bo małpy mogą jej go wyrwać. Jak na zawołanie dwie z nich zaczęły się na nią wdrapywać, więc podała mi aparat ze śmiechem. Korzystając z okazji, obfotografowałem ją jak paparazzi: miałem ją w kadrze, wyizolowaną od całego świata, robiłem zbliżenia za pomocą zoomu, aż po największe; była niesamowicie fotogeniczna. Kiedy zaczęła iść, małpki ruszyły za nią, ale gdy doszła do mnie i do naszych motocykli, nagle przystanąły. Tina zrobiła zdjęcie areopagowi małp, wpatrujących się w nią okrągłymi oczami.

Zaniepokoiła mnie jej zdecydowanie uprzywilejowana relacja z małpami. Z jednej strony były zafascynowane tą olbrzymką, w której wyczuły swój gatunek, i jednocześnie zdumione, że jest taka inna, taka piękna, taka pełna gracji. Doszedłem do wniosku, że patrzę na nią jak one, jakbym sam był małpą.

Powiedziała, że kupiła aparat, bo chciała zrobić przyjemność synom. Po otrzymaniu pierwszych listów od niej nalegali w rozmowach telefonicznych, żeby przysyłała zdjęcia zwiedzanych miejsc, zamiast je opisywać. Łatwo się domyślić, że była zraniona tą prośbą. Dzieci wołały kolorowe fotografie od słów przesyconych matczyną miłością.

Po zazielenionych górach pojawiły się suche płaskie tereny: wzgórza ustąpiły miejsca równinom. Minęliśmy ze sto wiosek, w większości składających się z glinianych chat. Na spotkanie wybiegała nam chmara nagich dzieci. Za pierwszym razem, Tina, poruszona ich widokiem, przystanęła. Dzieciarnia otoczyła nas ze wszystkich stron, krzycząc: „Dollars! dollars!”. Dała im wszystkie drobne, jakie miała, ale potem już się więcej nie zatrzymywała.

Kute, wypisane na mapie wielkimi literami, okazało się zabita dechami dziurą, z nędznymi barakami wzdłuż jedynej ulicy, w dodatku tylko utwardzonej. Przejechaliśmy przez opustoszałe miasteczko w zwolnionym tempie. Słońce prażyło niemiłosiernie. Na końcu drogi znajdowała się plaża. Trzydziestometrowe czarne monolity okalające zatokę zmieniały ten rajski krajobraz w księżycowy pejzaż. Morze wydawało się martwe. Scenerię jak nie z tego świata ożywiały jedynie krążące wokół skał mewy.

- Daleko jeszcze? - zapytała Tina.

- Jesteśmy prawie na miejscu.

Mata Hari Inn był jednym z nielicznych czynnych o tej porze roku moteli. Gdzie indziej uznalibyśmy go za prymitywny, tutaj jednak uchodził za luksusowy. Na zielonej łące, w dużej odległości od siebie, stało kilkanaście krytych strzechą bambusowych domków, wejściami zwróconych w stronę widocznego w oddali Rinjani - jednego z dwóch najwyższych szczytów Indonezji, wznoszącego się na wysokość 3727 metrów nad poziomem morza.

Zajechaliśmy przed budynek z pustaków, zasłaniający widok na łąkę i szalasy. Spojrzeliśmy na siebie z niepewnymi minami. Wyłączyliśmy silniki i wtedy usłyszeliśmy głos Tracy Chapman. Tina nie wierzyła własnym uszom. Weszła pewnym krokiem do dużej sali, będącej zarazem recepcją, barem i jadalnią. Mężczyzna, który słuchał Tracy Chapman,

stał odwrócony do nas plecami i zmywał naczynia. Nie miał na sobie koszuli, czarne włosy sięgały mu do pasa. Kiedy się odwrócił, doznałem szoku: był łudząco podobny do pewnego amerykańskiego aktora w typie chicano (Chicano - Amerykanin pochodzenia meksykańskiego.), nazwisko wyleciało mi z głowy. Przysięgłbym, że to on, choć to niemożliwe, aby gwiazdor filmowy zmywał naczynia w tej zapadłej dziurze.

Wypełniliśmy karty meldunkowe, pobraliśmy klucze z tablicy.

- Niesamowite, jak bardzo ten gość przypomina aktora, który grał w La Bamba - szepnęła Tina. - Wiesz, kogo mam na myśli?

Teraz przypomniałem sobie jego nazwisko.

- Lou Diamond Phillips.

- Możliwe... La Bamba bardziej do niego pasuje. Możliwe?! To więcej niż pewne!

Więc kiedy La Bamba - niech już tak zostanie - otworzył tylne drzwi na łąkę, naszym oczom ukazał się zielony trawnik, wielki jak angielski stadion piłkarski, za którym zaczynała się dżungla i góry. Wszystkie domki były wolne. La Bamba zaprowadził nas do największego, usytuowanego najbliżej Rinjani. Wulkan, widziany z, doliny, robił wrażenie wysokiego jak Mount Everest. Uznałem, że jest za wcześnie, by oznajmić Tinie, że zamierzam wdrapać się z nią na sam szczyt.

Każdy bungalow miał dwoje zewnętrznych drzwi, do dwóch osobnych pokoi. Wspólny był tylko zacieniony taras. Na strudzonych podróżnych czekały dwa leżaki z drewna tekowego i ratanowy stół. Na stole stała lampa oliwna i lichtarze ze świecami. La Bamba poinformował, wcale się tym nie przejmując, że na noc, od dziesiątej do piątej rano, wyłącza generator prądu. Otwierając drzwi do pokoju Tiny,

pożerał ją wzrokiem. Kiedy go na tym przyłapałem, zrobił porozumiewawczą minę, jakby chciał powiedzieć: „Brawo, stary”. Byłem zły, że nie mogę wyprowadzić go z błędu.

Wszedłem do pokoju, żeby włożyć kąpielówki, a potem czekałem na Tinę na tarasie. Pojawiła się, nim zdążyłem zapalić papierosa. Oboje marzyliśmy o kąpeli, chcieliśmy się jak najprędzej zanurzyć w oceanie, zostawić w nim kurz i zmęczenie po całym dniu podróży.

Dojazd motocyklem do Tanjung Aanu zajął nam dziesięć minut. To najpiękniejsza plaża, jaką znam. Dzika i pusta. Dwustumetrowy łuk zatoki sprawia wrażenie, jakby został zarysowany cyrklem. Woda jest tak przezroczysta, że aż trudno nazwać ją błękitną, a piasek - delikatny i sypki jak mąka. Po obu krańcach łuku zaciągnęły wartę dwie wielkie czarne skały.

Nie mogliśmy wprost nacieszyć się wodą, cieplejszą niż gdzie indziej. Później, na piasku, przeczytałem jej dwa rozdziały. Johnny'emu grunt zaczynał palić się pod nogami.

O zmierzchu lunął rześisty deszcz. Siedzieliśmy na zadaszonym tarasie bungalowu jak pod wodospadem. Wyciągnięci na drewnianych leżakach, popijaliśmy herbatę. Przeczekujący burzę pomarańczowy ptak dziobał okruszki naszych herbatników. Przed nami zachodziło słońce. Otulało nas łagodne powietrze. Byliśmy królami świata.

- Jaki program na jutro? - zapytała.
- Kąpiel, opalanie się, włóczenie.
- Podobno chciałeś obejrzeć jakiś las?

Może jestem nienormalny, ale to pytanie zabrzmiało tak, jakby nie wierzyła w moją opowieść o lesie.

- Tak, ale to dość daleko stąd, na stoku Rinjani. Nie ma tam porządnego hotelu, trzeba wyjechać wcześniej rano i wrócić tego samego dnia. Zaplanowałem wyprawę na

pojutrze, bo musimy być wypoczęci. Wspinaczka wymaga pewnego wysiłku, lepiej być w formie.

- A konkretnie?

Uśmiechnąłem się, widząc, jak się krzywi.

- Mam spotkanie w miejscu oddalonym o trzy godziny marszu od szczytu. Głupio byłoby nie skorzystać i nie wdrapać się na samą górę.

- Ja też?

- Nie, nie musisz, ale wolałbym, żebyś poszła. Z dwóch powodów: jeden jest dobry, a drugi trochę mniej.

- Nie krępuj się. Zaczynij od gorszego.

- Może jednak...

- Najpierw ten gorszy!

Kapryśny ton, jakim to powiedziała, przyprawił mnie o rozkoszne drżenie.

- No więc... twoja obecność bardzo by mi pomogła w załatwieniu interesu. Już wyjaśniam: od trzech lat próbuję kupić ten las, ale właściciel, Bodharto, stary Filipińczyk, nie chce o tym słyszeć. Wycenił go na kwotę nie do przyjęcia.

- To przecież jego sprawa. Jeśli nie chce sprzedać swojego lasu...

Cała ona!

- Zgoda. Tylko że on nie ma środków na jego utrzymanie. Potrzebuje brzęczącej gotówki, więc wycina drzewa jak szalony. Jak tak dalej pójdzie, za dwadzieścia lat po lesie nie zostanie nawet śladu, a Japończycy będą tam zjeżdżać na nartach po sztucznym śniegu!

Zrobiła minę osoby nie do końca pogodzonej z przegraną, oznaczającą „skoro tak, to trudno”, i zarzuciła mnie kolejnymi pytaniami.

- A w czym miałyby ci pomóc moja obecność?

- Wizyta przybrałaby bardziej przyjacielski charakter. Zwłaszcza że chcę mu złożyć interesującą propozycję.

- Co to za propozycja?

- Zobaczysz. Nie będziemy teraz rozmawiać o interesach!

- A jaki jest dodatkowy powód, żeby mnie zachęcić?

- Proszę bardzo: tam w górze jest nad - zwy - czaj - nie.

Znajdujesz się na wysokości trzech tysięcy siedmiuset metrów i masz przed sobą panoramiczny widok - całe trzysta sześćdziesiąt stopni: w dole wyspę Lombok, przed sobą Bali, a po przeciwnej stronie wyspę Sumbawa...

- Przekonałeś mnie.

Ani przez chwilę nie wątpiłem w to, że mi się uda.

Po obiedzie kontynuowaliśmy lekturę Chase'a. Nie mogliśmy się od niej oderwać, dopóki zagadka nie została wyjaśniona. Czytając ostatnią stronę, starałem się nie dramatyzować, w obawie przed reakcją Tiny, ale Johnny właśnie umierał i byłem tym przejęty.

- „W ustach miałem krew. Czulem, że osuwam się w ciemność. Już nic nie mogłem zrobić. Dochodziły mnie niewyraźne pomruki tłumu. To mi przypomniało porykiwanie lwów, którym rzuciłem na pożarcie Reisnera. Próbowałem nie myśleć o Ginny. I zanim obraz jej twarzy napłynął mi przed oczy, pogrzeżyłem się w mroku i ciszy”.

Koniec.

Tina była zasepiona, a ja czulem się bezradny; po takim zakończeniu nie mogła nie pomyśleć o mężu.

- Ten twój Chase jest naciągany - powiedziała. - Johnny nie może na końcu opowiadać o własnej śmierci. Co za oszustwo!

Roześmiałem się. Już od drugiej strony książki wiedziałem, że Johnny nie umrze. Opisywanie śmierci w pierwszej osobie nie czyni jej wszak niewiarygodną.

- Dlaczego się śmiejesz? Nie mam racji? Czy on ma prawo to robić?

- Oczywiście, że tak! W końcu to powieść!

- Uważam, że nie powinienem...

Słyszając jej zduszony głos, spojrzałem na nią. Świece, stojące z tyłu na parapecie okna, oświetlały jej twarz. Zagryzała wargi, oczy jej błyszczały, pierś unosiła się w powstrzymany płacz.

- Jak się czujesz?

- Smutna jest ta książka... ale piękna.

Czy zawsze była wrażliwa, czy też dopiero po śmierci męża stała się taka skora do płaczu? Skłaniałem się raczej ku pierwszej tezie, skoro wzruszył ją los bohatera kryminału.

Ciekawe, spod jakiego jest znaku. Zapytałbym ją o to, żeby lepiej poznać jej osobowość, ale bałem się ośmieszyć. Upodobanie do wody wskazywałoby, że patronuje jej konstelacja Wodnika. Skorpioną wyeliminowałem, jako znak zbyt destrukcyjny, pozostawały Ryby albo Rak, tak jak ja - dwa znaki charakterystyczne dla ludzi kierujących się emocjami, uczuciowych, o gwałtownym usposobieniu. Moje pokrętne rozumowanie nie miało żadnych solidnych podstaw, nie znałem się na horoskopach, ale przynajmniej mój prywatny teatrzyk miałby pożywkę.

Tina nie przejawiała chęci udania się na spoczynek, dotrzymałem jej więc towarzystwa. Siedzieliśmy jeszcze długo na tarasie, wsłuchując się w odgłosy nocy. Zerkając na nią od czasu do czasu, odnosiłem wrażenie, że coraz bardziej zamyka się w sobie. Przeciągające się milczenie zaczynało ciążyć, czułem, że nie jestem tu potrzebny. Zastanawiałem się, czy nie zostawić jej samej, ale wydawała się tak pochłonięta swoimi myślami, że nie odważyłem się jej niepokoić, pytając ją o to. A powinienem.

Gasły kolejne świece. Księżyc zbliżał się do pełni i oświetlał łąkę jak reflektor. Śledziłem lot ptaków na tle srebrzystego nieba.

Ton, jakim przerwała milczenie, był lodowaty. Jeszcze nigdy nie wysyłała mi tak negatywnych prądów.

- Wiesz, o czym myślę?
- Nie.
- O śmierci mojego męża.
- Chcesz o tym porozmawiać?
- Nie, nie z tobą.

Więc po co zaczęła rozmowę? Czekałem, kiedy wyrzuci z siebie wszystko, i doczekałem się.

- Pewnie się cieszysz, że go tu nie ma.
- To ohydne, co mówisz.

Wkurzyła się. Miałem prawo tylko do milczenia.

- A może tak nie jest? Wolałbyś, żeby tu był i siedział na twoim miejscu?

- Nie można do tego tak podchodzić.
- A właśnie, że można. Ja bym wolała. To chyba oczywiste.

Przykro było tego słuchać, choć nie powiedziała nic nowego. Najchętniej by mnie rozszarpała. Postanowiłem się nie dać.

- Nic w tym dziwnego. Kochałaś go tyle lat, mnie znasz zaledwie od miesiąca, jesteśmy tylko...

- Nikim nie jesteśmy! I nigdy nie będziemy! Zapamiętaj to sobie!

Wobec narastającej agresji Tiny czułem się bezradny, nie wiedziałem, jak zapobiec tej eskalacji. Nic nie odpowiedziałem. Siedziałem ze wzrokiem wbitym w Rinjani. Moje milczenie jeszcze bardziej ją rozjątrzyło, kipiała z wściekłości.

- Siedzisz tu, okazujesz mi swoje uczucie i tylko czekasz, aż je odwzajemnię. Nie wpadnę w twoje ramiona jak dojrzały owoc! Niedoczekanie! Mam dość tej twojej hipokryzji!

- To mile, co mówisz.

Wypowiedziałem o cztery słowa za dużo. Ponieważ oddychałem jeszcze, postanowiła mnie dobić.

- Otrząśnij się z marzeń, biedaku!

Pogarda, z jaką to powiedziała, rozdarła mi serce, sprawiła taki ból, że obudził się we mnie instynkt przetrwania.

- Nie mów tak do mnie! - usłyszałem swój podniesiony głos. Pierwszy raz zwracałem się do niej tak oziębłym tonem.
- Nie jestem żadnym biedakiem. - Ponieważ uciekła przed moim wzrokiem, uznałem za stosowne dodać: - O ile wiem, marzenia jeszcze nikomu nie zaszkodziły.

Tym razem wybuchła. Doigrałem się!

- Marzenia o mnie, tak, są szkodliwe! Wręcz zabronione. Zapamiętaj to sobie! Na samą myśl, że taki facet jak ty...

- Taki facet jak ja?

- Tak, taki facet jak ty! Nie czujesz, że jesteś... - Zawahała się, zanim wypaliła to coś okrutnego, czym chciała mnie dobić.

Skorzystałem z okazji i dałem nogę.

Wielkimi susami przeciąłem łąkę, wpadłem na podwórze przed recepcją i odpaliłem stodwudziestkępiątkę. Nie ujechałem daleko. Zatrzymałem się przy plaży, bo nie byłem w stanie dalej prowadzić. W nocy monolity wyglądały jeszcze bardziej księżycowo i przerażająco.

Usiadłem na piasku. Czułem się wewnętrznie rozbity, cały dygotałem. Każdy nerw w moim ciele drżał jak sprężyna budzika rozwalonego w drobny mak jednym uderzeniem młotka.

Może byłoby lepiej, gdybym wybuchnął i wyładował złość po doznanym upokorzeniu. Tymczasem dopadł mnie

potworny smutek. W głowie rozbrzmiewały okrutne słowa Tiny. Nie bałem się, że straciłem ją na zawsze. Zbyt zdruzgotany, nie wybiegałem tak daleko naprzód. Mój udreńczony mózg w kółko odtwarzał straszną scenę na tarasie.

Zbliżała się noc. Zdawałem sobie pytania, na które nie znajdowałem odpowiedzi.

Wróciłem do bungalowu o czwartej nad ranem. Wsunąłem się do pokoju najciszej jak potrafiłem i w ubraniu wyciągnąłem się na łóżku. Nie było szansy, żebym zasnął. Jedyne pytanie, na które znałem odpowiedź, brzmiało: kto pierwszy pojawi się rano na tarasie?

Reszta będzie zależała tylko od niej.

Gdy około szóstej rozwidniło się, poszedłem zamówić śniadanie u La Bamby. Potem, czekając, aż mi je dostarczy, siedziałem na tarasie i patrzyłem, jak nad łąką unosi się mgła, a szczyt Rinjani różowieje od pierwszych promieni słońca. Na balustradzie na wprost mnie przysiadły dwa ptaki z długimi dziobami. Uznałem to za dobry znak.

Po godzinie usłyszałem otwierające się za moimi plecami drzwi i kątem oka dostrzegłem ruch. Myślałem, że zaraz umrę. Wraz z jej pojawieniem się odżyło cierpienie, odżyła też cała miłość. Wymruczała nieśmiało „dzień dobry”, podeszła do balustrady, zapatrzyła się na Rinjani. Ze swojego fotela widziałem jej profil. Potem odwróciła się do mnie.

- Przepraszam...

- Nie ma o czym mówić.

Przyznaję, miałem trochę naburmuszoną minę. Podeszła do stołu, dotknęła czajnika z herbatą, która już chyba dawno wystygła.

- Mogę sobie nalać?

- Oczywiście.

Wbiła mi nóż w serce, patrzyła, jak się wykrwawiam, a teraz, jak gdyby nigdy nic, prosi mnie o pozwolenie wypicia trzech kropli zimnej herbaty! Wróciła z filiżanką do balustrady, wypiała, zapaliła papierosa, oparła się o barierę, stając twarzą do mnie. Jej oczy za ciemnymi okularami unikały mojego wzroku.

- Wszystko, co tu przeżyłam... było zbyt mocne... Często czułam się... dobrze. Już nie pamiętam, kiedy... ale...

Oczywiście nie mogło się obejść bez tego cholernego „ale”. Zaciągnęła się dymem. Dwa razy. Wszystko się we mnie przewracało. Widziałem, jak zmienia się wyraz jej twarzy.

- ...należę do kobiet, które potrafią kochać tylko jednego mężczyznę. To się zdarza... A on był taki jak ja. Gdybym odeszła pierwsza, nie zakochałby się w innej... - Złapała oddech i zmusiła się do uśmiechu. - Możesz uważać mnie za głupią albo naiwną... może nawet zarozumiałą, ale wiem, co mówię. Zrozum... nie chcę, żebyś miał jakieś złudzenia co do mojej osoby.

- Nie mam złudzeń - przerwał jej. Ja też miałem ściśnięte gardło. - Wiem, że możesz już nigdy nikogo nie pokochać... Pozostaniesz wierna jedynej miłości swojego życia, ale nie odgonisz mnie jak psa. Zawsze będę przy tobie, bo nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Uśmiechnęła się smutno i odwróciła wzrok. Dostrzegła La Bambę idącego w naszą stronę z herbatą dla niej.

Nie ma co, szybko to załatwiła. Odprawiła mnie trzema grzecznymi zdaniem.

- Usunę się z twojego życia tylko w jednym przypadku - powiedziałem lekkim tonem, ukrywając wzruszenie - a mianowicie wtedy, gdy zakochasz się w innym mężczyźnie, ale z tego, co powiedziałaś, wynika, że nic takiego się nie zdarzy. Czy dobrze zrozumiałem?

- Dobrze.

Uśmiechnęła się bez przekonania.

- Niedługo stąd wyjedziesz. Mam nadzieję, że spotkamy się we Francji. Zadzwoń do ciebie, zjemy razem lunch, pójdziemy do kina z Rolandem, Lucienem i z twoimi dziećmi, powłóczymy się, pokażesz mi okolice... Zobacysz... z czasem - ponieważ nie będę mówił ci o mojej miłości - zapomnisz, że cię kocham, a może nawet dojdiesz do przekonania, że przestałem cię kochać, i staniemy się najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Zrobisz mi awanturę, jeśli przez trzy dni nie zadzwonię!

- Widzę, że lubisz sobie pofantazjować - powiedziała z przekorą.

Ubóstwiam, kiedy się ze mnie nabija.

Przeszliśmy do porządku nad ostatnim wydarzeniem i nasze stosunki znów przybrały poprzedni charakter. Zbyt byłem szczęśliwy, żeby nadal cierpieć, i wdzięczny za to, że tak szybko i tkliwie wyciągnęła mnie z otchłani, w którą mnie sama strąciła. Ten dzień, dzień słodkiego nieróbstwa, przemknął jak chmurka po niebie.

Przed udaniem się w dalszą podróż to ona pomyślała, żeby rzucić okiem na hotelową bibliotekę, w nadziei znalezienia zastępcy naszego Chase'a. Okazało się, że na prawdziwe skarby można się natknąć wszędzie. Zdarzyło mi się już odkryć Śmierć na kredyt Celine'a na Celebesie i Pachnidło Suskinda w Birmie. Przeszukiwaliśmy rozchwierutane regały, odczytując tytuły na grzbietach książek, poupychanych na półkach bez ładu i składu.

Przeważały amerykańskie tytuły, trochę niemieckich i zaledwie kilka francuskich. Ona pierwsza znalazła nasz skarb.

- Och! Lew!

Książka, stare wydanie kieszonkowe, rozsypywała się w rękach.

- To jedna z pierwszych powieści, jakie czytałam... mówiła podekscytowana, kartkując pożółkłe stronicie. - Uwielbiałam ją... Byłam wtedy w szóstej klasie... Czytałeś to?

- Nie.

- Bierzemy!

Włożyła powieść Kessela do torby, Chase zaś dołączył do swoich nowych kumpli. Niech ten kryminał za pięć dolarów jeszcze kogoś uszczęśliwi.

Delektowaliśmy się pierwszą częścią Lwa w trzech podejściach, na trzech różnych rajskich plażach, po trzech równie doskonałych kąpielach. Zaraz po wyjściu z wody Tina

kładła się na piasku, przeważnie na brzuchu, z brodą opartą na dłoniach, i zastygała w tej pozie, zasłuchana. Uwielbiałem tę chwilę. Miałem wrażenie, że uczestniczę w spotkaniu z emocjami Tyny z czasów, gdy była dziewczynką. Zachłystywałem się intensywnością jej przeżyć, siłą doznań, które tworzyły jej osobowość. Nic nie przesadziła, Lew był prawdziwą perełką.

Nie oddalając się od Kute, przemierzaliśmy się z plaży na plażę. W sumie tego dnia pokonaliśmy sto kilometrów. Ten zakątek nad Oceanem Indyjskim w niczym nie ustępuje zapierającym dech w piersi wspaniałościom Bali. Składnikiem tutejszej ziemi jest czerwona glina i barwa ta jest widoczna wszędzie - na drogach, na znakach drogowych, na drzewach i w powietrzu. Opuszczając jedną zatoczkę, żeby przeskakując parowy, znaleźć się na kolejnej, zanurzaliśmy się w przeróżnych odcieniach ugru - od żółtego po złocistobrunatny. W czystym powietrzu widoczność była doskonała. Nie wiedzieliśmy, co najpierw podziwiać: szczyty gór czy doliny, plaże i morze. Na całej trasie nie spotkaliśmy ani jednego samochodu - tylko motorowery i rowery, na zmianę z pasterzami przeganiającymi drogą bydło.

Często jechaliśmy obok siebie. Widziałem wtedy jej usta gwizdzące melodie Surnama. Po prostu rozpierała ją radość. Sam też nie byłem pewny, czy nie unoszę się nad ziemią. Tak bardzo się bałem, iż ją straciłem, że teraz znajdowałem się w stanie nirwany - odzyskałem Tinę taką, jakiej nie znał jej mąż: Tinę pozeraczkę wielkich przestrzeni, wymarzoną towarzyszkę podróży. Czasami poważną jak sycylijska mamma, czasami kapryśną i swawolną jak podłotek, łagodną i delikatną, rozumiejącą mnie lepiej niż przed wczorajszym napalmowym atakiem. Gotów byłem dziękować za to niebu, ptakom, drzewom, morzu, chmurom - całemu światu.

Nagle, przy wyjściu z zakrętu, kiedy jadąc za nią, marzyłem sobie w najlepsze, drogę zatarasował nam ogromny byk. Zaskoczona jego widokiem Tina zahamowała zbyt ostro, zarzuciło ją na pobocze, na szczęście nie spanikowała, złapała równowagę i zatrzymała się dwa metry od stojącego nieruchomo potwora. Najadłem się przez nią strachu jak nigdy w życiu.

Spod sześćdziesięciocentymetrowych rogów łypały czarne ślepia, wielkie jak pomarańcze, i wszystko wskazywało na to, że zwierzę nie ma wobec nas przyjaznych zamiarów. Całe jego trzymetrowe cielsko ociekało świeżym błotem, flakowata męskość zwisała niemal do ziemi. Tina nie spuszczała oczu z byka, gotowa w każdej chwili zeskoczyć z siodełka. Mnie też nie było do śmiechu, choć udawałem chojraka.

- Jak sądzisz, o czym on myśli? - zapytałem cichym głosem.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała.

- A czy sądzisz, że on myśli?

- Nie mam pojęcia.

Wielkie bydlę nie drgnęło, tylko opędzało się ogonem od much. Nie spuszczało z nas gał.

- No bo wiesz... - ciągnąłem. - Tutejsi ludzie to animiści. Wierzą, że dusza człowieka nie umiera wraz z jego śmiercią, lecz przenosi się i zamieszkuje w zwierzęciu... Ten tutaj rozumie, o czym rozmawiamy. Jedną z korzyści reinkarnacji jest zdolność mówienia wszystkimi językami.

- Przestań! - Tina parsknęła śmiechem.

Befsztykowi, który zasłaniał nam pejzaż, nie było do śmiechu. W odpowiedzi na moją impertynencję podniósł łeb, zaryczał donośnie niczym monstrualnych rozmiarów wilk wyjący do księżyca i ruszył wolno w naszą stronę. Osłupieliśmy. Staliśmy nieruchomo, nie drgnęła nam nawet powieka. Byk, postępując dostojnym krokiem, otarł się o nas

ubłoconymi bokami i poszedł dalej. Patrzyliśmy za nim, jak się oddala. Tina wyjęła butelkę wody z torby. Napiliśmy się. Podskoczyliśmy, gdy ryknął ponownie.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym spotkaniem. Przede wszystkim, kto to był. Byk? Czy to przypadek, że zatarasował nam drogę, tutaj? Dlaczego tak ryczał?

Wróciliśmy do hotelu padnięci, więc zrobiliśmy sobie małą sjestę. Razem, na tym samym łóżku, wtuleni w siebie. Nie, żartuję, każde w swoim pokoju. Obudziliśmy się na zachód słońca. Poszliśmy spać o północy. Między jednym a drugim stanem spoczynku czytaliśmy Lwa. Zjedliśmy kolację i dokończyliśmy Lwa.

Ostatnie rozdziały były porywające. Kiedy za bardzo się wzruszałem, wypijałem łyczek i dla złagodzenia napięcia zapalałem papierosa. Tina, świadoma mojej reakcji, czekała, aż się opanuję, wpatrując się w Rinjani, którego szczyt rozdzierał niebo. Przy ostatnich liniijkach omal się nie rozryczałem, ale w porę wziąłem się w garść.

- „Patrycja zaczęła płakać. To samo zrobiłaby każda mała dziewczynka, każde ludzkie dziecko... A bestie oddawały się swojemu tańcowi”.

Zamknąłem książkę. Tina nie była smutna.

Wstała. Wciąż nie mogłem zdobyć się na odwagę i zacząć rozmowę o wyprawie na Rinjani, przewidzianej na jutro. Ubiegła mnie:

- O której mam wstać?
- O siódmej.
- Nie wcześniej? Jeszcze nigdy nie jechaliśmy o świcie, a może być pięknie.
- Trzeba by wstać o wpół do szóstej.
- Zgoda.
- Zostawię słówko La Bambie.

Uśmiechnęła się, kiedy wymówiłem wymyślone przez nią przezwisko.

Była stworzona dla mnie. Los nie może być aż tak przewrotny i postawić na mojej drodze tę kobietę tylko po to, żebym patrzył, jak odchodzi. Podczas całej podróży nie było chwili, bym nie znajdował nowego powodu - uśmiech, słowo, gest, powiedzenie - dla którego chciałbym poświęcić jej życie.

O szóstej nie było już tak bardzo ciemno. W bladym świetle obwieszczającym świt dało się rozróżnić szaroperłowy kolor morza, fioletowy monolitów i bladoróżowy ziemi na wzgórzach. Tina wydawała się bardziej zamknięta w sobie niż zwykle.

Na miejskim placu, z prowizorycznym targowiskiem, zauważyliśmy otwartą kawiarnię. Zatrzymaliśmy się na filiżankę herbaty, popijaliśmy ją na dworze, przyglądając się wieśniakom, rozkładającym swoje towary wprost na ziemi - trochę owoców i warzyw, jedną kurę, kawałki tkanin, plastikowy stołeczek. Obok, koło naszych motocykli, woły i konie piły przy wodopoju.

Tina była nie w sosie. Nie wiedziałem, czy pokazać po sobie, że to zauważyłem. Gdy przyszło do płacenia, udałem się do środka w poszukiwaniu kelnera. Wracając, dostrzegłem jej drżące plecy. Nie chciałem się jej narzucać, pomyślałem, że zaczekam, aż przestanie płakać, ale nie wytrzymałem i podszedłem. Płakała rzewnymi łzami, starając się czynić to bezgłośnie. Zakryła nawet usta ręką, ale i tak wyrywał się z nich szloch, jak wtedy gdy stałem pod drzwiami w Stelli, z tą różnicą, że teraz miałem ją przed sobą i było mi jej strasznie żal.

Usiadłem naprzeciwko. Nie widziałem jej twarzy, bo pochyliła się do przodu. Jedną ręką ująłem jej dłoń, a drugą głaskałem ją po głowie, ale nie przestawała płakać. Zapragnąłem, żeby Bruno na chwilę zmartwychwstał i trzymał ją za rękę zamiast mnie - wtedy płakałaby ze szczęścia, a to było najważniejsze.

Stopniowo się uspokajała. Podniosła głowę, spojrzała na mnie i zobaczyła, że ja też mam łzy w oczach. Wzruszona, uśmiechnęła się do mnie i położyła rękę na moich dłoniach.

Trwaliśmy tak, z opuszczonymi głowami i splecionymi rękami, czekając, aż minie wzruszenie.

- Nie jesteś głodny? - zapytała.

- A jak myślisz, z jakiego powodu płakałem? Zaśmiała się.

Obeszliśmy targ, kupując owoce, które natychmiast zjadaliśmy. Czekano na nas słońce, smutek zostawiliśmy na placu.

Droga na Rinjani była fatalna, miejscami jechaliśmy z prędkością nieprzekraczającą trzydziestu kilometrów na godzinę. Otaczający nas las z czterdziestometrowymi drzewami, gęsty i mroczny, porastał ogromny teren, ciągnący się nieprzerwanie na wysokości od 500 do 3000 metrów. Całość należała do Filipińczyka o nazwisku Bodharto. Różnorodność drzew była tak ogromna, że rosły tu chyba wszystkie gatunki świata.

Będąc tu za pierwszym razem, objechałem całą posiadłość i właśnie wtedy jeden z synów Bodharta pokazał mi wyrąbaną w dżungli przecinkę, niewidoczną nawet z helikoptera, prowadzącą prawie na sam szczyt. Pomyślałem o wspinaczach, wyposażonych w namioty, najlepsze buty marki Patougas, zapas pożywienia i wody, którzy dostawali zadyszki, zdobywając górę w trzydniowym marszu po drugiej stronie wulkanu.

Dochodziła dziewiąta, kiedy dotarliśmy do pierwszego drogowskazu z napisem: Bodharto i Synowie. Najtrudniejsze było dopiero przed nami. Nie ujechaliśmy daleko: wyboista i stroma droga szybko okazała się zbyt wielkim wyzwaniem dla Tiny. Przed kolejnym podjazdem zestawiała nogi na ziemię i czerwona z wysiłku, ledwo utrzymała motocykl na pochyłości. Zaproponowałem, żeby usiadła za mną. Gdybyśmy zdecydowali się iść pieszo już teraz, na miejsce dotarlibyśmy nie po trzech, ale po pięciu, a nawet sześciu godzinach.

Zostawiliśmy jej stodwudziestkępiątkę na poboczu, gdzie będzie czekać na nasz powrót.

Widziałem po minie Tiny, że zastanawia się, czy nie popełniła błędu, zdając się na mnie. Byłem o to spokojny - pozostanę w jej pamięci jako ten, który zabrał ją na szczyt Rinjani. Przy takim słońcu czekają nas tam niezapomniane chwile. Cokolwiek zdarzy się między nami później, będę je wspominał i hołubił.

Jechałem powoli, mimo to trzęsło nami okropnie. Żeby nie spaść z siodełka, Tina kurczowo obejmowała mnie w pasie. Wzdłuż drogi rosły żółte i białe kwiaty, tu i ówdzie promienie słońca przedzierały się przez zwarty baldachim liści drzew.

Za ostatnim drogowskazem Bodharto i Synowie ścieżka ginęła wśród skał - dla nas oznaczało to koniec jazdy. Tina dopytywała się, czy znam drogę, ale moja odpowiedź jej nie uspokoiła, zwłaszcza gdy dodałem, że ze strony tygrysów nic nam nie grozi, gatunek ten został bowiem pół wieku temu uznany za wymarły.

- Całe szczęście! - zaśmiała się.

Przez następne dwie godziny przemykaliśmy w milczeniu przez las, nie zdając sobie sprawy, że się wspinamy. Nie kłamałem: wyprawa leżała w zasięgu możliwości starca w dobrej kondycji. Stopniowo Tina pozbyła się lęku, z uwagą przyglądała się otoczeniu, bez obawy, że z krzaków wypełźnie wąż boa, a z gałęzi drzewa skoczy na nią pantera.

Po pokonaniu prawie pionowej ścieżki wyszliśmy na odsłonięte, nasłonecznione zbocze. Nareszcie widać było szczyt. Pod nami rozciągała się cała dolina, a w oddali - morze. Usiedliśmy w koniczynie i zajadaliśmy kanapki przygotowane przez La Bambę, kontemplując widok na las, na żółte, czarne, brązowe i różowe poletka w dole, śledząc wzrokiem ptaki przelatujące ze zbocza na zbocze, spoglądając na morze i białe grzywy pieniające się aż po horyzont.

Tina wstała pierwsza, gotowa kontynuować wspinaczkę. Nie mogła się doczekać, kiedy pokonamy widoczne przed nami wzniesienie - ostatni stopień do nieba.

Zdobycie wzgórza zajęło nam prawie godzinę. Byłem wykończony, a jej nawet krople potu na czole dodawały urody. Ostatnie metry pokonaliśmy, podpierając się rękami. Z myślą o potomności pozwoliłem, żeby ona pierwsza postawiła stopę na szczycie. Wspięliśmy się jeszcze trochę, przeszli na drugą stronę płaskowyzu i ujrzelśmy Bali.

Ze wszystkich stron otaczało nas morze, błękitne jak marzenie. Trzeba się tu znaleźć, żeby sobie uprzytomnić, fizycznie i wzrokowo, że Lombok to wyspa. Byliśmy sami na szczycie Rinjani, między niebem i wodą jak na latarni stworzonej przez naturę, a u stóp mieliśmy całe piękno świata: morze Flores na północy, Ocean Indyjski na południu, Bali na wschodzie, Sumbawę na zachodzie - wszystko w zasięgu wzroku!

- Żal będzie stąd odejść - powiedziała.

Usiadła w pozycji szewca na krawędzi płaskowzgórza, twarzą do Bali. Usadowiłem się obok niej. Słońce świeciło bardzo wysoko. Wulkan Agung, który przewyższał naszą górę zaledwie o 600 metrów, był tak blisko, że aż wydawał się groźny. Pod nami, między dwoma wystającymi z oceanu gigantami, widać było wulkan, lasy, pola, drogi, miasta, porty. Znaleźliśmy się w idealnym punkcie - na styku ziemi, nieba i morza.

Pomimo mojej obecności Tina zamknęła się w swoim świecie. Nasze doznania i emocje były różne i nieprzystające do siebie. Podczas kiedy mnie przepęłniała kojąca radość, ona, będąc tak blisko nieba, myślała zapewne o mężu, a piękno, którym napawała się bez niego, pogłębiało jej smutek. Nie śmiałem na nią spojrzeć, bałem się, że usłyszę jej przyspieszony oddech, ale nie, nie rozplakała się. Po długim

milczeniu udało jej się znaleźć wyjście z labiryntu własnych myśli.

- Fotografia nie odda niczego...

Od męża przeskoczyła myślami do dzieci i drogą prostych skojarzeń - do fotografowania.

Co dziesięć minut przesuwaliliśmy się o trzy metry wzdłuż krawędzi płaskowyzu, a ja pstrykałem, nie zmieniając obiektywu, ujmując w kadrze linię horyzontu, zawsze na tej samej wysokości. Po zatoczeniu koła wystarczy ułożyć później klisze obok siebie i otrzymać w ten sposób zdjęcie panoramiczne. Ucieszyła się z pomysłu. Głównie była zachwycona tym, że odrobiłem za nią tę pańszczyznę.

W pewnym momencie, kiedy stanęliśmy na wprost wulkanu Tanbora, położonego na wyspie Sumbawa, kolejnego kolosa mierzącego 2850 metrów wysokości, mieliśmy wrażenie, że znajduje się na wyciągnięcie ręki. Tina wyjęła z torby discmana.

- Masz słuchawki? - zapytała.

Miałem. Kiedy z nuty na nutę klarnet Surnama rozwijał skrzydła, odlecieliśmy z wybałuszonymi gałami w błękitną bezkresną dal. Wysepki Gilli zdawały się dryfować po oceanie, przez cieśninę Lombok przeprowiał się prom z towarzyszącą mu chmarą mew, połyskujący lazur wody upstrzyły miriady barek z różnokolorowymi żaglami. Horyzont za Sumbawą miał kształt łuku.

- Dopiero stąd widać, że ziemia jest okrągła - zażartowała Tina.

Pomyślałem, że może Tina będzie chciała побыć trochę sama, i pierwszy opuściłem płaskowyż. Czekałem na nią trochę niżej jakieś dwie - trzy minuty. Co tam robiła? Modliła się? Odnawiała śluby? Przekazywała wiadomość swojej miłości?

Kiedy dołączyła do mnie, wiedziałem, że płakała.

Schodzenie było jak zwykły zdrowotny spacer. Tym razem morze było przed nami. Gdybyśmy mieli lotnię, moglibyśmy wzlecieć nad nie, skoczyć i zanurkować. O ile podczas prawie całej wspinaczki nie zamieniliśmy słowa, o tyle przy schodzeniu, nie zamykały nam się usta.

Zapytałem, czy na górze czuła się duża, czy mała. Zastanowiła się, zanim odpowiedziała. - Mniejsza niż zwykle.

Po moim uśmiechu zorientowała się, że spodobała mi się jej odpowiedź.

- Ty też?

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że im większe wrażenie robi na mnie krajobraz, tym czuję się większy. Że ten majestat spływa na mnie, przenika na wskroś, zdaje mi się, że staję się tak wielki i potężny jak góry i oceany, tak ważny i niezastąpiony jak harmonia wszechświata. Zadała mi pytanie, którego się nie spodziewałem:

- Jesteś buddystą?

Ostatnio na zachodzie Europy Budda zrobił się modny, ale nigdy bym nie przypuszczał, że ten problem zainteresuje Tinę.

- Nie, niezupełnie...

- Co to znaczy „niezupełnie”? Odpowiedziałem, że moja matka była Tajką, a więc buddystką, jak dziewięćdziesiąt pięć procent Tajów. Ojciec szanował jej wiarę i codzienne medytacje, ale nas starał się trzymać z dala od wszelkiej edukacji religijnej, wychodząc z założenia, że gdy dorośniemy, sami dokonamy wyboru, a po cichu liczył na to,

że tak jak on, nie wybierzemy żadnej religii. Koniec końców względy rodzinne i społeczne storpedowały jego plany, a strategia sprawdziła się tylko częściowo. Mój brat i siostra poślubili Tajów, ich dzieci zostały wychowane w buddyzmie, i nawet ja, choć nigdy nie medytowałem, urządziłem w swoim gabinecie we Francji miejsce dla duchów, gdzie zawsze stały świeże kwiaty, paliły się kadzidełka, jak u wszystkich buddystów. Połowa moich przodków - tych po kądzieli - wierzyła, że w ten sposób odpędza złe duchy. Odstępstwo od tego byłoby z mojej strony zuchwalstwem.

Tina kilka razy spojrzała na mnie z zainteresowaniem, a nawet z pewnym zdziwieniem, ani razu mi nie przerywając. Jak zawsze, kiedy mówiłem o sobie, czułem się onieśmielony. Miałem wrażenie, że zdaję egzamin, którego nie mogę oblać.

Po godzinnym marszu dosiedliśmy mojej stodwudziestki i puścili się na łeb na szyję w dół. Tina na próżno starała się utrzymać na siodełku i ciągle na mnie wpadała. Wreszcie doszła do wniosku, że jej wysiłki idą na marne, dała sobie spokój, odprężyła się i to było rozkoszne. Im bardziej strome zbocze, tym gwałtowniej i mocniej przywierała do moich pleców. To prawda, była szczupła, ale przy swoim wzroście ważyła co najmniej sześćdziesiąt kilogramów. O ileż przyjemniej jest czuć na sobie prawdziwy ciężar niż jakieś źdźbło słomy.

Na rozdrożu, nie uprzedzając jej, wybrałem inną drogę niż ta, którą przyjechaliśmy.

- Jesteś pewny, że to tędy?

- Przekonasz się. Chcę ci coś pokazać...

Po jakimś czasie wyjechaliśmy na coś w rodzaju naturalnego pomostu. Wierzchołki drzew znajdowały się dziesięć metrów pod naszymi stopami. Zawisliśmy nad uskokiem o szerokości czterdziestu metrów, który spadał aż do morza. Powiedziałem, że jeśli uda mi się kupić ten las,

zbuduję w tym miejscu dom, a raczej chatę. Czułem awersję do domu Bodharta - szkaradnego z zewnątrz, przygnębiającego w środku.

Paliliśmy, siedząc na trawie, w miejscu, gdzie miałyby w przyszłości znajdować się salon, a zielona potężna wyrwa przed nami odsłaniała widok na dolinę i błękitną wodę.

- Żaden dom na świecie - rozmyślałem na głos - nie jest tak usytuowany, żeby stał w głębokim lesie i jednocześnie miał taką perspektywę na morze. Mieszkając blisko szczytu - ciągnąłem rozmarzony - moglibyśmy wspinać się tam co rano, gdyby tylko przyszła nam na to ochota.

- Co rano! - zaśmiała się. - Nie byłabym tego taka pewna!

Jakie to szczęście, że możemy rozmawiać w taki sposób, iż rozumie się samo przez się, że gdybym miał dom, tutaj czy gdziekolwiek indziej, mogłaby do niego przyjeżdżać, ze mną czy beze mnie. To było oczywiste i nie miało nic wspólnego z charakterem naszego związku.

Niżej natknęliśmy się na jej stodwudziestkępiątkę. Osobiście wolałbym, żeby została ukradziona. Tina tak rozsmakowała się w prowadzeniu motocykla i w samotnej jeździe, że nie mogła się doczekać, kiedy dosiędzie swojego rumaka. Ja również, zanim poznałem Tinę, wolałem samotną jazdę.

*

Uprzedziłem Bodharta, że zajrzę do niego po południu. Usłyszawszy warkot silników motocykli, wyszedł przed swoją nowobogacką landarę w kształcie chińskiej pagody. Była jeszcze szpetniejsza, niż ją zapamiętałem.

- Teraz rozumiem, co miałeś na myśli - szepnęła Tina.

Bodharto, choć stuknęło mu już siedemdziesiąt pięć lat, trzymał się świetnie. Gdybym nie wiedział, że mam do czynienia z pozbawionym skrupułów draniem, mógłby się

nawet wydać sympatyczny. Wszyscy starzy ludzie budzą zaufanie, może nie?

Przedstawiłem Tinę jako swoją przyjaciółkę. Filipińczyk przyjął nas wylewnie, lepiej niż wtedy, kiedy byłem u niego sam. Pokazał Tinie makietę posiadłości wykonaną przez synów, przedstawił nam kobiety tego domu - małżonkę, córki, synowe, wnuczki. Zachowywały się tak, jakby nie przyjęły do wiadomości, że już nie żyjemy w średniowieczu.

Udaliśmy się za nim na werandę z tyłu domu. Naszemu wejściu towarzyszył oszalały jazgot setek ptaków. Tina aż podskoczyła. Sprytnie ukryta wśród drzew, do domu przylegała ogromna bambusowa wolierya - sześcian o boku sześciu metrów. Efekt był powalający nawet dla mnie, choć nie jestem zwolennikiem trzymania ptaków w klatce w samym środku lasu.

Bodharto usadowił się na kanapie przodem do woliery, poprosił Tinę, żeby usiadła obok niego, a mnie wskazał fotel ustawiony tyłem do rozszalałego ptactwa. Tak było poręczniej prowadzić rozmowę. Tina zachowywała się jak moja asystentka, z uwagą przysłuchiwała się naszej rozmowie, nie patrząc w ogóle na ptaki. Czuję, że Bodharto jest zaintrygowany.

Postanowiłem się streszczać. Jego angielszczyzna była za słaba, żeby wdawać się w długie rozważania. Zaproponowałem, żeby zachował prawo użytkowania domu dla siebie i swoich następców, dodałem też, że mógłby nadal pracować w lesie, gdyby sobie tego życzył. Kiedy Bodharto oderwał wzrok od ptaków, zrozumiałem, że nie dopuszcza do siebie myśli, iż nie pragnę tego domu - w jego mniemaniu perły w koronie. Żeby go nie urazić, udałem, że z bólem serca rezygnuję z tego smakowitego kąska, jakim była ta królewska rezydencja, i podałem mu gorzką prawdę w ładnym opakowaniu: naszkicowałem wizję jego rodziny, zjednoczonej

wokół niego w lesie, który kochają, wreszcie zabezpieczonej przed wszelkimi troskami materialnymi. Podobnie jak poprzednio, powiedział, że zastanowi się nad moją ofertą i porozmawia z synami. Następnie podniósł się z miejsca, zachęcając nas, żebyśmy razem z nim zbliżyli się do woliery.

Pokazywał nam swoje ulubione ptaki i ich pisklęta, mówił o ich zwyczajach, zaletach i wadach. Miałem nosa, zmieniając swoją propozycję. Za nic w świecie nie rozstałby się ze swoimi przyjaciółmi.

Skróciłem wizytę pod pretekstem czekającej nas długiej drogi. Na schodach przed domem, żegnając się z nami, poprosił, żebym zadzwonił do niego za kilka dni. Włożyliśmy bluzy, aby ochronić się przed chłodem wieczoru. Sprany błękit dzinsów Tiny uwydatniał intensywny niebieski kolor jej oczu, błyszczących zawadiacko jak jeszcze nigdy. Gdy tylko otworzyła usta, usłyszałem ten jej kpiarski ton:

- Nareszcie rozumiem, co Catherine miała na myśli... - A dokładniej?

- Nieźle go przerobiłeś...

- Wcale go nie przerobiłem, tylko złożyłem propozycję na wagę złota! A poza tym jeszcze nie powiedział „tak”, daleko mu do tego! Zaraz pewnie wyciągnie kalkulator i zacznie liczyć. To potrwa tygodniami...

- Ale i tak dopniesz swego!

Podniosłem kciuki do góry. Ona też. A przecież nie musiała.

W drodze z Rinjani słońce ogrzewało nam plecy i okrywało różowawą poświatą lasy, ziemię i morze. Gdy zjechaliśmy na równinę, było już ciemno. W świetle reflektorów połyskiwały oczy bawołów. Dotarliśmy do hotelu ledwie żywi z głodu i ze zmęczenia. La Bamba czekał na nas z kolacją. Nasza wyprawa zrobiła na nim wrażenie. Nigdy nie

był na szczycie Rinjani - dla niego było to równie daleko jak do Ameryki.

Zanim udaliśmy się do naszych pokojów, Tina zapytała o dalszy ciąg programu. Jej podkrążone po trudach dnia oczy wzruszyły mnie do tego stopnia, że miałem ochotę ją objąć.

- Jutro w południe wsiadamy na prom i płyniemy na przylądek Padang. Potem półgodzinna przejażdżka motocyklem, a wieczorem kolacja w Manggis. Zostajemy tam na noc. Nazajutrz powrót do Legianu.

- Całkiem nieźle.

O dziewiątej byliśmy w łóżku - w łózkach, mówiąc dokładnie.

Już teraz tęskniłem za tymi czterema dniami spędzonymi z nią na wyspie. Pomimo przedwczorajszego wybuchu agresji, który pozostawił w mojej duszy bolesny ślad, zbliżyliśmy się do siebie. Nasz związek również dla niej nabrał sensu: zaczęła mnie traktować jak przyjaciela. Oczywiście, zdawałem sobie sprawę z tego, że taki rozwój sytuacji może zagrozić spełnieniu moich marzeń, wolałem jednak nie wybiegać za bardzo naprzód. To i tak nadzwyczajne, że zaledwie sześć tygodni po olśnieniu, jakiego doznałem na jej widok, przemierzam świat u jej boku, czytam jej, razem słuchamy muzyki, śmiejemy się, płaczemy, snujemy marzenia. Jeśli moje szczęście wydaje mi się czasami niepełne, nie zmienia to faktu, że to jednak jest szczęście.

Koło piątej dotarliśmy do hotelu Amankila. Ten luksusowy budynek, zbudowany na wysokim brzegu, frontem do morza, aż błyszczał nowością. Nie miał w sobie nic z wdzięku i autentyczności Kupu Kupu Barong. Wybrałem go z powodu restauracji pod gołym niebem, ciągnącej się przez całą szerokość fasady i na podobieństwo trybun stadionu piłkarskiego opadającej z wysokości czterech czy pięciu kondygnacji w dół, do oceanu. Kolację hotelowi goście jadaliby na oddzielnych tarasach, nakrytych daszkami w kształcie pagody, rozrzuconych na różnych poziomach, a labirynt zawieszonych w powietrzu przejść wytyczały setki palących się świeczek. Jak na uroczysty posiłek sam na sam z niebem i morzem trudno o lepszy wybór. Znałem już Tinę na tyle, że mogłem ją zaprosić w takie miejsce bez obawy, że posądzi mnie o nuworyszostwo.

Po zarezerwowaniu stolika na najdalej wysuniętym w morze tarasie udaliśmy się do naszych pokoi, znajdujących się na tym samym piętrze. Mieliśmy przed sobą trzy godziny sjesty.

Okno w moim pokoju wychodziło na Rinjani górujący w oddali, jakby pośrodku błękitnej wody. Jeszcze wczoraj byliśmy na szczycie tego wulkanu tylko we dwoje. Tina też mogła o tym pomyśleć, odkrywając ten sam widok ze swojego pokoju. Podejrzywałem jednak, że może być za bardzo zaabsorbowana zbliżającym się powrotem do Francji, żeby rozpamiętywać coś, co jest już tylko wspomnieniem.

Podczas przeprawy promem popełniłem błąd, pytając ją o godzinę odlotu do Paryża. Odpowiedziała: „Po południu” tonem osoby, która woli rozmawiać o czymś innym. Potem długo czekałem na jej uśmiech.

Za cztery dni wyląduje na lotnisku Marignane, gdzie będą na nią czekać synowie. Powrót do rzeczywistości niepokoił

mnie w takim samym stopniu jak ją. Pomyślałem o poranku, kiedy chłopcy Tiny pójdą po wakacjach do szkoły, a ona zostanie sama ze swoim smutkiem, natrętnym i wszechobecnym. Ta podróż pokazała, że może z nim żyć, ale czy potrafi i tam, tak blisko swoich dzieci, w swoim mieście, w codziennym życiu, które po śmierci Bruna rozpadło się na kawałki? Pobyt tutaj był swojego rodzaju ucieczką. Tutaj doznawała wrażeń, jakich wcześniej nie знаła, ani z nim, ani bez niego, więc, siłą rzeczy, utrata męża stała się mniej obsesyjna.

Oczywiście, miałem nadzieję, że złagodzę jej ten trudny okres przystosowywania się do zwykłej egzystencji. Niestety, wiedziałem o tym tylko ja; przecież nie powiem: „Nie przejmuj się, będę przy tobie”. Mogłem jedynie starać się minimalizować smutek i wyolbrzymiać swoje znaczenie.

*

Usiadłem na brzegu łóżka, twarzą do Rinjani, powoli okrywającej się purpurą, i zadzwoniłem do Boba, kumpla Luigiego i Soni, który mieszkał w okolicy, żeby go poprosić o trochę trawy - tę od Catherine wykończyliśmy na promie. Czuję się skrępowany, że dzwonię do niego w takiej sprawie. Bob był moim dalekim znajomym, ostatnio widzieliśmy się dwa lata temu, ale ilekroć się spotykaliśmy, czuliśmy, że odbieramy na tych samych falach. Nie należał do tych, którzy się gorszą. Ten belgijski lekarz emeryt oddawał się od rana do wieczora wszelkiego rodzaju rozpuście, rozpieszczany przez werbowany na miejscu i nieustannie odnawiany harem. Jechał głównie na haszu. Jeśli tylko go zastanę, obrócę raz - dwa stodwudziestką i w porze kolacji zrobię mojej ukochanej niespodziankę.

Był w domu. W kilku słowach opisałem mu wyjątkowość sytuacji: Tina, Lombok, uroczysta kolacja i dobroczynny wpływ trawy na nastrój. Wykrzykiwał bez przerwy:

„Fantastycznie! Fantastycznie!”. Uparł się, że osobiście dostarczy mi wszystko: nie powinienem ryzykować i pędzić motocyklem po trawę, skoro wkrótce mam randkę. Zanim się rozłączyliśmy, zapytał, czy nie potrzebuję czegoś więcej: grzybów, opium, heroiny, koki? Przy opium powiedziałem OK. Ucieszył się jak dziecko: „Będzie fantastycznie!”.

Miał rację, rzeczywiście byłoby fantastycznie, gdybym mógł wypalić opium z Tiną. Nie robiłem tego z nikim oprócz Isabelle, więc na samą myśl o tym prawie świrowałem z wrażenia. Bardzo możliwe, że nawet nie odważę się jej zaproponować tak intymnej inicjacji, ale cieszyła mnie świadomość, że coś takiego jest możliwe.

Po godzinie Bob zapukał do moich drzwi. Towarzyszyła mu miniaturowa Balijka, około pięćdziesięcioletnia, okropnie brzydka. Przypomniałem sobie, jak zarykiwaliśmy się, gdy pewnej szalonej nocy przekonywał mnie o fałszywości twierdzenia, że kocha się wszystkie kobiety, a pożąda tylko tych pięknych. Balijka wyjęła z torby paczkę i podała mi ją. Wewnątrz było kilka jointów, duża porcja trawy, kulka opium w folii aluminiowej i fajka. Kochany chłopak - pomyślał o wszystkim. Tłumaczył się z wielkości kulki, wystarczającej jedynie na jedną, góra dwie fajki, ale to wszystko, co ma. Pech chciał, że zadzwoniłem w przeddzień dostawy. Za dwa tygodnie towaru byłoby więcej. Uspokoilem go: na inicjację wystarczy w zupełności. Pogadaliśmy na balkonie, wypiliśmy po chivasie i Bob z Balijka wyszli, życząc mi powodzenia.

Zszedłem do restauracji piętnaście minut przed czasem. Wolałem nie ryzykować, że przyjdę po niej. Bob siedział w barze ze swoją starą, zniszczoną lalką. Dał mi znak ręką, więc podszedłem do nich.

- Nie, nie, biegnij do stolika - powiedział. - Chcę ją tylko zobaczyć, kiedy będzie przechodziła.

Młoda dziewczyna poprowadziła mnie do naszej pagody zawieszanej nad oceanem, skąd - takie miało się wrażenie - można dać nura prosto do wody. Usiadłem przy dużym, niskim stole w pozycji szewca, na podłodze usłanej poduszkami, tworzącymi czarno - białą szachownicę. Byłem spięty. Nie wypaliłem jointa przed przyjściem tutaj, nie chciałem mieć przewagi nad Tiną. To była nasza pierwsza uroczystość we dwoje i prawdopodobnie na długo ostatnia. Miałem przeczucie że rozpoczynający się wieczór będzie najważniejszy w historii naszej dotychczasowej znajomości.

Zastanawiałem się, w jakim stanie ducha jest Tina. Och, na pewno nie aż tak podekscytowana, żeby zmieniać dziesięć razy ubranie, zanim się na coś zdecyduje, tak jak to widuje się na filmach, ale czy przynajmniej kolacja ze mną będzie dla niej czymś miłszym niż zamówienie czegoś w room - servisie i posilanie się w samotności w pokoju? Czy cieszy się na wspaniałą kolację w luksusowym hotelu, czy też nieobecność ukochanego odbiera jej radość i sprawi, że kolacja nie będzie wspaniała, a hotel luksusowy?

Chciałbym mieć na sobie smoking i wiedzieć, że ona wynurzy się za chwilę w wieczorowej kreacji. Wyglądałaby zabójczo w obcisłej sukni z lamy.

Nie marzyłem zbyt długo, bo Tina zjawiała się prawie zaraz po mnie. Widać nie włożyła do torby podróżnej obcisłej sukni z lamy, skoro założyła czarne dżinsy i białą koszulę. Przed wejściem do pagody zdjęła tenisówki i zajęła miejsce koło mnie, przyklękając na piętach.

Niebo i morze połyskiwały milionami gwiazd, w od dali migotały światła na Lomboku, księżyc w pełni przebijał się przez welon chmur. Byłem podekscytowany jak dziecko, które pierwszy raz znalazło się w kinie i właśnie zgasło światło.

Dwie młode kelnerki postawiły przed nami niebieskie koktajle i talerze z zakąskami: arbuzem, melonem,

truskawkami, mango i mangostanami, a także jarskimi krokietkami w zielonym, żółtym i czerwonym curry. Tina zaczęła od owoców.

Niebieski koktajl byłby bardziej stosowny dla nastolatków, więc zamówiłem dodatkowo butelkę chablis. Już podczas pierwszej kolacji z Tiną przekonałem się, że lubi wszystkie kolory win i chętnie je zmienia w trakcie posiłku. Alkohol wyraźnie jej służył: oczy miała błyszczące i pozbywała się resztek sztywności. Nie mogłem się doczekać, kiedy znów ujrzę ją odprężoną i beztroską. W jej prawie granatowych teraz oczach odbijały się płomienie świec. Mrok zacierał kontury ramion.

Gdy wyjęła z paczki winstona, podałem jej ogień.

- Szkoda, że to nie skręt. Byłoby już całkiem wspaniale...
- Wystarczy poprosić.

Popatrzyła na mnie, zdziwiona. Wyjąłem paczuszkę od Boba i podałem jej jointa skręconego ręką mistrza. Promienny uśmiech rozjaśnił jej boską twarz.

- Pan jest czarodziejem!

Pomyślałem, że od tej chwili wieczór zaczął się na dobre.

Zacząła rozmowę od wypymania mnie, jakim cudem rozmnożyłem jointy. Opowiedziałem jej o Bobie i jego haremie. Słuchała z zainteresowaniem. Dotąd żyła pod kloszem, teraz nadrabiała zaległości. Fascynowało ją odkrywanie różnorodności świata.

Mówiłem więc, chociaż wolałbym słuchać. Nie mogłem się doczekać, kiedy poznam ją lepiej i skonfrontuję rzeczywistość z tym, co podpowiada mi intuicja. Od samego początku, żeby nie pogłębiać jej smutku, unikałem pytań o przeszłość, toteż na dobrą sprawę nic o tej kobiecie nie wiedziałem. Jakim była dzieckiem, jaką nastolatką? Jaki tryb życia prowadzili z mężem? Dlaczego tak mało razem podróżowali?

Olśniewającej urody młoda dziewczyna, która podeszła do nas przyjąć zamówienie, była uderzająco podobna do mojej młodszej siostry Sophie. Tina dostrzegła moje pełne zachwyty spojrzenie i mylnie odczytała intencje.

- Cudo! Widziałeś, ile ma wdzięku?

Uroda dziewczyny sprawiła jej podobną przyjemność, jaką odczuwała na widok nieba albo morza, ptaka albo obrazu. Było mi wstyd, że przez chwilę miałem do niej żal, iż nie jest zazdrosna o moje spojrzenie, skoro dostrzegła w nim podziw dla pięknej Tajki. Doszedłem do wniosku, że będzie lepiej, jeśli się z tego wytłumaczę.

- Zupełnie jakbym zobaczył moją młodszą siostrę, gdy była w tym wieku co ta kelnerka...

- Jak ma na imię?

- Sophie.

- A ile teraz ma lat?

Wypytała mnie o wszystko. Opowiedziałem jej o moich lasach, o śmierci rodziców w wypadku, o dwudziestu latach odgrywania roli pater familias, o późno odzyskanej wolności.

Dzięki Bobowi nie byłem spięty. Tina wsłuchiwała się w moją opowieść, jakby była bardziej pasjonująca niż historie Lawrence'a z Arabii.

Przerwałem dopiero wtedy, gdy postawiono przed nami na stoliku zamówioną potrawę. Tina przystała na moją propozycję zdania się na szefa kuchni w kwestii wyboru dań. Ten prawdziwy artysta, któremu pochlebiła ta decyzja, wyprawił nam ucztę godną cesarza rzymskiego. Na początek menu składało się z czterech dań: zupy kokosowej, grzybów w liściach świeżej melisy, jajecznicy z truflami, żabich udek w pieprzu tureckim. Kolejne miały być gotowe za pół godziny, mogliśmy więc złapać drugi oddech, wykończyć butelkę chablis i doprowadzić moją opowieść do jakiejś puenty.

Po raz pierwszy, siedząc vis a vis Tiny, odnalazłem siebie. Jeszcze nie na sto procent, ale prawie. Udało mi się wybrnąć - jak sądzę, z humorem i bez samochwalstwa - z kłopotliwych pytań natury osobistej. Tak się rozkręciłem, że wbrew wcześniejszym postanowieniom już miałem ją poprosić, żeby teraz ona opowiedziała o sobie, kiedy uprzedziła mnie, mówiąc:

- Słuchając ciebie, można by pomyśleć, że nigdy nie przeżyłeś żadnej historii miłosnej.

- Przed tobą, nie.

Skłamałbym, mówiąc, że jest inaczej. Udała, że nie słyszy.

- Przecież musiałeś być zakochany.

- Nie, to nie było nic poważnego. Ja nigdy... nigdy nie spotkałem odpowiedniej osoby.

- I nie brakowało ci tego?

- Nie. Brakowało mi samotności. Gdybym spotkał prawdziwą miłość, prowadziłbym inne życie. Jedynie wielka miłość jest lepsza od samotności, prawda?

Zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

- Prawda.

Zasepiła się i zamilkła na jakiś czas. Dopiero pojawienie się kelnerki z tacą wywołało uśmiech na jej twarzy. Próbowwała wszystkich potraw, aż zrobiło jej się za ciasno w dzinsach i musiała je rozpiąć. Mogła to zrobić dyskretnie - pod koszulą wyrzuconą na wierzch niczego bym nie zauważył - ale powiedziała mi o tym, jednocześnie odpinając guzik, a potem, po rozluźnieniu ściskającej ją w pasie obręczy, westchnęła z ulgą. Kolejny powód do śmiechu. Nie pierwszy raz było nam wesoło podczas tej kolacji.

Chociaż ciągle kierowała rozmowę na mój temat, poruszyliśmy, siłą rzeczy, mnóstwo innych tematów, takich jak: bracia i siostry, Hopper i Michał Anioł, Scorpionsi, Salinger i Fitzgerald, boks, Pete Sampras, kształt stóp i dłoni, pozycje kata i ofiary, rasy kotów, programy telewizyjne, aktorstwo Patricka Dewaere'a i Julii Roberts, pantofle na szpilkach, rola Mandeli i Gandhiego, i jeszcze parę innych, których nie pamiętam.

Uwagi Tiny często były zaskakujące. Obcując stale z synami i mężem, obejrzała więcej meczów piłki nożnej i filmów gangsterskich niż ja. Spodobał jej się nawet Rocky 5! Poznając ją coraz lepiej, odkrywając upodobania, nie wytropiłem niczego, czego bym w niej nie akceptował.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji zapytałem ją, spod jakiego jest znaku, oczywiście nie dając po sobie poznać, jakie to dla mnie ważne. Była zaskoczona.

- Ryby. Z ascendentem w Rybach.

Olśniła mnie tym, że sama określiła swój ascendent. Informacja była na wagę złota. Należała do 0,7 procent ludzi najwrażliwszych, najdelikatniejszych - dwanaście znaków pomnożonych przez dwanaście ascendentów daje sto czterdzieści cztery rozmaite kombinacje - każdy typ osobowości reprezentuje zatem 0,7 procent całości. To wszystko wyjaśnia!

Zapytała o mój znak.

- Rak z ascendentem w Wadze - odpowiedziałem.

Nie skomentowała tego, wyraziła tylko zdziwienie, że interesują mnie takie sprawy.

Opowiedziałem, jak kilkanaście lat temu poznałem pewną Francuzkę podróżującą po Tajlandii w towarzystwie matki, astrolożki, osoby bardzo wykształconej i budzącej zaufanie, od której usłyszałem mnóstwo niesamowitych historii z jej dziedziny. Od tamtej pory czytam horoskopy. Od tego zaczynam lekturę gazet. Tina śmiała się, trochę się ze mnie nabijała, ale bez cienia złośliwości.

Później to ona mnie rozśmieszyła. I to jak! Między dwoma kęsami pikantnych krewetek, które połykała, jakby to były truskawki z bitą śmietaną, zapytała mnie, dlaczego zamieszkałem na stałe we Francji.

- Już za dużo mówiłem o sobie. Teraz kolej na ciebie.

- Nie wkurzaj mnie!

Opowiedziałem jej więc o tym, jak włóczyłem się po Prowansji, kiedy studiowałem w Arles, i o spełnionym po wielu, wielu latach pragnieniu znalezienia swojego miejsca w kraju przodków. Wahałem się między trzema A: Aix, Awinion, Arles. Kiedy więc jeden z moich klientów musiał pilnie sprzedać mieszkanie, sfinalizowaliśmy transakcję w ciągu dwóch dni.

- Przecież musiałem cię spotkać - podsumowałem. Uśmiechnęła się, więc kontynuowałem, wyrażając zdziwienie, że w przeciwieństwie do swoich braci mówi bez naleciałości z południa Francji. Wyjaśniła, że wszyscy troje urodzili się w Paryżu. Na południe przenieśli się całą rodziną, gdy miała czternaście lat. Młodszy od niej bracia podchwycili tamtejszą gwarę już po pół roku.

- Nie wyobrażam sobie ciebie mówiącej z południowym akcentem - powiedziałem.

I wtedy odpowiedziała mi tak czystą marsylską gwarą, że zbaraniałem. Wypisz, wymaluj moja ciotka z Marsylii! Patrzyła, jak ryczę ze śmiechu, zadowolona ze swojego występu. Niesamowite, jak nie pasował do niej ten język. I pomyśleć, że gdyby jej rodzice przenieśli się na południe wcześniej, utrwaliłyby go sobie na dobre.

I tak, od słowa do słowa, dowiedziałem się o niej tysięcy rzeczy. Jako nastolatka prowadziła pamiętnik, grała na gitarze i występowała z Rolandem w zespole rockowym. Po wyjściu za mąż nie podróżowała, ponieważ Bruno bał się latać samolotem. Uważała siebie za osobę leniwą, niedouczoną i powierzchowną. Nosła tylko czarne obuwie. Podczas pierwszej ciąży przytyła dwadzieścia kilogramów. Chciałaby mieć córkę.

Często łapię się na tym, że przez dłuższy czas mam zwyczaj przyglądać się jakiemuś szczegółowi, jakbym chciał utrwalić go na twardym dysku swojej pamięci. Dzisiejszego wieczoru to był jej nos. Boski nos. Zwykle nie podoba mi się, gdy podczas zaciągania się dymem z papierosa nozdrza lekko się rozchylają, ale u niej było to ładne.

Siedzieliśmy wygodnie oparci o poduszki, twarzą zwróceni do oceanu. Księżyc przesłoniła mgiełka chmur, oczy Tiny błyszczały jak brylanty. Lubilem ten stan, gdy skumulowany alkohol i trawa usuwają zmęczenie i niezależnie od pory odchodzi ochota na sen. Moglibyśmy jeszcze gadać i gadać, zadawać sobie nawzajem pytania, przekomarzać, ale woleliśmy marzyć.

Ona kontemplowała gwiazdziste niebo, ja myślałem o niej. Siedziała przy mnie, nasze bose stopy dotykały się czasami i było nam dobrze. Lubiała jeść, pić, palić, rozmawiać i patrzeć ze mną na morze. Niczego nie brakowało, żeby w normalnej sytuacji przystąpić do rzeczy, a jednak, gdybym chciał ją pocałować, na pewno odwróciłaby głowę. Źle by to przyjęła.

Skończyliśmy kolację o wpół do drugiej. Sączyliśmy Zielone Smoki, zagryzając czekoladkami. Im było później, tym mniej chciało mi się spać. Wyglądało na to, że stan ducha Tiny jest podobny do mojego. Idealna chwila na opium - teraz albo nigdy. Powiedziałem sobie, że jeżeli poprosi o kolejnego jointa, zaproponuję opium. Jeśli nie, morda na kłódkę! Mówiąc szczerze, była jedna szansa na tysiąc, żeby nie miała ochoty na skręta przed snem!

- Czyżbyś zamierzał zwrócić jointy? - zapytała, wrzucając kostki lodu do naszych szklanek.

Zaśmiałem się.

- Bob dał mi też kuleczkę opium. Nie chciałabyś spróbować?

- Ty chyba naprawdę próbujesz mnie zdeprawować!

- Nie zapominaj, że zdecydowałaś się na grzyby bez mojego udziału! Zresztą opium to zupełnie co innego... To bardziej subtelna i wyrafinowana używka.

Umierała z ciekawości, tylko to magiczne słowo „opium” jeszcze ją przerażało. Opowiedziałem jej o praktykach moich rodziców, o Isabelle i o naszym rytuale pierwszego wieczoru. Czuję, że nabiera ochoty.

- Myślisz, że mi się to spodoba? Nie chciałabym tego odchorować jutro rano...

Wy tłumaczyłem, że byłoby lepiej, gdybyśmy zawczasu znaleźli się w pobliżu łóżek, ponieważ po wypaleniu fajki nie będzie nam się chciało ruszyć, a powrót do pokoi wyda się daleką wyprawą. Zaproponowałem, żebyśmy się udali na jej balkon i ułożyli na materacach.

- Zgoda.

Z jednej strony, ponieważ moja sugestia mogła zostać źle zrozumiana, byłem zdumiony własną śmiałością, z drugiej zaś - powalony prostotą, z jaką przyjęła propozycję, co świadczyło o jej niemal bezgranicznym zaufaniu do mnie.

Wszystko, co powiedziałem, aby ją uspokoić, było najszczerzą prawdą: opium miało niewiele wspólnego z afrodyzjakiem!

Pozbierała na talerz pozostałe smakołyki, wsunęła tenisówki, nie zawiązując sznurowadeł, i ruszyła, a ja za nią, schodami wiodącymi między dwoma rzędami świec. Na górze odwróciliśmy się i ogarnęli wzrokiem morze i wygwieżdżone niebo.

Bez trudu znalazła dziurkę w zamku, zupełnie jakby piła tylko świeżą wodę. Tak jak u mnie balkon w jej pokoju wychodził na Lombok.

Przeniosłem na podłogę materace z leżaków i postawiłem między nimi talerz ze słodyczami, a następnie, obracając dwa razy - wodę i szklanki, popielniczkę i słuchawki. Tina przyglądała się moim poczynaniom, obierając z łupin mangostan - najlepszy owoc świata, co do tego byliśmy jednomyślni. Kiedy wszystko było gotowe, zapaliłem świecę, zgasilem światło, usiadłem, wyjąłem fajkę i kuleczkę. Tina podała mi do ust połówkę mangostanu i stłumionym głosem powiedziała:

- Nie wiem, w jakim stanie będę za chwilę... więc dziękuję ci za ten wieczór. Wszystko było...

Nie znalazłszy odpowiedniego słowa, zrobiła zawadiacką minę, którą tak uwielbiałem. Uśmiechnęliśmy się do siebie... czule. W tym uśmiechu, krótkim jak błyskawica, zobaczyłem wszystko - nie tylko jej żywy stosunek do mojej osoby, ale także miłość - pewnego dnia zapalała do mnie tym uczuciem. Zauważyła moje wzruszenie.

- No to co, palimy tę fajkę? - zapytała.

- Jest gotowa.

Usiedliśmy w pozycji szewca naprzeciwko siebie. Kiedy pstryknąłem zapalniczką, złapała mnie za rękę.

- Czeka! Zapomniałeś o najważniejszym! Dziwię ci się...

Sądząc po radości, jaka z niej emanowała, pomyślałem, że za chwilę pocałuje mnie w usta.

- O czym zapomniałem?

- O muzyce. Wróciłem na ziemię.

- Nie będzie potrzebna do opium.

- W takim razie nie wiem, czy mi się to spodoba!

Była taka rozkoszna, że miałem ochotę wziąć ją w ramiona i obsypać pocałunkami. Jeszcze raz pstryknąłem zapalniczką, zbliżyłem płomień do kuleczki opium. Tina przytrzymała moją rękę, rozbawiona, że ponownie opóźnia chwilę uroczystego startu.

- Nigdy nic nie wiadomo... Gdybym zasnęła, przykryj mnie kocem, zanim pójdziesz do siebie.

- Dobrze, że mnie uprzedziłaś. - Udałem obrażonego. - Sam bym na to nigdy nie wpadł.

- Przepraszam! Nabijała się.

Nawet nie marzyłem o wpakowaniu się do jej łóżka, ale teraz wszystko było jasne. Zastanawiałem się tylko, czy tym „zanim pójdziesz do siebie” chciała delikatnie dać mi do zrozumienia, że nie życzy sobie obudzić się ze mną u swojego boku, czy też wypowiedziała te słowa bez żadnej intencji. Skłaniałem się raczej do tej pierwszej myśli. Zapaliłem fajkę.

*

Wciągnąłem dym i połykałem go stopniowo, jakby to były kawałki befsztyka. Powtórzyłem czynność, a następnie podałem fajkę Tinie. Zakaszła na początku, potem zaskoczyła, a po chwili ciągnęła z całej siły, wsysając policzki.

- Chyba w poprzednim życiu prowadziłaś palarnię opium!

Parsknęła śmiechem, wydmuchując odrobinę dopiero co wciągniętego dymu.

- Przez ciebie aż tyle zmarnowałam! Wyciągnęliśmy się na wprost tarczy księżyca. Świece służyły tylko do ozdoby. Odległość między nami wynosiła zaledwie pół metra.

Po chwili Tina zrobiła się blada, zamknęła oczy.

- Mmm! - westchnęła. - Nie sądziłam, że to takie mocne...

Uśmiechała się szerzej i szerzej, jakby beztrudno mknęła wielki saniami. Zawsze tak to czuję: jakbym zjeżdżał w zwolnionym tempie na wymoszczonych miękko saniach,

lekko tylko pochylony, podczas gdy myśli przelatują obok, jedna za drugą, a towarzyszą temu najsubtelniejsze i najbardziej niesamowite doznania, które nagle stają się wyraziste, rozpoznawalne, znane i nieznane. Nie bez powodu opium, mimo łagodnego w skutkach działania, uchodzi za prawdziwie twardy narkotyk.

Duchowa i uczuciowa bliskość, jaką dzieliłem z Tiną na balkonie, przyjemność z towarzyszenia jej w odkrywaniu tego tak mistycznego stanu, z odbywania z nią do końca podróży do wnętrza, kiedy czułem jej oddech i widziałem błogi uśmiech na jej wargach, wszystko to sprawiło, że trwałem w stanie łaski, równie intensywnej - jakkolwiek innej, jakże innej - jak wówczas, kiedy razem kąpaliśmy się w oceanie, włączyli na motocyklu po wzgórzach Lomboku czy też obejmowali żarliwie na dziedzińcu Stelli.

- Zostało coś jeszcze? - zapytała.

- Tak. W sam raz na drugą fajkę.

- No to na co czekasz?

Zanadto byłem rozkojarzony, żeby się normalnie śmiać, otwierając usta i wydając dźwięk. Ogarnęła mnie niemoc, o czym musiała wiedzieć.

Zapaliliśmy drugą fajkę i Tina kontynuowała swoją samotną podróż. Przez przymknięte powieki widziałem jej pogodną twarz, ni to uroczystą, ni to uśmiechniętą, wygładzoną, z zamkniętymi oczami. Dopiero po chwili dostrzegłem łzy na jej policzkach. Przestraszyłem się. Widocznie wyczuła to, bo nie otwierając oczu, wzięła mnie za rękę i wyszeptała ledwo dosłyszalnie:

- Nie przejmuj się... Tak ma być... Uwielbiam... Łzy spływały nadal, a ona uśmiechała się i ścisnęła mnie za rękę. Straciłem rachubę czasu - nie wiedziałem, czy jesteśmy tu od pięciu minut, czy od ośmiu godzin.

Nie ruszała się, nie otwierała oczu, ale była ze mną, co było już nadprogramowe. Opium, nie zmieniając specyficznego charakteru naszego związku, umocniło go. Każde z nas trwało w swojej samotności. Nasze byty, jakkolwiek się przenikały, pozostały osobne. Każde z nas zamykało się jeszcze bardziej w swojej kapsule, odbywało i przeżywało swoją podróż oddzielnie i po swojemu, a jednocześnie byliśmy coraz silniej ze sobą związani.

Zanim odpłynąłem, pozbierałem resztki sił i półprzytomny podniosłem się. Kręciło mi się w głowie. Posuwałem się naprzód, trzymając się ściany. Wziąłem koc z łóżka, wróciłem, żeby okryć Tinę. Podskoczyłem, gdy usłyszałem szept:

- Dzięki. Do niedługa...
- Życzę pięknych snów - szepnąłem jej do ucha.
- Mam je bez przerwy...

Wyszedłem chwiejnym krokiem. Opuszczałem Tinę z rozdartym sercem. Jednocześnie, gdybym był w stanie, chodziłbym po ścianach i stepował jak Gene Kelly, rozpamiętując te niezapomniane chwile.

W łóżku ułożyłem się jak w toboganie. Moja ulubiona poza. Czułość, jakiej doznałem od Tiny, przepełniła mnie szczęściem. Nieprędko mnie pokocha, może nawet nigdy, ale gdyby była taka miła, zabawna i współgrająca ze mną jak dzisiaj wieczorem, nie byłoby źle. Moje życie byłoby i tak piękne.

Obudził mnie telefon o barbarzyńskiej porze. Bob chciał mi koniecznie powiedzieć, że uroda Tiny zrobiła na nim oszałamiające wrażenie.

- Gdy posiadasz tę kobietę, będziesz mógł umrzeć.

Nie zgadzałem się z nim. Strasznie byłoby umrzeć w takiej pięknej chwili, u zarania szczęścia!

Godzinę później zadzwoniła Tina. Pytaniem, czy musi koniecznie opuścić pokój w południe, wywołała mój pierwszy śmiech tego dnia. Była za pięć dwunasta. Zapewniłem ją, że może spać dalej. W całym hotelu przebywało troje gości. Wydaliśmy tyle, ile japońska rodzina wydałaby w ciągu tygodnia. Nie do pomyślenia, żeby dopisali do rachunku nasze wylegiwanie się!

Opuściliśmy hotel koło czwartej. Zjedliśmy śniadanie w swoich pokojach, więc wsiadając na motocykl, zamieniliśmy zaledwie kilka słów. Tina miała kaca połączonego z chandrą - nic za darmo!

Przy wyjeździe z Manggis minęliśmy drogowskaz na Ujung. Znajdowaliśmy się niedaleko mojego wakacyjnego domu, ale czułbym się niezręcznie, proponując Tinie spędzenie dwóch ostatnich dni na wyspie tylko ze mną. Jeszcze się nie zdarzyło, żebym, będąc na Bali, nie zatrzymał się tam. Miałem wrażenie, że dopuszczam się zdrady rodzinnej. Pocieszyłem się, że gdyby ojciec i matka patrzyli na mnie z nieba, pewnie nie mieliby mi tego za złe, raczej byłiby szczęśliwi, widząc, że jestem zakochany w tej kobiecie.

Jechaliśmy tą samą drogą co chevroletem z Candi Dasy. Wściekała się wtedy na mnie. Zatrzymaliśmy się w Klungkungu - tam gdzie poprzednio. Po godzinie jazdy Tina poczuła się lepiej i z tym swoim ciekawskim, zabawnym uśmiechem rozglądała się na wszystkie strony, obserwując panujący wokół ruch. Wspomniała o opium. Powiedziała, że

jeszcze dotąd czuje te „niesamowite” doznania, które przeniosły ją w inną rzeczywistość. Tak się zapaliła do tej używki, że postanowiła nie mówić o niej braciom, żeby nie narobić im apetytu.

Została nam już tylko godzina jazdy. Nasza ostatnia wólczuga przed jej powrotem do Francji. Rozkoszowałem się więc każdą sekundą, każdym uśmiechem, każdym spojrzeniem i nie przestawałem myśleć o nieuchronnym rozstaniu. Wszystko wskazywało na to, że nieprędko spędzę z nią pięć dni sam na sam. Może nawet ani jednego.

Przyjechaliśmy pod hotel Stella około piątej. W sam raz, żeby mogła obejrzeć z balkonu swój przedostatni zachód słońca. Umówiliśmy się, że zdzwonimy się nazajutrz. Przed pożegnaniem siedzieliśmy jeszcze przez chwilę na motocyklach. Czułem jej ciepły oddech na policzku.

- Dziękuję - powiedziała, zsiadając i patrząc mi prosto w oczy. - Gdyby nie ty, nie wiem, w jakim byłabym stanie.

Byłem za bardzo wzruszony, żeby cokolwiek powiedzieć. Wyczuła to. Oddaliła się niespiesznie. Zanim skrzyła na dziedziniec, pomachała mi ręką.

Pojechałem na plażę w Kucie, usiadłem na piasku. Miałem gonitwę myśli, pozytywne emocje przeplatały się z negatywnymi. Jeszcze pławilem się w szczęściu, jakiego przy niej doznałem, a już przeszywał mnie nieznośny ból, który z jej powodu - a raczej z powodu jej nieobecności - miał mi towarzyszyć codziennie.

Gdy zrobiło się ciemno, ruszyłem w miasto na poszukiwanie ładnego prezentu dla niej, co zajęło mi trochę czasu. Wróciłem do domu. Michel, Catherine i jej siostra zaśmiewali się, oglądając film na wideo, z udziałem nieznanym mi aktorów. Annick przywiozła go z Francji. Chciałem pójść od razu do siebie odpocząć, ale Catherine mnie zatrzymała.

- Obejrzyj z nami zakończenie, jeszcze tylko dziesięć minut.

Usiadłem, oni pękali ze śmiechu, a ja miałem takie wrażenie, jakbym oglądał dokument o platformach wiertniczych. Catherine zarzuciła mnie potem pytaniami na temat podróży, ale otrzymała ode mnie jedynie suchy i lakoniczny komunikat.

Leżąc w łóżku, poczułem dojmujący brak Tiny, i to w sposób wręcz namacalny, jakby klatkę piersiową znów ścisnęło mi imadło. Wstałem i przeszukałem apteczkę. Znalazłem środek uspokajający o nazwie lexotan, połknąłem pół tabletki i położyłem się z powrotem. Po kilku minutach widziałem już sprawy inaczej.

Nie miałem prawa uważać się nad sobą. Wszystko, co przeżyłem z Tiną w tak krótkim czasie, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Kochałem Tinę - ona zbudowała na tym uczuciu przyjaźń. Szukałem bardziej adekwatnego słowa, nie tak mocnego, ale nie znajdowałem.

Temat przyjaźni poruszyliśmy na tarasie w hotelu Amankila. Wiedziałem, że krąg najbliższych jej osób ogranicza się do rodziny, do synów i braci. Z mężem bywała u kilku zaprzyjaźnionych par, ale to nie ona się z nimi przyjaźniła, i wcale tego nie potrzebowała. Jeszcze jedna łącząca nas wspólna cecha. Od dwudziestu lat spędzałem z Michelelem trzy lub cztery dni w roku i to był mój cały wkład w to, co nazywa się przyjaźnią.

Choć w dalszej perspektywie zmierzałem do czegoś zupełnie innego, dumą napawała mnie świadomość, że oto staję się pierwszym i jedynym przyjacielem Tiny. Podczas tych pięciu dni dane mi było zająć puste dotąd miejsce - miejsce, które Tina wymyśliła specjalnie dla mnie. To cud, że udało mi się dojść tak daleko. Przebiegiem myślnymi wszystkie sytuacje, kiedy byłem pewny, że wybiła moja ostatnia

godzina: oświadczyły w Kupu Kupu Barong, złowieszcze milczenie podczas jazdy chevroletem, próba popełnienia na mnie mordy na Lomboku. Tak, mam za co dziękować niebiosom.

Była trzecia w nocy, a ja nie zmrużyłem oka. Połknąłem drugą połówkę lexiotanu. Teraz ja, żeby zasnąć, muszę brać te świństwa!

Nazajutrz rano Catherine jeszcze przede mną zadzwoniła do Tiny i zaprosiła ją na kolację. Zatelefonowałem do niej o piątej po południu. Właśnie wróciła ze swojej ostatniej kąpieli. Zaproponowałem, że przyjadę po nią i zabiorę do Michela.

O siódmej stawiałem się w holu Stelli. Tina podeszła do mnie od tyłu i położyła mi rękę na ramieniu. Odwróciłem się i ujrzałem jej uśmiechniętą twarz. Niespotykany widok. Miała na sobie szaroczną długą spódnicę z bawełny, szarą jedwabną bluzkę i czarne baleriny. Była taka piękna! Pomyślałem, że tym razem na pewno nałożyła makijaż. Dopiero po chwili przekonałem się, że jednak nie.

- Wyglądasz olśniewająco!

- Tylko tyle?

Gdyby teraz, z tym zabójczym uśmiechem, przywarła do mnie ustami, nikt by się nie dziwił. Idąc w stronę jeepa, powiedziała, że poranek spędziła na zakupach. Wróciła do hotelu z mnóstwem paczuszek z prezentami dla dzieci, braci i rodziców. Zdaje się, że przekonała się do magicznej mocy karty kredytowej, co byłoby objawem zdrowia. W schowku na rękawiczki wyszperała kasetę, podała mi pudełko: z okładki uśmiechali się głupawo Ikko w różowej sukni z falbankami i Dumbang w niebieskim smokingu.

- Kupiłam wszystkie ich płyty.

Jechałem wolniej niż zwykle. Tina przemierzała Legian i Kutę ostatni raz w porze, kiedy zaczyna się nocne życie, ostatni raz czuła tutejsze zapachy, widziała tutejszych ludzi, i

na pewno wolą, podobnie jak ja, żeby ta przejażdżka nie skończyła się za szybko. Bałem się tego ostatniego wieczoru jak jakiejś zakaźnej choroby, nie chciałem się rozkleić ani przytłoczyć jej swoją miłością. Hamowałem się, jak mogłem.

Powiedziałem, że odbyłem rozmowę telefoniczną z Bodhartem. Gotów jest przyjąć moją ofertę pod warunkiem - bydlak! - że się dogadamy co do pewnych kwestii. Zanosilo się na ostre negocjacje, mniejsza o to, sprawy posuwają się naprzód, wrócę tam za dwa dni. Tina ucieszyła się, jakby to był również jej sukces. Najchętniej zatrzymałbym samochód, pocałował ją i zaproponował, żebyśmy nadal przemierzali razem świat - pojechali na Celebes i na Moluki, zwiedzili Cejlon i Malediwy, Delhi lub Tahiti, i jeszcze wiele, wiele innych miejsc, ale na razie musiałem dopilnować, żeby Tina nie wymknęła mi się z rąk.

W domu zastaliśmy już całą paczkę. Wszyscy gratulowali Tinie olśniewającego wyglądu. Jeannot i Made, którzy pogodzili się po trzech dniach dzikich awantur, zabawiali nas podczas kolacji szczegółami, włącznie z cytowaniem obelg, jakimi się nawzajem obrzucali. Usłyszeliśmy o wylatującym przez okno telewizorze, o pościgu ulicami w piżamach, o minach glin zaalarmowanych przez doprowadzonych do białej gorączki sąsiadów. Nawet teraz, kiedy nabijali się z samych siebie, robili to z zaciętrzewieniem, prawili sobie złośliwości - jednym słowem przeżywali miesiąc miodowy. Tina bardzo ich polubiła, co było widać.

Między nią i mną znów coś się zmieniło. Zachowywała się przy nich tak, jakby była ze mną, a ja jej towarzyszem podróży, jej kawalerem. Na przykład kładła mi rękę na ramieniu, kiedy coś ją rozśmieszyło, albo rzucała porozumiewawcze spojrzenie, kiedy Jeannot i Made wywlekali na światło dzienne jakiś skandaliczny szczegół ze swego małżeńskiego pożycia.

Dała znak do powrotu wcześniej, niż przewidywałem. Nazajutrz Catherine i Annick miały ją odprowadzić razem ze mną na lotnisko, więc uroczyste pożegnanie nie musiało ciągnąć się w nieskończoność.

W drodze do hotelu nie padło ani jedno słowo. Ikko śpiewała, Tina, jak zawsze, z wyciągniętymi przed siebie nogami i głową odchyłoną do tyłu, wpatrywała się w gwiazdy. Choć robiłem, co mogłem, przyjechałem do Stelli o wiele za szybko. Była dopiero północ.

- Napijemy się strzemiennego na tarasie? - zapytała, jak gdyby nigdy nic.

Zrobiłem naburmuszoną minę.

- Och, nie, nie teraz, chce mi się spać!

Wybuchnęła śmiechem. Udaliśmy się na górę.

Na hotelowym tarasie czuliśmy się w ciemnościach nocy jak zawieszeni w próżni. Księżyc świecił nad miastem, górami i oceanem, wysrebrzał spienione grzywy fal. Ulice w centrum miasta migotały tysiącami czerwonych i białych światełek. Na tarasie obok obściskiwala się para nastolatków, w tle słycać było dźwięki Unplugged Claptona. Tina zdjęła baleriny i poruszała do taktu bosymi stopami skrzyżowanymi pod krzesłem, na którym siedziała. W oddali wystartował samolot. Po chwili dołączył do gwiazd i zniknął na Drodze Mlecznej. Jutro o tej porze Tina również znajdzie się wysoko, jeszcze wyżej, gdzieś nad Oceanem Indyjskim. Na pewno też o tym myślała.

Kelner przyniósł nam Zielone Smoki. Wyciągnąłem rękę z kieliszkiem i wzniosłem toast.

- Za ciebie. Za twój powrót.

Tręciliśmy się, wypića jednym haustem, jak każe tradycja.

- A kiedy ty wracasz do Francji? - zapytała.

Jeszcze nigdy o to mnie nie pytała. Byłem wniebowzięty.

- Jak załatwię sprawę z Bodhartem. Myślę, że za jakieś dwa tygodnie... Właściwie... powinniśmy wymienić się numerami telefonu... Taki jest zwyczaj, gdy ludzie rozjeżdżają się pod koniec wakacji...

- Oczywiście.

Zawołałem kelnera, poprosiłem go o pióro i papier, przedarłem kartkę na pół, napisałem „Franck” i mój numer, podałem jej pióro, napisała „Tina” i obok swój numer, zwróciła mi swoją połówkę kartki. W jej numerze były trzy siódemki, błyskawicznie go zapamiętałem.

- Postaram się nie dzwonić w dniu przyjazdu, ale niewykluczone, że zrobię to już nazajutrz.

- Będzie mi miło.

Powiedziała to grzecznie, akurat tak jak trzeba, żebym nie przypisywał tym słowom znaczenia, którego w nich nie było.

Wsunąłem bezcenny rękopis do tylnej kieszeni dżinsów. Wreszcie wszedłem w posiadanie przedmiotu świadczącego o jej istnieniu! I to jakiego! Z imieniem i numerem telefonu, napisanymi jej ręką na papierze z nagłówkiem Stella Hotel, Legian, Bali. Kiedy będziemy w sobie zakochani, oprawimy go w ramki i powiesimy nad łóżkiem w sypialni.

*

Nie wiedziałem już, co powiedzieć. Zapach ostatniego wieczoru był natrętny i przytłaczający. Milczenie przeciągało się. Niepostrzeżenie twarz Tiny zasępiła się. Chciałem zaryzykować i powiedzieć coś, co było trudne do wyrażenia, co mogło rozbudzić niepotrzebne emocje, ale również, jeśli dobrze kombinowałem, mogło dorzucić trochę błękitu na jej pochmurne niebo.

- Mam wrażenie, że twój powrót okaże się łatwiejszy, niż przypuszczasz...

Spojrzała na mnie, a jej wzrok mówił: „Ach tak? A skąd ty to wiesz?”.

- Długo się zastanawiałem. Mam pewną teorię na twój temat...

- Teorię?

- To się nazywa strategia zerwania.

- Mów, proszę.

Ważylem każde słowo, starałem się mówić najbardziej naturalnym głosem.

- Oddalając się od dzieci... znalazłaś się... nieświadomie... w sytuacji, w której brakuje ci ich w równym stopniu, w jakim brakuje ci męża... Od sześciu tygodni żyjesz tak, jakbyś straciła wszystkich trzech...

Widziałem, jak z każdym zdaniem zmienia się jej nastawienie, jak początkowa ciekawość ustępuje miejsca żywej emocji, a w oczach pojawia się załóżek nagany.

- Po powrocie ta strategia zaowocuje - ciągnąłem niezrażony. - Radość ze spotkania z dziećmi, upewnienie się, że żyją, że wszyscy troje żyjecie, właśnie ta radość okaże się silniejsza od wyniszczającego cię od roku smutku.

- To teoria w twoim stylu.

- Co, nie trzyma się kupy?

- Nie, myślę, że masz rację.

Tym razem to ona wyciągnęła rękę, żeby trącić się ze mną kieliszkiem.

Oznajmiła, że zamierza wrócić tutaj w lecie z synami - mają dwa miesiące wakacji, będzie więc czas na zwiedzenie nie tylko Bali, ale także innych miejsc.

- Będziesz mi potrzebny. Będziesz musiał mi doradzić.

Liczyłem na to, że zostanę kimś więcej niż doradcą, ale nie powiedziałem tego głośno. Gdybym był złośliwym doradcą, uprzedziłbym ją, że się rozczaruje, przyjeżdżając tu w środku lata, ponieważ ten bezludny raj, który pokochała, zaroi się od turystów z kamerami cyfrowymi. Nie powiedziałem jej też, że podróż z synami nie będzie już miała tego zapachu wolności, jaki poczuła ze mną.

Pomysł rodzinnej podróży rozwiął ostatnie chmury. Tina była tak rozpromieniona, że zrobiło mi się wstyd z powodu moich jakże bezsensownych dąsów. Im dłużej będę zatruwał sobie umysł takimi małostkowymi myślami, tym mniejsze będą szanse, że mnie pokocha.

Zasypała mnie gradem pytań. Gdzie jeszcze można wynająć motocykl tak łatwo jak na Bali? O jakiej porze roku najlepiej zwiedzać Tajlandię? A Jawę? Sumatrę? W końcu prawie mnie rozweseliła.

Kieliszki były puste, a Tina w doskonałym nastroju. Niespodziewanie wyraziła chęć udania się do swojego pokoju. Wsiadliśmy do windy, zatrzymała ją na drugim piętrze, powiedziała „do jutra” i wyszła. Rozegrała to błyskawicznie, poczułem się wyrolowany.

Szedłem do jeepa najwolniej, jak mogłem, chciałem dać jej czas na zmianę decyzji, pragnąłem, żeby zbiegła po schodach na dół i dogoniła mnie na dziedzińcu, zatrzymała i powiedziała „chodź”. Z całą pewnością poszedłbym za nią, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Po powrocie do pokoju zapadłem się w siebie. Nie miałem powodów ani to radości, ani do rozpacz, nie byłem ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy - jeden stan wykluczał drugi. Próbowałem skoncentrować się na dobrych stronach sytuacji, których nie brakowało, ale na próżno. Dopadała mnie coraz większa chandra.

Wiedziałem, że nie będę mógł czytać ani spać, wyjąłem więc kalendarz i policzyłem, że znam Tinę od pięćdziesięciu dni, ale wliczając w to nasze pierwsze spotkania trwające nie dłużej niż kilka minut, widzieliśmy się tylko przez szesnaście dni. Byłem zdumiony. Mój twardy dysk nie zarejestrował dni bez niej. To już zakrawało na obłąd, należałoby mnie wsadzić w kaftan bezpieczeństwa. Żeby potraktować szesnaście dni z nią, jakby było ich pięćdziesiąt, jakby trzydzieści cztery dni bez niej w ogóle nie istniały?! Zapamiętałem za to bardzo dobrze, że przez te trzydzieści cztery straszne dni cierpiałem jak potępieniec.

Położyłem się. Co miałem robić? Czułem się coraz gorzej. Od naszego powrotu z Lomboku dręczyła mnie straszna myśl, że najlepsze mam już za sobą. We Francji pójdę w odstawkę. Życie Tyny zdominują dzieci, rodzina, być może smutek. Mnie zaś, w najlepszym razie, przypadnie rola drugoplanowa, i to pod warunkiem, że nie popełnię żadnego błędu.

Czarne myśli świadczyły przynajmniej o tym, że będąc tak obłądnie zakochany, zachowałem resztki władz umysłowych. Na razie sanitariusze mogą odłożyć kaftan. Gdybym o powrocie do Francji marzył z głową w chmurach, gdybym wyobrażał sobie intymne kolacje, upojne noce, szalone przejażdżki, wtedy, proszę bardzo, niech mnie zwiążą i zamkną w pokoju o miękkich ścianach i szykują strzykawkę.

Samolot Tiny odlatywał o piątej po południu. Catherine, Annick i ja pojechaliśmy po nią jeepem do Stelli. Wolałbym być z nią sam na sam, żeby odpowiednio przeżyć tę chwilę, ale obecność sióstr była uprawniona, poza tym miała tę zaletę, że pozwalała mi stać z boku i nie uczestniczyć w rozdzierającym pożegnaniu. Mokre chusteczki to nie moja specjalność. Dla Catherine odjazd najlepszej kumpelki, jakiej nie miała od dawna, był naprawdę smutnym wydarzeniem i niczego nie zmieniał pomysł Tiny, żeby przyjechać tu za dwa miesiące z synami. Podróżnicy zawsze obiecują, że wrócą, ale rzadko to robią. Świat jest zbyt wielki, jest wiele innych krajów do odkrycia.

Podeszliśmy z Tiną do punktu odprawy pasażerów. Oddała na bagaż dużą torbę, którą nabyła wczoraj i wyładowała prezentami, a zachowała przy sobie małą, z szarego płótna. Na pewno kupiła ją specjalnie na wyjazd - nie wyobrażałem sobie Tiny zajmującej się pakowaniem, gdy żył Bruno. Sam fakt wyboru takiej torby świadczył o tym, że miała żyłkę globtrotera.

Przed drzwiami, za którymi odbywała się odprawa celna, ustawiliśmy się całą trójką w szeregu, jak do przypinania orderów. Najpierw Tina uściskała Catherine, potem Annick, a na końcu stanęła przede mną. Miała łzy w oczach. Podałem jej zawiązane czerwoną wstążką pozłacane pudełko.

- Masz... To talizman. Na szczęście...

Otworzyła paczuszkę, w której znajdował się srebrny ptak z rozpostartymi skrzydłami. Była wzruszona, a ja nie mogłem zdobyć się na uśmiech. Uścisnęła mnie, mówiąc tym gestem „do widzenia” i jednocześnie „dziękuję”. Przytrzymałem ją w ramionach, musnąłem wargami jej szyję. Jak to możliwe, że w tej samej chwili może być tak słodko i smutno zarazem?

Powiedziałem: „Szczęśliwej podróży”, i Tina oddaliła się z torbą przewieszoną przez ramię.

Miała boską sylwetkę - wysoka, szczupła, o lekko zaokrąglonych biodrach. Szła szybko, jakby spieszyła się do metra i pilno jej było wrócić do domu. Włosy jej odrosły i pojaśniały, była teraz prawie blondynką.

Nim minęła drzwi, odwróciła się, pomachała ręką, przekroczyła próg, drzwi się zamknęły i zniknęła.

Gdy opuszczaliśmy lotnisko, niebo było czarne, a gdy przejeżdżaliśmy przez Denpasar, rozpętała się burza. Powiedziałem Catherine, że bez niej moje stosunki z Tiną nie ułożyłyby się tak dobrze. Sprawilem jej tym stwierdzeniem przyjemność.

Jeśli nawet ostatnio czasami mnie denerwowała, to ta historia nas zbliżyła. Przestaliśmy być dla siebie przyjacielem i żoną Michela, ja stałem się facetem zakochanym w jej przyjaciółce, ona przyjaciółką mojej miłości.

Kiedy podjeżdżaliśmy pod dom, przestało padać i za chwilę wyszło słońce. Wskoczyłem na motocykl, poparułem na plażę do Kuty, która dzięki burzy była pusta. Usiadłem na mokrym piasku i czekałem.

Dziesięć minut później na kadłubie samolotu, który wzbił się nad półwyspem naprzeciwko mnie, rozpoznałem ciemnoczerwone logo w kształcie orchidei tajskich linii lotniczych. Jeśli Tina spoglądała na plażę, byłem tam tylko okruszkiem. Znajdowała się za daleko, żeby zobaczyć, że płaczę.

Dwa tygodnie później w samolocie do Paryża sącyłem Zielonego Smoka. Świątowałem swój drugi lot tego dnia - rano spędziłem pół godziny w przestworzach w drodze z Lomboku na Bali: mój trzeci kurs w tę i z powrotem do Bodharta od wyjazdu Tiny.

Rzadko odczuwam niepokój w samolocie, a tym razem biłem wszelkie rekordy opanowania: las na Rinjani należał do nas, a ja leciałem do uwielbianej kobiety. Szczerze mówiąc, sprawa lasu pochłaniała najwyżej jeden procent mojej uwagi, a i ten jeden procent zawdzięczam Tinie. Tak się spieszyłem z zawarciem umowy, tak szybko chciałem być z nią, tak się obawiałem, jak przyjmie wiadomość, gdyby sprawa zawisała w próżni, że w pertraktacjach z Bodhartem poszedłem na daleko idące ustępstwa. Gdybym nie był myślami przy Tinie, negocjowałbym twardziej. Dziękuję ci, moja sarenko.

Miałem czterogodzinną przerwę między lotami. Michel przyjechał na lotnisko i razem zjedliśmy lunch. Zgodził się prowadzić moją sprawę do czasu ostatecznego sfinalizowania transakcji z Bodhartem. Lepiej ode mnie orientował się w lokalnych przepisach, znał wszystkie kruczki prawne, wiedział, komu i ile dać w łapę. Śmiał się, kiedy mu powiedziałem, ile forsy wydarł ze mnie ten gad. Naprawdę przepłaciłem.

Michel przekazał mi wiadomości o Tinie, z którą Catherine rozmawiała przez telefon. Nie było powodów do obaw: moja ukochana spędza dużo czasu z dziećmi i jest w dobrej formie.

Uściskaliśmy się z Michelelem tak, jakbyśmy się mieli zobaczyć nazajutrz.

Trzy dni później wysiadłem na dworcu w Arles.

W tym czasie przeleciałem pół globu, włóczyłem się między porannym i wieczornym spotkaniem służbowym cały

dzień po Paryżu, a następnie przemierzyłem Francję, siedząc wygodnie w wagonie TGV (TGV - Train à Grande Vitesse - pociąg rozwijający prędkość ponad 300 km/godz.).

Do domu mogłem dotrzeć na piechotę brzegiem Rodanu, co byłoby najprzyjemniejsze, albo przejść środkiem miasta, czyli najkrótszą drogą. Przed poznaniem Tiny szedłem zawsze nadrzecznym bulwarem. Tym razem wybrałem centrum, bo a nuż przypadkiem bym na nią wpadł.

Był początek maja, sobotnie popołudnie pachniało już latem. Dzieciaki lizały lody, dziewczęta pokazywały pępki, tarasy kawiarni były przepełnione. Miałem ochotę napić się kawy, poprzyglądać tłumowi pieszych, na wypadek gdyby - co byłoby wspaniałe - Tina tędy przechodziła, ale nie wypatrzyłem wolnego miejsca.

Po raz pierwszy, odkąd zamieszkałem w Prowansji, wracałem do kogoś, o kim stale myślałem, do kogo mogłem zatelefonować. Teraz, w tym mieście, które wybrałem sobie do życia, była kobieta, którą kochałem. Patrzyłem na Arles innymi oczami. Miałem wrażenie, że przyciągnęła mnie tu jej obecność, jej zapach na ulicach.

Przemierzając miasto, przemierzałem jej życie. Ulice, które widziały, jak rośnie, pięknieje, staje się kobietą, żoną, matką. Znała te domy, wystawy, twarze przechodniów. Fryzjer i księgarz mogli być jej kumplami z liceum. Tu kupiła pantofle, a tam dzinsy - z pewnością wielokrotnie zaglądała do tych sklepów. Mieszkała tu od dwudziestu lat, w tak niedużym mieście jej uroda nie mogła pozostać niezauważona, musiała być powszechnie znana.

Gdybym poszedł na całość, wstąpiłbym do kwiaciarni, kupił bukiet białych peonii i posłał jej. Powstrzymałem się. Moim hasłem był pełny umiar. Nie chciałem dzwonić do niej w dniu przyjazdu. Jeszcze by sobie pomyślała, że umieram z tęsknoty. Oczywiście mogłem powiedzieć - i przyznaję,

rozważałem to - że przyjechałem wczoraj, ale nie chciałem zaczynać nowego rozdziału naszej historii od kłamstwa, nawet najbardziej niewinnego. Zamierzałem dotrzymać „umowy z Kute”, pokazać, że potrafię zachować się jak przyjaciel.

Cieszyłem się, że wróciłem do Arles. Tylko tutaj byłem naprawdę u siebie. W La Garde i w Ujungu byłem u nas. U Vialatów, mówiąc dokładniej.

Na podwórzu stały mój pick - up i motocykl. Wsiadłem do windy. Trzecie piętro, ostatnie. Zadzwoiłem z Bali do sąsiadki, pani Crouzet, która ma klucze od mojego mieszkania, sprzęta i pod nieobecność gospodarza, czyli mnie, karmi koty. Wnętrze pachniało czystością, przez wypucowane okna wlewało się słońce, podłogi błyszcząły, tygrys z brązu na komodzie w holu świecił się, jakby był ze złota.

Lolo i Lola, moje dwie kocice, jedna popielata, druga czarna z domieszką białego, ruszyły w moją stronę, bez pośpiechu, zaspane, jeszcze nie do końca wybudzone. Ukucnąłem, żeby je popieścić, ocierały się, mruczając, jak zawsze, kiedy wracam at home. Przygarnąłem je, kiedy były małe, a ja dopiero co tu zamieszkałem. Dowiedziałem się o nich z ogłoszenia w aptece na mojej ulicy. Bardzo się polubiliśmy.

Wyszedłem na taras. Na dole proboszcz z pobliskiego kościoła pracował w ogrodzie. Ptaki na drzewach zdzierały sobie gardła, wyśpiewując radość życia. Lubiłem odnajdywać to uczucie spokoju, które spływało na mnie natychmiast po przestąpieniu progu. Tylko że tym razem nakładały się na nie nieznane mi do niedawna emocje, w dodatku sprzeczne. Przyjemność z powrotu w tak piękne otoczenie mąciła świadomość braku jakiegokolwiek śladu istnienia Tiny: żadnych porzuconych przy wejściu tenisówek, białego podkoszulka ciśniętego na kanapę, winstona zgniecionego w

popielniczce, zapomnianych okularów na kominku - dosłownie niczego. Jakże mi w tej chwili tego brakowało!

Pomyślałem o karteczce wypisanej ręką Tiny w Stelli. Była w mojej torbie, włożona między stronice Lwa. Położyłem książkę na stoliku nocnym, a kartkę obok telefonu. Uff...

W rezultacie nie zatelefonowałem do niej nazajutrz. Była to bowiem niedziela i jej czterej mężczyźni prawie na pewno przebywali w domu, więc szanse, że odbierze osobiście, równały się zeru. Nie łudziłem się, że podskakuje na każdy dzwonek w nadziei, że to ja! W poniedziałek dzieci pójdą do szkoły, bracia do pracy i pierwszy raz od powrotu z Bali zostanie sama - wtedy do niej zadzwonię.

Bąłem się. Od rozstania upłynęły dwa długie tygodnie. Czy nie wprawię Tiny w zakłopotanie, nie wytrączę z równowagi, pojawiając się w jej życiu jak towarzysz podróży, który nie rozumie, że lato się skończyło? Czy z dala od naszego rajy na drugim końcu świata możliwe jest kontynuowanie tamtej harmonii? Obawiałem się, że tam przyzwyczaiła się do mnie, tutaj trzeba będzie zaczynać wszystko od początku.

W poniedziałek o dziesiątej pierwszy raz w życiu wykręciłem numer telefonu Tiny. Do tego czasu zdążyłem już wypić paręnaście kaw. Po drugim dzwonku uruchomiła się sekretarka i chłopięcy głos powiedział „my”.

Odłożyłem natychmiast słuchawkę. Znienawidziłem ten sygnał, mówiący, że jest nieobecna. Ponowiłem próbę w południe.

- Halo? - usłyszałem po trzech dzwonekach.

Głos Tiny brzmiał rażno. Domyśliłem się, że nie jest źle - nie poddała się czarnym myślom i nadal należy do mojego życia. To było tak oczywiste, że aż przyprawiało o zawrót

głowy. Serce waliło mi dziko, przez chwilę nie mogłem wydobyć głosu.

- Dzień dobry, tu Franck...

Już chciałem dodać nazwisko, na wypadek gdyby znała kilku Francków, ale przerwała mi:

- Och, dzień dobry!

Nie był to okrzyk szczęścia, jaki by wydała, gdyby skoczyła 8,01 metra w dal w finale igrzysk olimpijskich. Nie szkodzi, był jednak radosny, choć z pewną nutką zaskoczenia, jakbym wynurzył się z niebytu po dwudziestu latach nieistnienia, ale bez dwuznaczności w najważniejszej sprawie: usłyszawszy moje imię, nie pomyślała: „O cholera, to znowu on”.

- Kiedy wróciłeś?

- W sobotę.

- Jak poszło na Lomboku?

- Dobrze, umowa podpisana. A co u ciebie? Wszystko w porządku?

- Tak. Chłopcy są zadowoleni, jak sądzę.

Ten ostatni fragment zdania zachwiał trochę moją pewnością: może nie czuje się aż tak dobrze.

- Masz czas? Zapraszam na lunch.

- Oczywiście.

- Przyjdiesz do mnie?

Bałem się, że pęknie mi serce. Podałem swój adres i chciałem wytłumaczyć, jak dojechać, ale przerwała mi:

- Znam drogę.

To nie był dobry znak w dosłownym znaczeniu tego słowa. Byłby zły, gdyby nie znała drogi.

Zadzwoiła raz, krótko. Usłyszałem jej głos w domofonie:
- Tina.

Wystarczyły dwie sylaby, żebym był jak w transie. Jeśli to będzie inna Tina, potraktuję ją jak oszustkę.

Otworzyłem przyciskiem drzwi na dole i czekałem na nią na podeście. Winda nie mknęła jak rakieta, moje emocje rosły szybciej.

Wyłaniała się stopniowo, od góry do dołu, za przeszklonymi drzwiami: oczy, uśmiechnięte na mój widok usta, potem tułów, a wreszcie, powoli, cała postać, całe sto siedemdziesiąt osiem centymetrów. Była trochę mniej opalona, miała na sobie swoją spraną kurtkę, czarny podkoszulek i czarne dżinsy. Ucieszyłem się, że tutaj ubiera się tak samo jak tam, już wcześniej zastanawiałem się nad tym. Popchnęła drzwi, odnalazłem w jej spojrzeniu dawną nieśmiałość i powagę. Omal nie rozplakałem się ze szczęścia. Postąpiłem krok naprzód, uśmiechnęła się tak, jak lubiłem, jakby mówiła: „Oto znów jestem!”, ucałowaliśmy się trzy razy w policzki, po tutejszemu. To wystarczyło - znów byłem w raju. Wraz z nią od razu zrobiło się dobrze i ciepło, wszystko się odmieniło.

Przełknąłem pół kropli śliny, jaka mi została.

- Jesteś piękna. Wygląda na to, że urlop ci posłużył.

- Tak, czuję się dobrze...

Była skrepowana bardziej niż ja. Kładąc rękę na jej plecach, dałem znak, żeby weszła do środka. Miałem taką tremę, jakbym mieszkał w jakiejś speluncie.

Przy otwartych wszystkich drzwiach, których nigdy nie zamykam, widzi się amfiladę trzech głównych pokojów oraz taras biegnący przez całą szerokość budynku, z zielonymi koronami drzew w tle.

- Teraz rozumiem, dlaczego kupiłeś to mieszkanie. Oprowadzisz mnie?

Obeszliśmy salon, przeszli przez gabinet, potem przez mój pokój i korytarzem na tyły mieszkania, gdzie znajdowały się łazienki, pokój gościnny, kuchnia i jadalnia. Kamienica pochodziła z końca siedemnastego wieku, apartament miał bardzo wysokie sufity i mnóstwo sztukaterii, które kazałem pomalować na biało, ograniczyłem liczbę mebli, wybierając proste i nowoczesne, w tym białe kanapy, czarne stoły. Niemal wszystko kupiłem tutaj, w ciągu trzech dni. Nie chciałem przenosić do Prowansji mojej Azji, zabrałem z La Garde tylko trochę bliskich memu sercu przedmiotów: tygrysa z brązu, domek duchów i mój skarb - wykonane z wiązu popiersie khmerskiej kobiety z czternastego wieku, którą nazwałem „Zamyślona”. Było mi miło, kiedy Tina zatrzymała się przy niej i pieszczotliwie ją musnęła.

Pomimo tego starego bibelotu, pomimo wysokich sufitów, sztukaterii i kominków nie należało się spodziewać, że nagle pojawi się tu d'Artagnan. To było mieszkanie dwudziestego wieku - jasne, przestronne i wesołe. Zależało mi na tym. Po naszym domu w La Garde, całym w drewnie i mrocznym, byłem spragniony światła i kolorów. Na ścianie nad łóżkiem przypiąłem pineskami wielki, żółty kartonowy samolot z komiksu, lecący w niebo. Reprodukcje Hoppera o tematyce morskiej i baseny Hockneya wprowadzały dużo błękitu. Poduszki, dywany, półki, lampy, nakrycia łóżek były niebieskie, czerwone i żółte. Po zaciągnięciu pomarańczowych jedwabnych zasłon, niezależnie od tego, czy świeci słońce, czy nie, całe mieszkanie robi się pomarańczowe.

Wyszliśmy na taras, gdzie czekał nakryty stół. Nagle zrobiło mi się głupio, bo choć nie było na nim kwiatów ani sreber, tylko biały obrus i po jednym kieliszku przy talerzu, to

całość, w otoczeniu zieleni nie z tego świata, wyglądała jak lunch dla zakochanych. Zostawiłem ją samą, by mogła pomarzyć o swoim Romeu, i uciekłem do kuchni po lód do anyżówki.

Gdy wróciłem z tacą, uśmiechnęła się rozczulona. Jako pan domu wyglądałem chyba mało wiarygodnie, za bardzo się do wszystkiego przykładałem. Rzeczywiście, nie tylko nie miałem odpowiednich nawyków, ale w ogóle pierwszy raz gościłem u siebie kobietę mojego życia, pierwszy raz miała pić z moich kieliszków, pierwszy raz gotowałem dla niej, pierwszy raz robiłem mnóstwo innych rzeczy. Nic dziwnego, że miotałem się jak wariat.

Tręciliśmy się kieliszkami. Tina zapytała o przebieg negocjacji z Bodhartem. Niezłe się uśmieła, słuchając sprawozdania z traktatu, na miarę jałtańskiego, z niegodziwym kutwą. Poznała rozkoszną atmosferę tamtego miejsca i śmiechu wartą dobroduszość pana domu, mogła ocenić, ile mnie kosztowały codzienne dziesięciogodzinne zasiadówki ze starym i jego świtą. A najgorsze było to, że dopóki nie zbuduję własnej chaty, będę musiał mieszkać w tej trumnie, ilekroć przybędę na Rinjani, a do końca roku będzie jeszcze wiele spraw do załatwienia. Śmiałem się, ponieważ ona się śmiała. Prawdę mówiąc, nie miałem z czego.

Menu było proste. Dania przygotowałem z tego, co miałem pod ręką. Zawsze mam dużo wszystkiego. Nienawidzę pustej lodówki, doprowadza mnie to do czarnej rozpacz. Gdy postawiłem na stole żaroodporne naczynie, pogratulowała mi, zanim spróbowała potrawę. To prawda, ostry pomarańczowy kolor indyjskiego szafranu wyglądał szalenie atrakcyjnie, chociaż samo danie nie było skomplikowane: curry z kurczaka w mleku kokosowym, bez żadnych cudów, bardzo ostre, tak jak lubiła, do tego ryż.

Z nią, tutaj, wszystko nabierało sensu. To dla niej, dla nas, dla udzielenia schronienia naszemu związkowi wybrałem to mieszkanie, popielniczki, zasłony, morską tematykę obrazów. Nie docierały tu dźwięki z ulicy, nie czuło się miasta. Nie nastawiłem muzyki. Chwile ciszy wypełniał śpiew ptaków.

Stopniowo powróciła dawna zażyłość. Niepotrzebnie się niepokoiłem: Tina czuła się dobrze. Świadczyły o tym dwie decyzje o kapitalnym znaczeniu, które podjęła po powrocie z Bali. Oba zamierzenia, jeśli zostaną spełnione, zmienią jej życie.

Przede wszystkim postanowiła podjąć pracę. Roland, widząc, że siostra jest w formie, zaproponował, żeby zajęła się promocją jego salonu muzycznego. Liczył na to, że podejmie odpowiednie kroki, skontaktuje się z lokalnymi stacjami radiowymi, zawrze z nimi umowy, zorganizuje koncerty z udziałem nowych artystów. Obiecała, że od września zacznie działać. Była pewna, że brat wymyślił tę funkcję specjalnie dla niej, postanowiła więc go zaskoczyć i pokazać się z jak najlepszej strony.

Pierwszy raz poruszyliśmy ten temat. Wiedziałem od Catherine, że Tina nigdy dotąd nie pracowała, ale ponieważ nie chciałem się z tym zdradzić, ani też udawać, że nie interesują mnie jej sprawy, wzbraniałem się przed zadawaniem pytań na ten temat, wychodząc z założenia, że sama mi powie. Trochę to potrwało, ale rozumiałem dlaczego.

Mierziła ją sama idea pracy. Kiedy o tym mówiła, z niespotykaną zapalczywością, nakręcała się i denerwowała. Nigdy nie uzależniała sensu życia od potrzeby zarabiania pieniędzy. Nie czuła się poniżona tym, że nie umie posługiwać się komputerem. Mierziła ją myśl, że musiałaby stroić się co rano, żeby podobać się komuś innemu niż własnemu mężowi, a świadomość, że mogłaby mieć nad sobą szefa albo sama nim być, przyprawiała ją o gęsią skórę. Uważała się za

szczęściarę, że ominęła ją ta katorga. Oburzała się na tych wszystkich ograniczonych ludzi, którzy nie rozumieją, że zaprzęgnięcie się w ten kierat nie może być powodem do radości. Zachwycił mnie jej zgryźliwy humor.

- Jeszcze cię nie widziałem tak zaciekrzewionej...

- Bo mnie to wnerwia! Rano pokłóciłam się na ten temat z matką. - Dopijała czerwone wino. - A poza tym, odkąd wróciłam, nie wypłam ani kropli alkoholu... Anyżówka, teraz wino... to mnie rozgrzało!

Wściekła się jeszcze raz, tym razem na doradcę bankowego, który sugerował, żeby zainwestowała swoje oszczędności w działalność handlową! Pękaliśmy ze śmiechu, wyobrażając ją sobie sterczącą za ladą przez sto godzin w tygodniu albo czekającą na klienta w jakimś spodniem w butiku z szykownymi akcesoriami wystroju wnętrza.

- A propos, jeszcze ci nie powiedziałam o moim kolejnym pomysle...

Uśmiechnąłem się, bo przyszedł mi do głowy niewybredny żart, ale nie ośmieliłem się powiedzieć na głos: „Pobieramy się?”.

- Chcę się przenieść na wieś.

Zanim zacznie nowe życie i rzuci się w wir pracy, chce kupić dom na łonie natury i opuścić mieszkanie w mieście, w którym mieszka z braćmi od śmierci męża. Jeszcze odsuwała od siebie chwilę startu do trudnego i długiego biegu z przeszkodami, jaki ją czeka: szukanie, formalności, dogadywanie ceny, przeprowadzka, kartony i tak dalej, ale była zdecydowana, nawet gdyby z tego powodu musiała, z wielkim żalem, zrezygnować z planowanej podróży z dziećmi. Lato spędzone na poszukiwaniu domu i urządzenie się w nim to i tak dużo!

Zaoferowałem swoją pomoc. Gdyby sobie tego życzyła, moglibyśmy szukać razem, miałem czas. Natychmiast

wyczułem, że pomysł wybierania przyszłego domu ze mną, podczas gdy poprzednio robiła to z mężem, trochę ją zaszokował. Szybko jednak doszła do wniosku, że we dwoje będzie różniej.

- Pomożesz mi przerobić właścicieli - powiedziała z zabawną miną.

- Sama jesteś w tym dobra.

Po deserze - pysznym cieście w czekoladowej polewie z cukierni na mojej ulicy - ułożyliśmy się na leżakach, żeby wypić kawę w cieniu i wypalić skręta, którego przyniosła ze sobą. Opowiedziała mi, jaką minę miał Roland, kiedy go poprosiła, żeby kupił jej trawę. Nie odważyła się zapalić przy synach. Śmiała się, opisując środki ostrożności, jakie stosowała, żeby się nie połapali.

Udała się do salonu obejrzeć płyty.

- Mogę nastawić muzykę?

- Jak to ładnie, że pytasz! - zażartowałem. Wróciła i wyciągnęła się na leżaku obok mnie, naląła

sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, zapaliła papierosa. Rozpoznałem głos dziewczyny z Teksasu. Jeszcze nie słuchałem tego albumu, ale od razu mi się spodobał. Melodia była piękna i niesmutna, pasowała do scenerii i do nas.

- Nie wiesz jeszcze najważniejszego! - powiedziała Tina z ożywieniem.

Jak to możliwe, że żyłem dotąd bez niej?

- Postanowiłam kupić motocykl!

Zaraz po powrocie z Bali rozmawiała o tym z synami. Byli zachwyceni i zaniepokojeni zarazem. Namawiali ją na skuter, dali jej się nawet przejechać na swoich, ale na próżno. Woląла dosiąść bestii okrakiem, ścisnąć ją udami, a nie siedzieć jak na krzeselku. Uwielbiałem sposób, w jaki nabija się z siebie, jak markuje oburzenie, mówiąc, że jej egoistyczna zachcianka

wymaga więcej zachodu niż dwa „poważne” plany, które mi przedstawiła.

- To normalne - powiedziałem. - Z tego wszystkiego jedynie z motocyklem wiąże się sama przyjemność.

Spojrzała na mnie zabawnie. Jakby w ułamku sekundy przypomniała sobie, za co mnie tak lubi.

- Pewnie jest już wpół do piątej, prawda?

Od początku wiedziałem, że to się tak skończy. Udałem się do salonu i na zegarze magnetowidu sprawdziłem godzinę: za dziesięć piąta. Tina poderwała się. Umówiła się z synami o piątą przed szkołą. W poniedziałki obaj kończyli lekcje o tej samej porze, postanowili więc chodzić tego dnia we trójkę do kina. Jeśli się uwinie, zdąży na czas. Nie powiedziała, na jaki idą film, nie zaproponowała, żebym z nimi poszedł. Zresztą i tak bym odmówił. W biegu podziękowała za miłe spotkanie, zdążyła też mnie uścisnąć. Patrzyłem, jak przeskakuje po dwa stopnie, z kurtką w ręku, lekko jak ważka. Wolałbym, żeby pędziła tak na spotkanie ze mną, zamiast mnie opuszczać, ale mniejsza o to. Nie miałem powodów do narzekania: to wielka rzecz widzieć ją na swoich schodach i wiedzieć, że to nie jest ostatni raz.

Nic dziwnego, że byłem rozemocjonowany. Patrząc, jak biegnie do swoich dzieci, uświadomiłem sobie, jaka będzie odtąd moja rola w jej życiu. Przez dziesięć ostatnich miesięcy była bardzo samotna i zżerał ją smutek. Teraz dzięki mnie nigdy nie będzie sama. Zawsze, gdy tylko zechce, może się ze mną spotkać, a ja muszę pokazać, że jestem do jej dyspozycji i że może do mnie dzwonić bez oporów - pomimo mojej miłości, pomimo jej niekochania. Tak bardzo obawiałem się powrotu do Arles, że z góry godziłem się na funkcję zatkajdziury, wypełniacza samotności, jaka mi przypadnie w udziale. Zanosilo się na to - mam nadzieję, że tym razem nie bujam w obłokach - że spędzę z nią więcej czasu, niż się

spodziewałem. Nie robiłem planów na dziesięć lat ani nawet na trzy miesiące naprzód. Nie, myślałem wyłącznie o jutrze, o pojutrze, o tych kilku wolnych tygodniach, zanim jej dzieci znowu będą miały wakacje.

Aż do dzisiejszego lunchu posilaliśmy się w przydrożnych knajpkach. Tym razem dokonaliśmy inauguracji miejsca, gdzie będziemy się spotykać miesiącami, a może nawet latami: u mnie. Może wkrótce umówimy się u niej albo w restauracji, w kinie, na ulicy, w barze - we wszystkich miejscach, które polubimy i zaczniemy tam bywać. Później, jeśli życie okaże się dla mnie łaskawe, będziemy spotykać się u nas, to znaczy u niej i u mnie, a nie u Vialatów. Niewykluczone - biorąc pod uwagę jej życie, biorąc pod uwagę nasze życie - że odtąd to mieszkanie stanie się naszą codzienną kryjówką.

Wróciłem na taras z zamiarem uprzątnięcia stołu i dostrzegłem różową zapalniczkę, zapomnianą przy popielniczce. Wydałem okrzyk radości i zatańczyłem, stepując.

Zatelefonowała jeszcze tego samego wieczoru, koło dziesiątej. Po raz pierwszy usłyszałem „halo” Tyny wypowiedziane w tę stronę, „halo” tej, która dzwoni, i poczułem rozchodzące się po całym ciele ciepło. Zaproponowała, żebym towarzyszył jej jutro rano do salonu i pomógł wybrać motocykl - chciała zrobić dzieciom niespodziankę.

- Jesteś wolny?

Byłem. Jak ptak na niebie.

Gdy zadzwoniła z dołu, natychmiast podniosłem słuchawkę domofonu.

- Wchodzisz czy mam zejść? - zapytałem

- Wchodzę.

Miała przewieszony przez ramię kask, a w ręku torbę z piekarni, którą trzymała jak bukiet kwiatów. Zjedliśmy śniadanie na tarasie, przy akompaniamencie sonaty Ludwiga van.

Moje życie potoczyło się odtąd w rytmie „pierwszych razów”. Dzisiaj pierwszy raz wyszliśmy z mieszkania razem, ramię w ramię schodziliśmy po schodach, wsiedliśmy na motocykl. Wszystko było nowe i upajające. Pojechaliśmy do centrum handlowego przy wyjeździe z miasta, tam gdzie w ubiegłym roku kupiła skutery dla synów. Jakie to błogie uczucie jechać z nią przez miasto na motocyklu, którego była najpierwszą pasażerką. Nawet w kasku wyglądała fantastycznie. Miała na tyle krótkie włosy, że mogła je pod nim całkowicie ukryć, a owal twarzy tylko na tym zyskał i wydawał się jeszcze doskonalszy. Była odprężona. Gdybym nie czuł na plecach ciężaru jej ciała podczas hamowania, pomyślałbym, że niepostrzeżenie zeskoczyła z siodła. Zafundowałem sobie tę sześćsetkę enduro, ważącą chyba ze trzy tony i warcząca jak traktor, po sprowadzeniu się tutaj. Dziś, kiedy znałem Tinę, kupiłbym z pewnością coś innego i popełnił błąd. Na tym motorze siedzieliśmy wysoko jak para królewska i patrzyliśmy na wszystkich z góry.

Niestety, Arles to nie Los Angeles. Ledwo przejechaliśmy trzy skrzyżowania, już dotarliśmy na miejsce i zatrzymali się przed wystawą. Wszystkie stodwudziestki były w jaskrawych kolorach, oblepione kalkomanią albo reklamą rajdu Paryż - Dakar. W salonie Tina powiedziała sprzedawcy, że chce kupić czarną stodwudziestkę. Facet uśmiechnął

się, pomyślał pewnie: „Ach, te kobiety!” i poszedł szukać w garażu tej jedynej, jaką miał.

Wrócił, pchając japońskiego customa, czyli takiego małego harleya. Zawiedziona Tina skrzywiła się. Oczami wyobraźni widziała siebie na ekstratrialowej maszynie, takiej jak moja albo te, które wypożyczaliśmy na Bali - bardziej nadającej się do forsowania kozich ścieżek. Tymczasem prezentowane modele były w kolorze pomarańczowym i trawiastzielonym albo fioletowym w czerwone gwiazdy. Sprzedawca zapewniał, że nigdzie nie znajdzie motocykla polakierowanego na czarno. Zrezygnowana, dosiadła na próbę customa. Na niskim siodelku, z nieskończenie długimi nogami zgiętymi w kolanach i stopami opartymi płasko o ziemię, wyglądała jak w klubowym fotelu. Uśmiechnęła się, zdumiona. Pasował jak ulał! Sprzedawca, młodzieniec o wygolonej głowie, z gębą angielskiego chuligana, spoglądał na nią wzrokiem Małego Księcia.

Przygotowanie motocykla zajęło tyle, co wypicie kawy, więc już po chwili Tina wyjechała nim z salonu. Nie mogła ochłonąć z wrażenia. Od trzech tygodni o niczym innym nie myślała. Z góry cieszyła się na reakcję synów, kiedy po wyjściu ze szkoły zobaczą ją siedzącą na nowiutkim customie. Była pewna, że w kasku jej nie poznają. Założyłem się, że będzie inaczej.

Nigdy jeszcze nie widziałem takiej dziecięcej radości w jej oczach.

*

Było południe, świeciło słońce, a ona jechała przede mną przez sam środek Camargue (Camargue - kraina geograficzna i rezerwat przyrody na południu Francji, położony między dwiema głównymi odnogami Rodanu - w delcie tej rzeki - i wybrzeżem Morza Śródziemnego.). Czarne byki na bagnach

odwracały łby i oglądały się za nią. Nie potrzebowałem zrównywać się z Tiną, żeby wiedzieć, że się uśmiecha.

Saintes Maries de la Mer ziało pustką. Zjedliśmy półmisek owoców morza na tarasie restauracji. Było ciepło jak w sierpniu. Okazało się, że Tina jeszcze nigdy nie była w Saintes tak zwyczajnie i po prostu, w środku tygodnia, na lunchu. Przyjeżdżała tu wprawdzie - czy to jako dziecko, czy to jako rodzic - ale zawsze z całym tłumem, w sobotę albo w niedzielę, samochodem wyładowanym ręcznikami plażowymi, piłkami, latawcami i nadmuchiwanymi materacami. Przyjazd w miejsce oddalone zaledwie o trzydzieści kilometrów od Arles zamieniał się w wyprawę. Teraz zajęło nam to dwadzieścia minut.

Po raz pierwszy opowiadała o swoim dotychczasowym życiu tak, jakby chodziło o inne życie, jakby tamto wcale nie było piękniejsze od obecnego. Niezmiernie się zdziwiła, że poczuła się tu jak na Bali. Sądziła, że tamte doznania wiązały się z wyobcowaniem, z egzotyką. Tymczasem okazało się, że i tutaj można się rozkoszować jazdą w słońcu na motocyklu, doświadczać harmonii z przyrodą, kojącego działania błękitu nieba i morza.

Wracaliśmy drogą przez solankę. Nie znałem tej trasy, więc tym razem Tina służyła za przewodnika. Sól połyskiwała w słońcu, podskakujące na różowym proszku małe brodzące ptaki uciekły, gdy się zbliżyliśmy. Zatrzymaliśmy się na poboczu na dziesięć minut, żeby na nie popatrzeć, nie płosząc ich. Wróciły, zostawiając na soli ślady w kształcie gwiazdek. Dziobały ją jak największy przysmak. Ze szczęścia kołatało mi serce. Stojąc dwa kroki od Tyny, odnalazłem więź i porozumienie, jakie ze sobą dzieliliśmy na drugim końcu świata. Niepotrzebnie tak się bałem.

O czwartej, nie zatrzymując się, rzuciła mi przez ramię: „Zadzwoń”, pomachaliśmy sobie i na skrzyżowaniu

nieopodal szkoły chłopców rozjechaliśmy się w dwie różne strony.

Po dziesięciu metrach doznałem nieprzyjemnej sensacji: niskie niebo uciskało mi głowę niczym ciężka, wielka pokrywa. Czy wytrzymam ten rytm i jak długo? Jak długo moje serce, mózg i ciało będą w stanie znieść tę emocjonalną huśtawkę? Przechodziłem z jednego krańcowego stanu w drugi - od ekstazy do agonii, od stwierdzenia, że Tina tu jest, do diametralnie innego, że jej tu nie ma, i tak co sekunda, jakbym miał w czaszce wmontowany przełącznik.

Zahaczyłem o salon muzyczny Rolanda, żeby się z nim przywitać. Poszliśmy na kielicha. Z mety mnie ochrzanił, co prawda żartobliwie, za to, że ociągałem się z przyjściem. Wiedział, że wróciłem cztery dni temu, że Tina była u mnie wczoraj na lunchu, że poprosiła mnie o dotrzymanie jej towarzystwa przy kupowaniu motocykla. Szczerze się ubawił, kiedy mu opowiedziałem, do jakiego stopnia zawojował ją custom - szalał na punkcie siostry prawie tak samo jak ja. Podziękował mi za zorganizowanie podróży Tiny. Wyglądało na to, że wie wszystko o jej pobycie - opowiedziała mu o Michelu i Catherine, o dolinie Kupu Kupu Barong, o dwustu trzydziestu schodach Gunung - Kawi, o wspinaczce na Rinjani - tylko nie o opium, o tym najwyraźniej mu nie wspomniała.

Po sposobie, w jaki o niej ze mną rozmawiał, zorientowałem się, że rozumie, co do niej czuję. Nie miał przede mną tajemnic, zwierzał mi się, jakby wiedział, że temat Tiny interesuje mnie bardziej niż jakikolwiek inny. Nie traktował mnie już jak zwykłego kumpla, jeszcze nie jak szwagra, ale prawie.

Obaj byliśmy poruszeni, gdy mówił o okolicznościach, w jakich mu wyznała, że przestała brać lekarstwa i że więcej ich nie weźmie. Dwa dni po powrocie Tiny zastał ją w środku nocy skuloną na kanapie, z głową pod poduszką, żeby

zagłuszyć szloch. Długo nie mogła się uspokoić. On także był zdania, że nie powinna brać już antydepresantów. Pomimo ciężkich nocy udało jej się opanować nawroty przygnębienia, spędzała dużo czasu z dziećmi, zabierała je do kina, na plażę, do restauracji, jednym słowem było to całkowite przeciwieństwo dojmującego uczucia zwątpienia i apatii. Nie mógł się doczekać, kiedy Tina zacznie pracować i wyjdzie ze stanu marzycielskiej beczynności. Na to nie ma innej rady prócz kija.

Zapytał, jak długo zamierzam pozostać we Francji, a moja odpowiedź, że „do końca czerwca”, uspokoiła go: chłopcy zaczynają wtedy wakacje. Nie powiedziałem mu, że to nie przypadek. Jego zdaniem Tina potrzebuje przyjaciela niezwiązanego w żaden sposób z jej dawnym życiem. Jasne, że się wzruszyłem.

Odezwała się o jedenastej wieczorem, gdy już straciłem nadzieję, że zadzwoni, aby mi opowiedzieć, jakie miny mieli chłopcy na widok matki zajeżdżającej na motocyklu pod szkołę. Wygrałem zakład - od razu ją poznali. Potem jeździli na zmianę customem aż do kolacji. Niezwłocznie musi się udać do skinheada i zamienić skutery chłopaków na motocykle!

Nazajutrz słońce przygrzewało zza białych obłoków. Idealne warunki na przejażdżkę. Mimo to nie zadzwoniła. Nawet wieczorem. Ja też nie dzwoniłem. Miała prawo spędzić dzień, nie słysząc mojego głosu.

Następnego dnia lało jak z cebra. Zatelefonowałem do niej z zaproszeniem na lunch.

Czekając na nią, zastanawiałem się, dlaczego sama nie zadzwoniła. Skoro jest wolna, a przebywanie ze mną sprawia jej przyjemność, dlaczego czeka, aż ją zaproszę? Brak śmiałości? Nie pomyślała o tym? Nie chce, żeby wyglądało na to, że za bardzo się angażuje?

*

Zrozumiałem, gdy tylko ją zobaczyłem. Oczy miała czerwone od płaczu i smętny uśmiech.

- Uprzedzam, że czuję się nieszczególnie.

Nie zapytałem, co jest nie tak, ale czego by się napiła.

- Sama nie wiem... A co ty pijesz?

- Anyżówkę.

Podaliśmy dwie duże porcje nalane do pełna, usiedliśmy na dywanie przy niskim stole. Zagadywałem, zachowywałem się tak, jakby była w świetnej formie. Powiedziałem, że dzięki jej nowemu nabytkowi będzie można niezwłocznie przystąpić do kolejnego etapu, a mianowicie do szukania domu. Na motocyklu, o tej porze roku - podobno aż do końca sierpnia ma nie padać - to cholernie trudne zadanie zamieni się w przyjemność.

Próbowałem się dowiedzieć, gdzie miałby stać ten dom i jaki mieć charakter - nie wiedziała. Pragnienia Tiny miały czysto poetycki wymiar. Marzył jej się zapach świeżej trawy i wilgotna ziemia pod stopami, chciała oglądać o świcie zające i wiewiórki, patrzeć, jak rosną kwiaty i drzewa, słuchać ptaków, cykad i świerszczy. Chciała tego, czego nigdy nie miała: domu na łonie natury.

- A gdzie mieszkałaś z mężem?

- W dużym domu w mieście, blisko areny. Opowiedziała, jak od pierwszego wejrzenia zakochali się w ogrodzie ze starymi drzewami, jak bardzo lubiła ich wspólne mieszkanie i jakie stało się nieznośne bez niego.

Potem dłuższy czas milczała. Zauważyłem, jak ukradkiem ociera łzy.

- Nie mogę się pogodzić...

Ja również nie mogłem się pogodzić z jej cierpieniem. Smutek Tiny zawsze mi się udzielał, często z taką mocą i tak intensywnie, że nie byłem w stanie dodać jej otuchy.

Na dworze platany gięły się pod ciężarem ulewnego deszczu. Przy takiej szarzyźnie nawet moje mieszkanie wyglądało przygnębiająco. Wstałem, zapaliłem lampy i pozaciągałem pomarańczowe zasłony. Tina nastawiła płytę. Wybrała najbardziej rytmiczny kawałek Boba Marleya, zakładając zapewne, że skoczne tony rozproszą ponury nastrój. Stopniowo, sama z siebie, zwierzyła mi się z obaw, jakie ją nachodzą, gdy myśli o tym, co ją czeka w związku z chłopcami, pracą, domem i odpowiedzialnością za to. Nawiązała w kilku zdaniach do beztroskiego życia, jakie wiodła jeszcze do niedawna. Zawsze, aż do śmierci męża, była uwielbiana i chroniona, w każdym razie żyła w takim przeświadczeniu. Zdała egzamin jako żona i matka, przeskakując od razu w fazę dorosłości. Teraz, kiedy wszystko spoczywa na jej barkach, musi działać i podejmować decyzje, wpada w panikę.

Mówiła długo, z przerwami. Nie śmiałem zakłócać ciszy. Byłem zbity z tropu. Nie sądziłem, że tak nietrafnie oceniłem koloryt jej wewnętrzznego nieba. Szła do przodu, bo została do tego zmuszona. Robiła to jednak na oślep i była tym przerażona. Na razie, od powrotu z Bali, nie natknęła się jeszcze na żadną przeszkodę i nie nabiła sobie guza, ale to się zmieni, gdy zacznie pracować i znajdzie dom. Przeprowadzka to jeden z wielu sprawdzianów, w tej chwili urastających do niebotycznych rozmiarów, którym będzie musiała stawić czoło.

Nalałem nam po jeszcze jednym kieliszku anyżówki. Tina czuła się zażenowana tymi wyjątkowo długimi jak na nią wynurzeniami. Zdawała sobie sprawę, że słowo „strach” powtarzało się w nich wielokrotnie. Nie miała powodu do dumy. Ja również, ponieważ nie potrafiłem dodać jej otuchy. Ująłem jej dłoń i pocałowałem w zagłębienie od wewnętrznej

strony. Nie wzbraniała się. Przez chwilę trwaliśmy w milczeniu.

Przestało padać i znów zaczęły śpiewać ptaki, jakby chciały nam poprawić nastrój. Trzeba było pomyśleć o obiedzie. Zaciągnąłem Tinę do kuchni, żeby mi pomogła wybrać coś z lodówki. Kiedy ją otworzyłem, wybuchnęła śmiechem.

- Z czego się śmiejesz? Zrobiłem rano zakupy. U ciebie nie jest tak samo?

- Tak, tylko że nas jest sześcioro!

Przyrzekłem sobie, że lodówka zawsze będzie pełna, żeby Tina, ilekroć ją otworzy, śmiała się na widok zgromadzonych w niej produktów.

Zajęty przygotowywaniem melonów, zareagowałem z opóźnieniem.

- Sześcioro? Myślałem, że mieszkacie w pięć osób.

- Policzyłam też Régine, narzeczoną Rolanda. Niedawno się do nas wprowadziła. Nie znasz jej?

Nie znałem, choć Roland wspominał mi o niej. Tina przedstawiła ją w tak pochlebnych słowach, że wprost trudno było uwierzyć, iż pokrywają się z prawdą. Kiedy powiedziałem to Tinie, nie zrozumiała, o co mi chodzi.

- Ależ tak! Dlaczego sądzisz, że jest inaczej? Pomyliłem się - była najzupełniej szczerą. Według niej wszystko jest cudowne.

Zaraz po lunchu zeszła na dół i kupiła wszystkie gazety z anonsami o domach na sprzedaż w naszym regionie i ciasto w czekoladowej polewie. Przejrzeliśmy szare strony, odczytując dla śmiechu tytuły pod zdjęciami, w rodzaju: „Willa moich marzeń”. Nie miała już czasu, żeby zagłębiać się w treść ogłoszeń, więc zaproponowałem, że sam dokonam pierwszej selekcji. Zajęło mi to cały wieczór.

Nazajutrz zjawiała się o dziesiątej rano. Wypiliśmy kawę i wyciągnąłem stertę gazet. Znalazłem jakieś dwadzieścia ogłoszeń, na które być może warto odpowiedzieć. Czytałem je po kolei, a gdy jakiś szczegół przyciągnął jej uwagę, robiła minę wyrażającą takie opinie, jak „nieźle”, „zachęcające” albo „nigdy nie wiadomo” i od razu dzwoniła pod podany pod anonsem numer telefonu. Uwielbiam sposób, w jaki prowadziła te rozmowy: grzecznie i miło, ale nie dając interlokutorowi szansy na zbędne gadulstwo.

Wychodząc o czwartej, była już umówiona z trzema osobami na obejrzenie pięciu domów. Ani ona, ani ja nie wierzyliśmy, że od razu trafi na ten właściwy, ale od czegoś trzeba zacząć.

Ostatnie tygodnie wiosny przeleciały piorunem. Widywałem Tinę prawie codziennie albo telefonowaliśmy do siebie wieczorem, kiedy chłopcy byli już w łóżkach.

Pozostała wierna swojemu rozkładowi zajęć z pierwszych dni. Zjawiała się pod koniec poranka, rozstawaliśmy się w środku popołudnia, w zależności od planu lekcji jej dzieci. Ponieważ pogoda na ogół dopisywała, przegryzaliśmy w biegu cokolwiek (żart z pełną lodówką za każdym razem zdawał egzamin) i pędziliśmy motocyklem obejrzyć jakiś dom albo tak sobie, bez celu, przejechać się w słońcu.

Raz, kiedy padało, poszliśmy do kina na hiszpański film, który polecił nam Roland. Nie wzbudził mojego zainteresowania, nie wciągnąłem się w akcję, za bardzo byłem rozkojarzony bliskością Tiny w ciemnej sali, co dwie minuty zerkałem na jej profil rozjaśniony światłem padającym z ekranu. Żadna scena, żadna fabuła nie mogły konkurować z tym przeżyciem.

Jej nieustanna obecność w moim życiu bardzo mi odpowiadała. Najchętniej zwolniłbym tempo pracy, opóźnił rozkręcanie działalności w Europie, ale nie chciałem, żeby przypięła mi łatkę bogatego darmozjada, więc zmuszałem się i prowadziłem firmę. Interesowała się tym, co robię, zadawała mi mnóstwo pytań, wyczułem, że nie chciałyby mieć do czynienia z emerytem dysponującym bezmiarem wolnego czasu dla niej.

Podczas pierwszych podróży służbowych do Paryża, Mediolanu i Barcelony, jeszcze zanim poznałem Tinę, nawiązałem kontakty z dystrybutorami, którzy mnie interesowali. Teraz wystarczyło tylko pociągać za sznurki, telefonować, faksować, dyskutować, odnawiać znajomości i ponawiać spotkania. Gros pracy wykonywałem w domu, toteż mogłem układać harmonogram dnia pod Tinę - prawie

wszystkie telefony załatwiałem przed jej przybyciem lub później, gdy wyszła.

Podczas wizyt Tiny nie włączałem poczty głosowej, więc kiedy czasami dzwonił telefon, mogła mnie słyszeć rozmawiającego po angielsku, tajsku czy po francusku. W ten sposób dowiadywała się, że żyję nie tylko dla niej. Nie przekładałem terminów spotkań, starałem się jedynie odbywać je w ciągu jednego dnia, bez nocowania, nie licząc tego w Mediolanie, wyznaczonego na rano. Do Paryża czy do Barcelony wyjeżdżałem rano i wracałem wieczorem. Odbębniałem te eskapady bez przyjemności i nie czułem się z tym dobrze.

Na decyzji o zamieszkaniu w Arles i kierowaniu firmą z tego zakątka Francji zaważyło jego położenie geograficzne: odległość punktów, między którymi miałem krążyć, była stąd niemal identyczna. Wtedy cieszyłem się na myśl, że będę mógł regularnie odwiedzać miasta, które pokochałem. Tylko że między pomysłem a jego realizacją pojawiła się Tina i przewróciła moje życie do góry nogami. Przestałem lubić samotne przebywanie w pokojach hotelowych, przestałem lubić samotne posiłki w portowej knajpce w Barcelonie, przestałem lubić samotne spacery mostami Paryża. W ogóle przestałem lubić być sam. Bez niej nic mi się nie podobało.

Jej nieobecność, nawet chwilowa, była tym boleśniejsza, że pozbawiała mnie przyjemności, która i tak była mi wydzielana. Całe lato miałem być unieruchomiony na Lomboku, u Bodharta, a po moim powrocie Tina będzie już pracować. Nic dziwnego, że nie chciałem niczego uronić ze spędzanej razem wiosny. Potem Tina, tak samo jak ja nie będzie już wolna.

Poszukiwanie domu stało się okazją do przejechania Prowansji wzdłuż i wszerz. Tak polubiła te włości opromienione słońcem, że nawet nie była rozczarowana, kiedy

po przemierzeniu pięknych krajobrazów, spodziewając się Bóg wie czego, natrafialiśmy na przygnębiającą budę postawioną koła słupa wysokiego napięcia. Żeby nie urazić właścicieli, zajrzeliśmy mimo wszystko do środka, powstrzymując się od uwag i tłumiąc śmiech.

Tina poszerzyła obszarowo zakres swoich poszukiwań, mimo to nie znalazła niczego odpowiedniego. Zawsze brakowało co najmniej jednego zasadniczego elementu: przestrzeni, urody, światła albo zieleni. Gdy w restauracji w Maussane - les - Alpilles świętowaliśmy pierwszą miesięcznicę motocykla, licznik miał nabite dwa tysiące kilometrów.

Te wyprawy, porozumiewanie się bez słów, wybuchy śmiechu, posiłki w słońcu dla każdego z nas znaczyły co innego. Byliśmy jednak na tyle zgrani, że w oczach postronnego obserwatora mogliśmy uchodzić za kochającą się parę. Daleko nam było do tego, ale właśnie dlatego Tina mogła sobie pozwolić na demonstrowanie zażyłości i zachowywać się wobec mnie naturalnie - bez okazywania mi szczególnych względów, bez zbędnych uprzejmości, ale i bez szorstkości, tak jak bym rzeczywiście był jej „najlepszym przyjacielem” albo amantem z wczesnej młodości, który z biegiem lat stał się najlepszym kompanem.

Byłem świadom ryzyka pozostawania z nią w kumpelskim układzie na dłuższą metę, ale też nie miałem powodu ani ochoty rezygnować z tego. Nasz związek bazował na szczerości i akceptowanej przez obie strony dwuznaczności. Żadne z nas nie czuło się oszukane. Nieprzekraczanie pewnej subtelnej granicy miało dla mnie kapitalne znaczenie: gdyby, nie daj Boże, Tina zakochała się w kimś innym, nie chciałbym, żeby oznajmiła mi tę nowinę jak prawdziwemu przyjacielowi, pławiąc się na moich oczach w szczęściu, dzieląc się nim ze mną.

Na siedem dni przed moim odlotem na Lombok umówiliśmy się na obejrzenie dwudziestego pierwszego domu. Szczęśliwa siódemka nie zawiodła: ledwie Tina ujrzała jego kamienne mury ukryte wśród drzew, zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Kiedy go oglądaliśmy, zachwycając się co krok, pomyślałem sobie, że następny dom kupimy razem. Jako szczwany lis, po cichu trzymałem za to kciuki.

Dom był naprawdę piękny, typowo prowansalski, z zielonymi okiennicami, położony między Maillane i Saint - Remy - de - Provence, z widokiem na Les Alpilles (Pasma gór, z najwyższym szczytem Tour des Opies (498 m n.p.m.)), z idealnie wkomponowanym w otoczenie basenem, położony na dużej posesji otoczonej platanami, dzięki czemu sąsiedzi byli zupełnie niewidoczni. A wszystko za śmiesznie niską cenę z uwagi na pośpiech - znak, że szczęście znów się uśmiecha do Tiny. Nie wymagał żadnych pilnych robót, mogła zamieszkać w nim od razu. Jednym słowem pełny sukces.

O ile dotąd perspektywa szukania domu i rozpoczęcia nowego życia często napawała ją lękiem, o tyle teraz, odkąd zobaczyła ten dom i upewniła się, że tu właśnie zamieszka, niepokój ulotnił się. Nie mogła się doczekać, kiedy obudzi się o świcie i przed startem do codziennych zmagania z życiem popływa w basenie, dopieści drzewa i kwiaty, które się o to prosiły, a wieczorem zasiądzie do rodzinnej kolacji pod gołym niebem.

Ponieważ dom był duży i miał wydzielone jedno skrzydło, Tina postanowiła namówić młodszego brata, Luciena, żeby w nim zamieszkał. Pomyślałem, i tutaj znów doszedł do głosu mój egoizm, że jego obecność w tym względnie ustronnym miejscu nie tylko zapewni jej poczucie bezpieczeństwa, ale dzięki temu Tina łatwiej wyrwie się z domu, aby spotkać się ze mną, bo będzie mogła od czasu do czasu zostawić dzieci

pod opieką wujka. Oczywiście pod warunkiem, że nie przejdzie jej na to ochota. Może, gdy się tu przeprowadzi, obiady w moich skromnych progach nie będą już dla niej taką atrakcją?

Żeby uczcić to historyczne wydarzenie, zatrzymaliśmy się w Saint - Rémy w Café des Arenes, w cieniu platanów. Paryżanie zjawiają się tu dopiero w lipcu, teraz była to duża spokojna wioska. Przejeżdżające przez nią samochody poruszały się w tempie spacerowym. Przyglądaliśmy się sroce, jak sfruwa na stoliki i wydziobuje pozostawione na talerzach resztki. Tinę rozpieszczała radość, chyba uśmiechała się jak za swoich najlepszych czasów. Nie łączyły ją z tym miejscem żadne wspomnienia, nigdy nie kupowała chleba u tutejszego piekarza, nigdy nie piła anyżówki na tym tarasie, żadna twarz nie była znajoma, a jednocześnie miejscowość znajdowała się o trzy kwadransy od miasta, w którym przeżyła dwadzieścia pięć lat.

Jeszcze tego samego wieczoru pojechała obejrzeć ten pałac z synami i braćmi. Gdy zadzwoniła do mnie o północy, żeby mi o tym opowiedzieć, była naprawdę szczęśliwa.

- Oni się napalili jeszcze bardziej niż my! Ucieszyłem się z tego „my” w odniesieniu do niej i do mnie.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dzieci Tiny nie miały pojęcia o miejscu, jakie zajmowałem w rozkładzie zajęć ich matki. Doskonale odgrodziła te dwa życia, przechodziła z jednego do drugiego tak, że chłopcy i ja nie wchodziliśmy sobie w paradę. Moje jedyne spotkanie z nimi zostało spowodowane przez Rolanda i prawdę mówiąc, dotąd nie wiem, czy był to tylko psikus, czy też zamierzone działanie, aby popchnąć Tinę do uczynienia kroku, przed którym miała opory. Zadzwonił w sobotę, zapraszając mnie do kina z całym klanem. Potem jedliśmy kolację w restauracji. Wprawdzie dzieciaki odnosiły się do mnie sympatycznie, miałem się

jednak na baczności. Czuję, że przy pierwszym poufałym geście wobec ich rodzicielki znajdę się na czarnej liście. Ilekroć zwracałem się do Tiny, Lucien zerkał na mnie nieufnie, co mi się absolutnie nie podobało.

Roland i jego narzeczoną, ładną blondynkę z długimi szponiastymi paznokciami, poza tym urocza, robili, co mogli, żebym czuł się swobodnie, sprowadzali rozmowę na bezpieczny temat o szerokim świecie, ale niewiele wskórali - do końca wieczoru pozostałem napięty jak struna. Na szczęście tylko Tina zdawała sobie z tego sprawę. Sama siedziała jak na szpilkach i bała się do mnie odezwać.

Oglądanie mojej ukochanej w roli matki było krępujące - to tak, jakbym nieproszony zajrzał do jej pamiętnika. Nie należała do matek kumpelek, jak sądziłem wcześniej, była raczej madonną, wielbioną i ochranianą. Nie pierwszy raz okazałem się durniem i źle ją rozszyfrowałem. Siedzenie tutaj, na wprost niej, oglądanie jej w obstawie dwóch małych mężczyzn, z pewnością klonów ojca, było prawdziwą torturą. Byłem tak zakłopotany, jakbym zajął jego miejsce, i oni z pewnością tak na to patrzyli.

Najchętniej powiedziałbym im, że nie zależy mi na zajęciu jego miejsca, bo jest zużyte, wytarte do osnowy. Chcę zająć inne, z tym niemające nic wspólnego. Ale oni z pewnością nie chcieliby nawet i tego. Moja pozycja była tym bardziej przykra, że w ich oczach uchodziłem za bohatera z odległej krainy, który pomógł ich matce odnaleźć uśmiech, zawiózł ją w sam środek dżungli i powiódł na szczyty wulkanów, uczynił z niej żądną przygód motocyklistkę. Byli mi za to wdzięczni, ale woleliby, żebym po wykonaniu zadania pozostał piętnaście tysięcy kilometrów stąd. Normalne.

Bóg mi świadkiem, że nie chciałbym zbyt często uczestniczyć w podobnych kolacjach, chyba że byłyby to jedyny sposób na widywanie mojej pięknej - oby tak się nie

stało! Tina doszła widocznie do takiego samego wniosku, ponieważ do wyjazdu nie spotkałem jej synów.

Ponieważ obiecałem sobie nie zamęczać jej swoją miłością, nie wracałem do tamtego wieczoru, podobnie zresztą jak ona. Chętnie bym co prawda powiedział, jak bardzo mnie urzekła w roli włoskiej mammy i madonny w jednej osobie, i dlaczego przy chłopcach nie mogłem grać roli przyjaciela. To było możliwe tylko wtedy, gdy byliśmy sami, bo tylko ona знаła prawdziwy charakter moich uczuć. Przy jej synach, świadom, że nie mają o tym pojęcia ani najmniejszej ochoty na zgłębianie tego tematu, czułem się jak oszust.

Byłem szczęśliwy i ulżyło mi, gdy Tina znalazła w końcu swój wymarzony dom. Czułbym się podle, gdyby to się stało już po moim wyjeździe, tak jakby moja obecność przynosiła pecha, jakby zapisano w niebie, że nie jest mi dane uczestniczyć w jej nowym życiu. Alleluja! Nie przegapiłem tego jakże ważnego momentu, dzieliłem z nią radość i zachwyty. Najważniejsze, że przeżyliśmy to razem.

Dostawałem furii na myśl, że muszę ją tak szybko zostawić i że nie rozjaśnię jej tych momentów, kiedy zmęczona przeprowadzką, zacznie otwierać kartony i będzie musiała stawić czoło zalewowi wspomnień. Z pewnością się wtedy załamie. Niestety, nie mogłem odłożyć wyjazdu. Moja obecność w La Garde była konieczna, czekało też na mnie Lombok, gdzie trzeba zacząć działać, zweryfikować metody pracy Bodharta i spróbować je zmienić. Już teraz dołowała mnie myśl, że będę tam unieruchomiony przez całe lato. Te dwa miesiące przepracowane na pełnym etacie w ponurym gmaszysku postrzegałem jak swoją prywatną golgotę

Pocieszałem się, że gdybym został we Francji, to i tak nie miałbym zbyt wielu okazji do widywania się z Tiną. Cztery dni po moim wyjeździe zaczynają się wakacje, więc aż do mojego powrotu będzie zajęta dziećmi, a na dodatek zjadą się dziadkowie z obu stron, żeby pomagać w urządzaniu domu. Nie było więc żadnego racjonalnego powodu, dla którego miałbym w tym uczestniczyć.

Zawiozła mnie swoim motocyklem na lotnisko w Nîmes. Bardziej niż zwykle cieszyłem się, że nie mam zwyczaju zabierać ze sobą dużego bagażu: wszystko zmieściło się w torbie, którą Tina postawiła przed sobą na baku. Po raz pierwszy siedziałem za nią. Z nosem przy jej karku, opierając ręce na jej biodrach, starałem się trzymać ją jak najlżej. Rozpierało mnie szczęście. Niewiele brakowało, a kazałbym

zawrócić i przesunął wyjazd na następny dzień. Gwoli wyjaśnienia powiedziałbym, że moja wolność polega na tym, iż w każdej chwili mogę odłożyć swoje sprawy i zostać z nią, bo moim jedynym pragnieniem jest uszczęśliwianie jej. Dla niej gotów jestem przewrócić swój świat do góry nogami. Ale nie byliśmy na tym etapie.

Do odprawy ustawiła się długa kolejka.

- Napijemy się kawy? Zawsze wsiałam na końcu. Nie cierpię czekać w kolejce.

Popatrzyła na mnie dziwnie.

- Co cię tak zdumiało?

- Nic. Mój mąż też tego nie cierpiał. Powiedziała to bez emocji, za to ja zrobiłem się chyba blady jak płótno. Zamówiłem dla nas kawę i nie wiedziałem, od czego zacząć rozmowę. Byłem zbulwersowany tym, że zdobyła się na szczerość, że powiedziała prawdę, nie zachowując jej dla siebie.

Że też muszę jechać na koniec świata i rozstawać się z nią aż na dwa miesiące! Po raz pierwszy byliśmy na lotnisku sami, bez osób towarzyszących, i Tina nie odlatywała ze mną.

- Szczęściarzu z ciebie, że tam jedziesz... Przyznała się, że przez chwilę miała nadzieję, iż nie znajdzie domu przed wakacjami i pojedzie z synami na Bali, a po powrocie wznowi poszukiwania. Jeszcze teraz - chociaż nie żałuje, że musi przełożyć podróż swoich marzeń - korci ją, żeby wsiąść do samolotu i polecieć.

Żeby się z nią trochę podroczyć, powiedziałem, że nic nie szkodzi, napodróżuje się później, ze mną, kiedy znudzi się jej spędzanie letnich wakacji na wsi i granie w karty z rodzicami i teściami. Wkrótce dzieci będą na tyle duże, że nie będą chciały spędzać całego lata ze starą matką - tylko patrzeć, kiedy to nastąpi. Nie omieszkałem dodać, że chyba zapomniała, dlaczego pobyt na Bali był taki udany: odkryła

tam uroki samotności i smak wolności. Przyjemnie jest w każdej chwili robić to, na co ma się ochotę. Z synami, którzy z pewnością będą woleli spędzać czas na plaży, surfując i gapiąc się na dziewczyny, zamiast chodzić po opuszczonych świątyniach czy wdrapywać się na Rinjani, nie będzie już tak samo! Śmiała się.

Obecnie mogłem sobie pozwolić na takie uwagi, nie obawiając się, że zostanę posądzony o zalecanie się do niej. Oczywiście szalałem za nią. To było widać gołym okiem i musiałaby być ślepa, żeby tego nie zauważyć, ale nie mówiłem niczego takiego, czego nie mógłby powiedzieć stary przyjaciel ani nawet były kochanek, który stał się starym przyjacielem.

Kolejka do okienka jeszcze się wydłużyła. Delektowaliśmy się milczeniem. Za szybą wystartował samolot. Tina śledziła go aż do chwili, kiedy znalazł się wysoko na niebie. Skorzystałem, że na mnie nie patrzy, i powiedziałem:

- Będzie mi ciebie brakowało. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Mnie ciebie także.

Zastrzeżenie mnie tym wyznaniem. Po raz pierwszy od czasu magicznych grzybów miałem wrażenie, że gdybym ją teraz objął i pocałował, nie wzbraniałaby się. Poprzestałem na głupim uśmieszku, podniosłem do ust filiżankę i przechyliłem, choć nie było w niej już kawy. Zapragnąłem powiedzieć: „Kocham cię”, nie mówiąc tego wprost.

- Jesteś najpiękniejszą istotą, jaka kiedykolwiek pojawiła się na ziemi.

Dotarło chyba do niej, że naprawdę tak uważam, bo zrobiła zakłopotaną minę.

Przy odprawie nie było już żywej duszy. Odprowadzając mnie, powiedziała, że byłoby miło, gdybym od czasu do czasu

napisał do niej kartkę. Przystanąłem, z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjąłem notes i pióro, jakbym zamierzał coś napisać.

- Mógłbym zapomnieć. Zannotuję to sobie. Zorientowała się w mig, że żartuję, i wybuchnęła

śmiechem. Schowałem notes do kieszeni i uściskaliśmy się. Tina powiedziała: „Szczęśliwej drogi”, ja na to: „Trzymaj się” i każde z nas poszło w swoją stronę. W ostatniej chwili, przed zniknięciem w sali odlotów, odwróciłem się. Zobaczyłem jej krągłe pośladki i kluczyki do motocykla dyndające na końcu palców. Przeszklone drzwi otworzyły się same, wyszła, nie odwracając się. Dałbym wiele, żeby wiedzieć, o czym myśli.

Pierwszą kartkę wysłałem nazajutrz po przyjeździe do La Garde. Zdjęcie z lotu ptaka wijącego się wśród lasów Mekongu.

„Ciagle pada, jak to o tej porze roku, drzewa się cieszą, więc i ja z nimi. Na tyle, oczywiście, na ile to możliwe, kiedy Ciebie tu nie ma! Mam nadzieję, że masz się dobrze, jak również ci wszyscy, których kochasz. Całuję. Szczerze oddany”.

Nie był to Victor Hugo, więc szybko nadałem kartkę, żeby nie przerabiać tekstu po raz sześćdziesiąty trzeci. Długo wahałem się między „całuję” i „ściskam”. Zwyciężyło „całuję”, ponieważ to sformułowanie wydało mi się bardziej dwuznaczne - zwykły przyjaciel może by go nie użył.

Po pięciu dniach niekończących się zebrań wziąłem pod pachę Isabelle i zwialiśmy do Bodharta. Chciałem jak najszybciej pokazać jej tę wyszperaną przeze mnie perłę. Grupa uderzeniowa Vialat Wood Inc. miała dołączyć do nas dopiero w następnym tygodniu; wolałem nie zjawiać się tam jak jakiś najeźdźca. Na tę podróż, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, Isabelle założyła granatowy kostium, kupiony dziesięć lat temu z okazji ślubu Sophie. Występowała w nim od wielkiego dzwonu. Trochę byłem skrepowany tym jej robieniem się na damę, tym bardziej że to do niej w ogóle nie pasowało. Powiedziałem jednak coś wręcz przeciwnego.

Z lotniska w Ampenan odebrał nas najstarszy z synów Bodharta. Przemierzyliśmy wyspę w poprzek, ze wschodu na zachód, ani razu nie oglądając morza. W sumie trzy godziny jazdy w klimatyzowanym aucie. Isabelle otworzyła usta dopiero u podnóża Rinjani, gdy podjęliśmy wspinaczkę w naszym lesie. Przy każdym kolejnym gatunku drzewa składała mi gratulacje, jakbym osobiście je zasadził.

Podczas ceremonii przedstawiania Bodharto pewnie sądził, że Isabelle skłoni się przed nim po tajsku, ale ona podała mu rękę. Zrozumiałem, że zrobiła się na elegancką Europejkę, bo chciała zrobić na nim wrażenie. Bodharto przyjął ją jak angielską królową.

Po kolacji spotkałem się z Isabelle w jej pokoju. Bodharto ulokował ją w apartamencie dla guest - stars, przeładowanym złoceniami aż do obrzydzenia, z ogromnym łóżkiem z atłasowym baldachimem w kolorze picerskiej fuksji. Zabawnie wyglądała w wielkim podkoszulku z wizerunkiem Snoopy'ego z przodu, na tle wystroju jak w filipińskim burdelu. Pogrzebała w walizce, z której z uradowaną miną wyjęła pudełko z opium. Odegrałem rolę starszego brata, mówiąc, że tylko komuś, komu kompletnie odbiło, mogło przyjść do głowy przemyścić narkotyki do samolotu i przejść z tym przez cło. - Chyba nie odmówisz?

Isabelle bała się tych kilku dni z dala od swojego gniazdko. Zaczekałem, aż się uspokoi i zacznie zasypiać, i poszedłem się położyć.

Mój pokój był tak ponury, że wolałem zgasić światło. Miałem tu tkwić przez najbliższe dwa miesiące! Moja chata nie zostanie ukończona wcześniej niż przed końcem roku. Nie liczyłem na to, że uda mi się wyskoczyć na Bali. Jazda samochodem i przelot samolotem w obie strony trwały zbyt długo. Potrzebowałbym trzech - czterech dni, żeby mi się opłacało. Cóż robić! Pocieszałem się, że im ostrzej będę zasuwał, tym szybciej ujrzę moją piękną.

W ciemności, z zamkniętymi oczami, wyobraziłem sobie, że Tina leży obok. Dzięki opium zasnąłem, trzymając ją w ramionach, czułem jej przytulone do mojego boku piersi i brzuch, ciężar jej nogi na moim udzie, jej oddech na szyi. Dziękuję, siostrzyczko.

Nazajutrz napisałem drugą kartkę. Tym razem był to widok Rinjani o zachodzie słońca. Przy odrobinie szczęścia Tina otrzyma ją za dwa tygodnie. Była niewiele dłuższa od pierwszej i nie bardziej oryginalna. W ostatniej chwili dopisałem swój adres na odwrocie koperty, tak na wszelki wypadek. Dwie minuty po przekazaniu jej pracownikowi, który miał ją nadać na pocztę w Pringgabaya, pożałowałem, że to zrobiłem: to był niezręczny i obłudny sposób powiedzenia jej: „Napisz do mnie”.

Wysyłałem jedną kartkę tygodniowo, nie podając już adresu zwrotnego. Raz tak się zagalopowałem, że w rezultacie nie mogłem wymyślić nawet trzech sensownych linijek, więc napisałem tylko: „Myślę. Całuję”.

Po południu, w siódmym tygodniu pobytu, sekretarz Bodharta wręczył mi list z francuskimi znaczkami. Od razu poznałem jej charakter pisma - takie same duże, okrągłe litery widziałem na podartych kartkach w koszu na śmieci w Stelli. Na odwrocie koperty ze ściśniętym z przejęcia gardłem przeczytałem po raz pierwszy: Tina Gérin, Mas des Bruyères, 13910 Maillane, France. Wsunąłem list do kieszeni dzinsów, nie czytając go. Chciałem nacieszyć się świadomością, że do mnie napisała, żeby potem, odnajdując słowa, które dla mnie wybrała, cieszyć się jeszcze bardziej.

Wieczorem udałem się do swojego pokoju, zapaliłem świecę, wsunąłem się do łóżka i otworzyłem kopertę. Byłem tak spięty, jakbym czekał na jej wyjście z łazienki w naszą noc poślubną.

Z mety zachwyciłem się jej pięknym, dziewczęcym charakterem pisma. Na jedną linijkę wypadało pięć słów, na stronę dziesięć linijek. Rozłożyłem kartki, spojrzałem na datę, policzyłem. Napisała ten list szesnaście dni temu, miesiąc po moim wyjeździe. Przeczytałem za jednym zamachem, jednym tchem.

Po chwili znałem już na pamięć całe trzy strony. Nigdy nie czytałem korespondencji Victora Hugo, może powinienem, ale zdziwiłbym się, gdyby zdarzyło mu się kiedykolwiek napisać tak subtelny list. Zrobiło mi się wstyd z powodu moich ubożuchnych pocztówek.

„Jest druga rano i jest bardzo ciepło.

Od dwóch tygodni mieszkam w nowym domu. Jeszcze się nie przyzwyczaiałam, ale to przyjdzie z czasem, rozkręcą się powoli.

Twoje pocztówki sprawiły mi przyjemność. Już sam widok znaczków mobilizuje do podróżowania. Widoki i słowa też były ładne. Kartka z Lomboku szła prawie trzy tygodnie! Obawiam się, że przy takim tempie mój list może Cię już nie zastać na miejscu.

Rudy kociak przycupnął u moich stóp. Wałęsał się koło domu, nakarmiliśmy go, a on przylgnął do naszej rodziny. Chłopcy nazwali go Bum - Bum (Od: Boum - Boum - tytułu piosenki grupy muzycznej Enigma.) (domyślasz się dlaczego?). Współczuję Ci, bo mr B. z pewnością nie ma kota. Byłby niebezpieczny dla ptaków!

Lato upływa spokojnie, na kąpielach w basenie, wypadach na zakupy do Saint - Rémy i przejażdżkach na motocyklu. Odkryłam wspaniałe trasy w naszych Alpilles, gdzie obowiązuje zakaz jazdy samochodem. Thomas i Rémi zrzędzą, bo z trudem nadążają za mną na skuterach. Zawiozę Cię tam, nie uwierzysz własnym oczom.

Mam nadzieję, że czas Ci się nie dłuży i że wszystko układa się po Twojej myśli. Jeśli zobaczysz Catherine, Michela i całą bandę, pozdrów ich ode mnie.

Całuję t."

Zachwyciłem się tym „t” zamiast podpisu. Przeczytałem list czternaście razy i zdmuchnąłem świecę. Usłyszałem szloch Victora Hugo z grobu.

Trzy tygodnie później opuściłem Lombok, nie doczekawszy się od niej znaku życia, ale wcale tym niezaniepokojony. Co wieczór czytałem od nowa trzy strony listu od Tiny - działały niezawodnie, jak najlepszy środek kojący ból rozłąki.

Odwaliliśmy kawał roboty: opracowaliśmy i częściowo wdrożyli nowe zasady pracy, ruszyła budowa mojej chaty. Bodharto wydawał się zachwycony, że powiało nowym. Ale tych dziewięć tygodni u niego dłużyło się, jakby to było sto lat.

Przed powrotem do Francji jak zawsze zajrzałem do La Garde i zabawiłem dłużej niż zwykle, żeby nie wylądować w Arles przed początkiem roku szkolnego. Dałem im trzy dni na zakup książek, zeszytów, ołówków.

Wracając do mojej Prowansji, czułem się jak więzień wychodzący na wolność. Tym razem zadzwoniłem do Tyny półtorej sekundy po wejściu do mieszkania.

Odebrała po czwartym sygnale.

- Halo?

- Dzień dobry! To...

- Tak. Jak się masz?

W tym „tak”, w którym uroczo zabrzmiało króciutko przedłużone „a”, dopatrzyłem się czegoś w rodzaju „nareszcie!” i normalnie mnie powaliło.

Czy gdyby mnie kochała, zrobiłaby coś więcej? Przecież nie rozpoznałaby mnie szybciej, nie miałyby radośniejszego głosu, nie wyszeptałaby: „Jak się masz, najdroższy” - nie, tego bym od niej nie usłyszał.

Powiedzieliśmy sobie tylko to, co konieczne, żeby się umówić. Była sama w domu, od trzech dni pracowała, wyłącznie popołudniami, gdybym zaraz przyjechał, obejrzałbym dom i zjedlibyśmy obiad w ogrodzie. Nie zastanawiałem się ani chwili.

W drodze czułem się bardziej nawiedzony niż świadek Jehowy. Znałem Tinę od pół roku, a tymczasem szykowała się kolejna porcja „pierwszych razów”: jechałem do niej, zobaczę, jak się urządziła, będę jadł obiad przy jej stole, pił z jej kieliszków, smakował to, co dla mnie ugotuje. Wyobrażałem sobie, jak obchodzi teraz dom i zaaferowana sprawdza, czy łóżka są posłane, przetrzepuje poduszki, zgarnia porozrzucane ciuchy, poprawia zasłony... Nie musiała mnie kochać, żeby emocjonować się tą pierwszą wizytą. Co myśli o mnie po tych dwóch miesiącach nieobecności i kartkach, którymi ją zasypywałem? Czy jestem dla niej mężczyzną, którego bardzo lubi, czy raczej tym, który ją kocha? Może moja miłość ma dla niej mniejsze znaczenie, niżbym tego pragnął? Może nawet

żałuje, że ją Kocham, może uważa, że moja miłość stoi na przeszkodzie naszej przyjaźni? Z niepokojem czekałem na jej pierwsze spojrzenie.

Właśnie ustawiałem pod figowcem motocykl obok jej stodwudziestki piątki, kiedy pojawiła się w drzwiach, trzydzieści metrów ode mnie. Od razu zauważyłem, że jest na bosaka. Wyszła mi na spotkanie, stąpając po zielonej trawie, i uśmiechała się promiennie. Jej pierwsze spojrzenie nie odpowiedziało na żadne z pytań, jakie sobie zadawałem, poza tym, że ucieszyła się na mój widok.

Bóg mi świadkiem, że nie zapominałem, jaka jest piękna, ale teraz była jeszcze piękniejsza. Podrosły jej włosy, wkrótce będą mogły uchodzić za półdługie, znowu się opaliła. Po przejściu kilku kroków dostrzegłem wreszcie, co się w niej zmieniło: przybrała na wadze, jakieś trzy kilo, wszędzie po trochu - na biodrach, w ramionach, na przedramionach. Teraz miała idealną figurę.

- Prawda, że ślicznie?

Dopiero po chwili zrozumiałem, że ma na myśli otoczenie. Przytaknąłem z głupkowatą miną, choć prawdę mówiąc, nie widziałem nic. Równie dobrze mógłbym się znajdować w ruinach Bejrutu. Uścisnęliśmy się, podałem jej bukiet różowych róż, które kupiłem po drodze w Saint - Remy. Jej „dziękuję, to miło z twojej strony” usatysfakcjonowało mnie. Miała wypoczętą twarz - niewykluczone, że nie płacze już codziennie.

- Jeszcze cię nie widziałem w takiej formie...

- Ja też nie. Z wyjątkiem okresu, kiedy byłam w ciąży. Wyglądałam jak krowa!

Wybuchnąłem śmiechem. Weszliśmy do domu przez salon i od razu poczułem się jak u siebie, tak bardzo ją przypominał: przytulny i prosty, żadnych zbędnych mebli, żadnych bibelotów, żadnych ozdóbek. Kanapa obita czerwoną skórą,

dwa ratanowe fotele, niski stół, zestaw hi - fi, stos CD. Przyznała, że większość rzeczy oddała do przechowalni, bo wolała nie wracać za bardzo do wspomnień. Już zapomniałem, że jesteśmy sobie tak bliscy, iż może mi mówić tego rodzaju rzeczy bez większych emocji.

Weszliśmy na piętro, gdzie pokazała mi pokoje chłopców. Uśmieliśmy się na widok bałaganu, jaki zostawili.

W życiu nie przypuszczałem, że do tego stopnia może mieć w nosie konwenanse. Nieposłane łóżka, prześcieradła i poduszki rozwleczone po podłodze, na środku buty, kasety i kubeczki po jogurcie, pestki brzoskwiń.

W pokoju Thomasa, starszego syna, zauważyłem zdjęcie Tiny, które zrobiłem na Lomboku w dniu, w którym mały wzięły ją za swoją Matkę Boską. Gdy podszedłem bliżej, dostrzegłem obok kilka fotografii Bruna, jego zmarłego ojca. Jasne oczy i postura zapaśnika upodobniały go trochę do Spencera Tracy'ego, ale biedak był o głowę niższy od Tiny. Trochę przesadzam, ale na pewno o jakieś pięć centymetrów. Na wszystkich zdjęciach uśmiechał się tak, jakby był pewny, że dożyje setki u boku najpiękniejszej kobiety świata.

Nie chcąc przedłużyć tej chwili, zwłaszcza że Tina czekała na progu, wyszedłem i udałem się za nią do jej pokoju. Na nasz widok rudy kot Bum - Bum zeskoczył z łóżka, podbiegł do nas i przycupnął u naszych stóp. Czułem się zakłopotany wtargnięciem w to tak intymne miejsce, nie miałem odwagi rozglądać się dokoła. Wlewające się do środka słońce przydawało trochę ciepła surowemu wnętrzu. Z wyjątkiem ładnego sekretarzyka postawionego frontem do gór wszystko tu było białe - ściany, belki, zasłony, lampka nocna, nakrycie łóżka, półka, na której stało trochę książek, płyty i miniodtworacz. Za łóżko służył materac położony na prostym stelażu.

- Niczego nie zauważyłeś?

Odwróciłem się i zobaczyłem powieszoną na ścianie podłużną niebieską ramę, jakieś dwa metry na piętnaście centymetrów, z przyklejonymi do niej ciasno, jedna obok drugiej, fotografiami, które zrobiłem na szczycie Rinjani. Na tym panoramicznym fryzie wulkany Bali i Sumbawa wyglądały, jakby wyrastały z oceanu.

To był jedyny obraz w tym pokoju. Ani jednego zdjęcia męża. Oglądanie jego twarzy byłoby z pewnością zbyt bolesne - może Tina nie chciała już zasypiać i budzić się z płaczem.

Zeszliśmy do kuchni. Doskonale pamiętam, że właśnie to pomieszczenie przypieczętowało jej wybór. Pośrodku ogromnej izby, urządzonej w dawnym stylu, stał okrągły stół z obrusem w prowansalski wzorek, a wokół niego wyplatane krzesła. Cała zastawa stołowa była wyeksponowana na sosnowych etażerkach. Aż się prosiło, żeby usiąść, odkorkować butelkę i zaatakować kawał prawdziwej wiejskiej wędliny!

- Napijesz się anyżówki?

Zajęta wyjmowaniem butelki i kieliszków, poprosiła mnie, żebym przygotował kostki lodu. Otworzyłem lodówkę i wybuchnąłem śmiechem. Była pusta. Gdyby to było w innych okolicznościach, serce by mi pękło na widok odrobiny masła, odtłuszczonego jogurtu, pewnie przeterminowanego, butelki wody, dwóch kartonów coli light - no po prostu bryndza. Tyle trzyma w lodówce osoba od dawna przebywająca na bezrobociu. Pękaliśmy ze śmiechu, jakby to był żart stulecia.

Odkąd dwadzieścia minut temu Tina powróciła do mojego życia, doznałem więcej wrażeń niż w ciągu dziesięciu lat sprzed jej poznania.

Pojechaliśmy do Saint - Remy starą renówką. Nigdy nie widziałem Tiny prowadzącej samochód i byłem olśniony, jakby dokonała niebywałego wyczynu. Uruchomiła odtwarzacz kaset i puściła francuską piosenkę. Piosenkarz

miał południowy akcent, nie znałem go, tekst mówił o ludziach, którzy spotykają się w sobotni wieczór, i był śmiertelnie smutny.

- Nazywa się Francis Cabrel - powiedziała. - Obecnie słucham tylko jego.

Trzeba mieć żelazną psychikę, żeby słuchać tego przez cały dzień.

Na malowniczych uliczkach miasteczka robiliśmy zakupy jak para zakochanych. Tina miała już swoje przyzwyczajenia, wszyscy kupcy ją znali, pytali, co słyszeć u rodziców, u dzieci. Sądziłem najpierw, że cieszy się względami z powodu swojego nadzwyczajnego wdzięku, ale była też inna przyczyna: kupowała takie ilości, jakby prowadziła kolonie - dziesięć befsztyków, dwadzieścia plastrów szynki, cztery kilo brzoskwiń, trzydzieści jogurtów. Wróciliśmy do samochodu obładowani jak osły. Zwłaszcza ja.

Przed powrotem wstąpiliśmy na anyżówkę do Cafe des Arenes. Okazało się, że patron jest już jej kumplem. Dał jej buziaka i zwracał się do niej po imieniu. Zauważyła moje zdziwienie.

- Nie obawiaj się! Nie zaglądam tu codziennie i nie wypijam dziesięciu anyżówek! Jego córki są koleżankami Thomasa i Remiego. Spędziły w lecie dużo czasu w naszym basenie.

Byłem zbity z tropu i jednocześnie szczęśliwy, że nareszcie odkrywam ją taką, jaka była „przedtem”, jaka była naprawdę: roześmiana, rozluźniona, uwodzicielska. Dotychczas znałem tylko jej bardziej lub mniej zaawansowane stany depresyjne. Teraz wyglądało na to, że wyzdrowiała na dobre. Cały byłem w skowronkach.

Wsiadaliśmy do samochodu po czterech kolejkach anyżówki.

- Za dużo wypiałś, mogę poprowadzić...

- Czyżbyś zaliczył u Bodharta korespondencyjny kurs rozśmieszania mnie?

Ruszyła, nabijając się z mojej miny.

Ja byłem jak traktor, ona jak pocisk. Muszę się odprężyć, jeżeli nadal zależy mi na czymś więcej niż na noszeniu za nią toreb z owocami i warzywami.

Wracając, znów słuchaliśmy wyciskacza łez, potem, zaśmiewając się, zapełniliśmy lodówkę, która teraz przypominała moją, zjedliśmy lunch w słońcu, opowiadając sobie tysiąc i jeden szczegółów, jakie się wydarzyły w czasie, gdy nie byliśmy razem.

O wpół do trzeciej musiała pędzić do roboty. Wsiedliśmy na motocykle i razem dojechaliśmy do Arles. Na bulwarze Clemenceau rozdzieliliśmy się. Skręciła w prawo, nie włączając migacza.

Ból rozstania był ostrzejszy niż kiedykolwiek. Oczywiście, taki był od początku nieubłagany mechanizm mojego związku z nią, ale jak długo można zabiegać o miłość, nie osiągając celu?

Najgorsza, a zarazem najbardziej podniecająca była świadomość, że dopóki nie pozwoli mi zasypiać przy sobie i nie rozstawać się z nią, dopóty nie będę szczęśliwy.

Pewnego razu zjawiała się u mnie w czarnej spódnicy i z gołymi nogami. Nie zdążyłem otworzyć ust.

- Wiem, wiem, nie do twarzy mi w tym!

Zaśmiałem się. Wyglądała świetnie. Spódnica była szeroka, za kolana i cała w pliskach. Gdyby się okręciła wokół siebie, materiał uniósłby się do góry i moja pani przypominałaby rozwinięty kwiat.

Roland podpowiedział siostrze, że dodałaby sobie powagi, gdyby czasami zrezygnowała z džinsów i podkoszulków, co w kontaktach zawodowych mogłoby jej tylko wyjść na dobre. Zaczęła więc gromadzić „garderobę damy”, jak to nazwała. Dawno wyrzuciła wszystko, co nosiła przedtem. Podczas tego września, ilekroć znajdowaliśmy dwie godziny wolnego czasu, jechaliśmy do Nimes, do Arles albo do Awinionu na zakupy. Uwielbiałem to.

Wchodziła do sklepu, szybko przebiegała wzdłuż rzędu wieszaków, sprawdzała rozmiar, wybierała najwyżej dwie rzeczy, znikła w kabinie, wychodziła odmieniona, onieśmiewiona i olśniewająca. Czuję się jak Richard Gere w *Pretty Woman*, tyle że nie wolno mi było za nic płacić. Raz spróbowałem, ale tak się rzuciła, jak bym ją uszczypnął w pośladek. Ekspedientki traktowały nas jak parę zakochanych, brały moją stronę, kiedy upierałem się jak wariat przy spódnicy przed kolana - na próżno, Tina nie lubiła swoich nóg, bo podobno, tak mówiła, miała za grube łydki albo kolana. Na nic zdało się powtarzanie, że ma znakomite nogi. Odpowiadała na to, że się nie znam, i pokazywała na ulicy dziewczyny na patykowatych jak u kanarków nóżkach, o spiczastych kolanach albo grubych udach, twierdząc, że tylko takie są piękne. Moja opinia na temat jej powierzchowności nie była dla niej miarodajna, ponieważ uważała, że ją idealizuję. Stara śpiewka zaślepionej miłości. Otóż wcale jej

nie idealizowałem. Wystarczyło popatrzeć na zachwycone twarze sprzedawczyń w butikach, gdy tam wchodziła.

Stopniowo nasze życie zaczęło płynąć normalnym rytmem. Tina nie miała ściśle ustalonych godzin pracy. Rano załatwiała sprawy służbowe przez telefon, do biura zaglądała dopiero wczesnym popołudniem, w zależności od kalendarza spotkań albo od wolnego czasu Rolanda, jej głównego rozmówcy. Chociaż ani razu nie odstąpiła od zasady, żeby zawsze być w domu, gdy dzieci wracają ze szkoły, to i tak zostawało sporo wolnego czasu, z czego połowę spędzała ze mną. Dwa - trzy razy w tygodniu jedliśmy razem lunch - u mnie, gdy pracowała rano, u niej, gdy pracowała po południu, albo w chińskiej restauracji na mojej ulicy, kiedy mieliśmy ochotę na chińszczyznę.

Czarne myśli już nie nachodziły jej tak często jak przedtem, ale jeszcze się zdarzały. Nie traciłem wtedy głowy. Rozmawialiśmy jak gdyby nigdy nic i zawsze udawało mi się czymś ją rozśmieszyć i poprawić humor. Czasami dochodziła do wniosku, że za bardzo się nad sobą rozczulam, potrafiła mi dopiec do żywego, ustawić do pionu, przywrócić energię i tak na ogół wyszydzone przez nią pozytywne myślenie. Śmialiśmy się często, kpili z siebie nawzajem i z otoczenia, bawiły nas podobne sytuacje: śmieszna mina dziecka na ulicy, dziewczyna bez żenady poprawiająca sobie majtki wbite między pośladki, elegant przyczesujący sobie w aucie fryzurę we wstecznym lusterku, źle skręcony joint, brzydkie palce, jakich nie znosiłem. Za namową Tyny kupiłem płytę Cabrela, później poznałem przez nią jeszcze innych francuskich piosenkarzy i bardzo ich polubiłem, takich jak: Julien Clerc, Bashung, MC Solaar. Uwielbiała grać rolę osoby wprowadzającej mnie w nieznaną mi świat, a ja z rozkoszą się temu poddawałem.

Czasami, gdy rozmawialiśmy o przyszłości, widziałem, jak się ożywia, wręcz podnieca na myśl o nowym życiu, o prawdziwym życiu z jego wyzwaniami, przyjemnościami, nowymi celami i nowymi kłopotami.

Byłem jej współnikiem, powiernikiem, jedynym przyjacielem. Łączyła nas taka zażyłość, o jakiej marzyłem. Z pewnością nie zachowywałyby się inaczej, gdyby mnie pokochała, co nie znaczy, że nie brakowało mi miłosnych gestów z jej strony, pocałunków, okazywania pożądania. Czy do tego potrzebna jest miłość? Woląłem myśleć, że mogę wzbudzić w niej pożądanie, zanim mnie pokocha, ponieważ wydawało mi się to mniej odległe, nie takie nieosiągalne. Czy byłaby do tego zdolna? A raczej czy ja byłbym w stanie sprowokować ją do tego?

W miarę upływu dni i tygodni nasze spotkania traciły dwuznaczny charakter. Stawaliśmy się sobie coraz bliżsi... a mimo to ciągle dalecy od celu, czyli od spełnienia, które zwieńczyłoby nasz związek. Zawsze umawialiśmy się o najjaśniejszej porze dnia, tak niesprzyjającej pierwszym chwilom miłosnych uniesień. Tina nigdy nie dawała okazji do zachowań wykraczających poza granice przyjaźni, więc nawet nie przyszło mi do głowy osiągać czegokolwiek siłą, wbrew jej woli. Wziąć ją za rękę albo pocałować - nie, to by była gigantyczna gafa, przekreślająca wszystko. Nie przypuszczam, żeby Tina stała się przy mnie bardziej nieprzystępna. Nie, na pewno zawsze taka była, wobec każdego mężczyzny.

W najczarniejszych godzinach, kiedy leżałem sam w łóżku i nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie trzymam jej teraz w ramionach, wiedziałem, że Tinie nie mogę niczego zarzucić: żadnego dwuznacznego uśmiešku, prowokacyjnie rozpiętych guziczków u bluzki, niesmacznego żartu, podpuszczenia mnie, żeby za chwilę ostudzić - nic, dosłownie nic. Była jak najdalsza od tego typu zachowań w najbardziej naturalny

sposób. Gdy to sobie uświadamiałem, pożądanie malało, wycofywałem się, żeby nie wprawiać jej ani siebie w zakłopotanie. Gdybym pożądał jej obsesyjnie, zwariowałbym, straciłbym panowanie nad sobą, ale dzięki temu, że nigdy nie dała żadnego pretekstu, trzymałem się mocno w ryzach.

Pewnej październikowej niedzieli wreszcie przejrzałem. Prawdę mówiąc, wolałbym wyłupić sobie oko.

Dzień wcześniej świętowaliśmy w kilkanaście osób urodziny Régine, narzeczonej Rolanda, w ich nowym mieszkaniu. Połowa obecnych była młodsza ode mnie o dwadzieścia lat, byłem w tym gronie seniorem. Posadzono mnie na honorowym miejscu, naprzeciwko Tiny i jej chłopców, których nie widziałem od tamtej kolacji sprzed czterech miesięcy. Tina czuła się wyraźnie niezręcznie, więc i mnie się to udzieliło, nie zwracaliśmy się do siebie wprost, wszystko odbywało się za pośrednictwem dzieciaków.

Od razu mi powiedzieli, że właśnie dostali nowe motocykle, trialowe pięćdziesiątki. Nie dałem po sobie poznać, że wiem o tym, a Tina przezornie spuściła wzrok. Zamierzali nazajutrz odbyć nimi inauguracyjną podróż i pojechać z matką na Camargue. Gadaliśmy o motorach jak starzy bikersi, zadawali mi mnóstwo technicznych pytań na temat mojej maszyny, na które nie znalazłem odpowiedzi.

W pewnej chwili Rémi zwrócił się do matki:

- Czy on mógłby pojechać jutro z nami? „On” to byłem ja.

- Jeśli ma ochotę - odpowiedziała, śmiejąc się. Ponieważ nie dała mi znaku, żebym odmówił, wyraziłem zgodę.

Arles było na trasie, spotkałem się z nimi w niedzielę rano w ogródku hotelu Nord - Pinus, żeby wypić kawę przed drogą. Już po dziesięciu minutach nie miałem wątpliwości, że Tina sobie nie radzi i przy chłopcach zachowuje się wobec mnie nienaturalnie. Może to niemądre, ale tym razem poczułem

pewien rodzaj satysfakcji, pomyślałem bowiem, iż jej zakłopotanie może świadczyć o tym, że nie traktuje mnie jak zwykłego przyjaciela...

Przez cały dzień niebo było błękitne. Jechaliśmy gęsiego - ona na przodzie, oni za nią, a ja w ogonie. Sylwetka Tiny migiała mi od czasu do czasu na zakrętach, sto metrów przede mną. Między Boduc, gdzie mieliśmy zjeść lunch, a solankami zatrzymaliśmy się na krótką kąpiel. Wprawdzie woda była lodowata, ale postawiłem sobie za punkt honoru znaleźć się w niej szybciej niż dzieciaki. Tina nie cierpiała zimnej wody, więc przyglądała się nam, siedząc na piasku i uśmiechając się smętnie. Pomyślałem, że być może widok synów kąpiących się z mężczyzną przywołuje bolesne wspomnienia, i natychmiast wyszedłem z wody. Chłopcy także. Nie odstępowali nas na krok.

Plaża była pusta, woda przezroczysta jak w lagunie na Malediwach, kobieta moich marzeń leżała obok mnie, uśmiechała się do słońca, powinienem więc bujać w obłokach, a tymczasem siedziałem wbity w piasek niczym ogłuszony zawodnik sumo. Między nią i mną, na dwóch ręcznikach, leżeli jej synowie. I to zmieniało wszystko. Tina zachowywała się równie oficjalnie jak na początku naszej znajomości, przed siedmioma miesiącami. Czuję się odrzucony, nie mogłem się doczekać końca tej wyprawy. Żeby nie psuć im zabawy, zachowywałem się nad wyraz powściągliwie.

Nawet podczas tego kwadransa, kiedy w Saintes - Maries - de - la - Mer chłopcy zostawili nas samych i udali się do kawiarenki internetowej pograć na komputerach, nie odnalazłem mojej Tiny. Nie skorzystała z okazji, nie uspokoiła mnie, nawet nie dostrzegła, co się ze mną dzieje. Przeciwnie - zaczęła rozmawiać ze mną o synach: że stają się mężczyznami, a jednocześnie nadal są dla niej maleństwami, że ma wrażenie, jakby się jej wymykali, i tak dalej. Mógłbym

ostatecznie potraktować te w sumie nieszkodliwe wynurzenia jako próbę usprawiedliwienia się z okazywanej mi rezerwy, ale wolałem nie popełniać błędu i nie przeceniać swojego znaczenia. W rzeczywistości od samego rana jedno aż biło w oczy: dla mnie wszystkim jest Tina, dla niej wszystkim są jej dzieci. Tworzyli nierozzerwaną trójkę, z której automatycznie zostałem wykluczony. Żeby zaś zmienić to trio w kwartet, musiałbym, po pierwsze, tego chcieć, po drugie, ci dwaj musieliby mi się stać na tyle bliscy, na ile bliska była mi ich matka. Kwadratura koła. Taki warunek mógł spełnić tylko ojciec chłopców.

Aż do dzisiaj żyłem w pełnej nieświadomości, zachowywałem się tak, jakby dzieci Tyny nie istniały, i nawet do głowy mi nie przyszło, że mogą stanowić przeszkodę, rodzaj hamulca z zablokowaną manetką, uniemożliwiająca jakikolwiek postęp w moich stosunkach z ich matką. Teraz, przez wiele godzin obserwując z bliska tę rodzinę, wreszcie przejrzałem. Uświadomiłem sobie, jak bardzo niedorzeczne i niemożliwe do spełnienia były moje marzenia. Stałem na straconej pozycji: Tina ma dwoje nastoletnich dzieci i nic tego nie zmieni. Przecież nie przeniosą się nagle bez niej do Peru czy gdziekolwiek indziej. Co najwyżej mogłem mieć nadzieję, że od czasu do czasu porzuci to trio, żeby pobyć ze mną w duecie. W ciągu tego dnia zrozumiałem, że gdyby nawet szczęśliwy los sprawił, iż pewnego dnia zostałbym jej ukochanym albo kochankiem, nie dawałaby sobie z tym rady ze względu na dzieci, a w każdym razie nie teraz, póki chłopcy potrzebują matczynej uwagi.

Patrząc trzeźwo, ile czasu musi upłynąć, żeby mogli zamieszkać osobno? Policzyłem i wypadło mi, że od pięciu do dziesięciu lat. Tak, tyle lat musiałbym cierpliwie czekać, żeby kochać się z nią swobodnie, chodzić do kina wieczorami tylko we dwoje, całować się na ulicy, zasypiać i budzić się razem.

Robić to wszystko, czego nigdy nie zaznałem, a do czego teraz było mi tak spieszo. Ona z kolei przeżyła to już ze swoim mężem i wzbraniała się czynić to samo z innym mężczyzną.

Pięć lat, dziesięć lat - to długo, bardzo długo, ale widać tyle trzeba, żeby uzależniła się od mojej miłości. A kiedy uzależni się od mojej miłości, będzie już bardzo blisko do tego, żeby uzależniła się ode mnie, nawet gdyby dla niej to „k” w czasowniku „kochać” nie zaczynało się od wielkiej litery. Albowiem, z pewnością, nasz romans może zmierzać tylko w tym kierunku. Nie miałem prawa niczemu się dziwić, a tym bardziej narzekać. Od początku wiedziałem, że zanim najpiękniejsza istota, jaka kiedykolwiek stąpała po tej ziemi, pokocha mnie, upłynie dużo czasu, a droga, jaką będę musiał odbyć, będzie długa i ciernista. Od tej chwili wszystko stało się jasne i oczywiste. Że ją spotkałem, że ją Kocham, że ona mnie nie Kocha, że ma dzieci, a ja nie mam, że straciła męża - wszystko.

Przypomniałem sobie, że kiedy opowiadałem Isabelle o Tinie, zwróciła uwagę, że nie pozostało jej wiele czasu na spłodzenie dzieci ze mną. Odpowiedziałem, że choć w życiu bywa różnie, często nawet zaskakująco, to jednak w tej kwestii nic takiego się nie zdarzy, wykluczone. Problem dzieci Tina ma za sobą. Zresztą ja też, na swój sposób. Dla nas będzie to miłość dla samej miłości, miłość dla bycia we dwoje, razem, przez cały czas. To będzie historia miłości dla dorosłych egoistów, których interesuje tylko ich miłość, miłość po kres życia - zupełnie nowa, nieporównywalna z niczym, miłość stworzona specjalnie na drugą połowę naszego życia, taka, w której wiadomo, co jest dobre, co jest ważne i czego naprawdę się pragnie.

Po tej odkrywczej niedzieli wszystko toczyło się swoim zwykłym torem. Wraz ze zbliżającą się zimą nasze maszyny

coraz częściej stały w garażu, większość spotkań odbywała się u mnie.

Ku wielkiemu zaskoczeniu nas obojga praca stawała się coraz ważniejsza w życiu Tiny, a co za tym idzie - w naszym. Ponieważ widywaliśmy się prawie codziennie i opowiadaliśmy sobie wszystko, byłem na bieżąco informowany o jej planach i służbowych spotkaniach.

Przedłożyła Rolandowi projekt na najbliższy rok, który zamierzała zrealizować w trzech etapach. Oczywiście, dał jej wolną rękę, szczęśliwy, że tak się w to zaangażowała. Na początek chciała stworzyć wyszukany system kart klienta, zbudowany w porozumieniu z siecią partnerów regionalnych. Poświęciła temu cały pierwszy kwartał, nie szczędząc sił. Zdąży ze wszystkim, mogłaby ruszyć już od stycznia - trzymaliśmy kciuki, żeby wszystko się udało. To zajęcie i wyzwania wciągały ją, wyzwalały w niej dodatkową energię. Zależało jej na tym, żeby pomysł wypalił, a jednocześnie zachowywała dystans - nie była smarkulą zachłyśniętą swoją pierwszą pracą, gotową dać się jej pochłonąć bez reszty.

Subtelne wyważenie proporcji między wywieraniem nacisku i swojego rodzaju uwodzeniem, stanowiące istotę jej pracy, a także mojej, bawiło ją i intrygowało. Nieraz w naszych dyskusjach, głównie w formie żartu, pojawiała się słowo „urobić”. Gdy wracałem z podróży, wypytywała o nowiny. Przed stresującym ją albo onieśmielającym spotkaniem zarzucała mnie pytaniami, zasięgała porad, jakby moje doświadczenie zawodowe stawiało mnie w rzędzie osób bardziej kompetentnych od niej we wszystkich rodzajach zajęć na świecie!

Tylko raz uległem pokusie i wystąpiłem w tej jakże pochlebnej mi roli. Żeby ją przekonać, iż w biznesie nigdy nie należy się poddawać, lecz dochodzić swego, przytoczyłem

jej zdanie Michela: „Odmowę już masz, ryzykujesz tylko, że wywalczysz więcej”.

Była zachwycona, szermowała tym powiedzeniem przy każdej okazji.

Tak, w ten sposób to może trwać dziesięć lat, a nawet i więcej!

Wychodząc ode mnie w pewne grudniowe popołudnie, ujrzeliśmy miasto udekorowane mnóstwem girland z kolorowymi lampkami z okazji nadchodzących świąt Bożego Narodzenia. Dla wszystkich pochodzących z okaleczonych rodzin zbliżanie się tych przerażających świąt nigdy nie jest dobrą nowiną. Ponieważ dla Tiny miało to być drugie Boże Narodzenie bez męża, bez trudu mogłem sobie wyobrazić stan jej ducha. Chociaż straciłem rodziców dwadzieścia pięć lat temu, to w te świąteczne dni szczególnie boleśnie odczuwałem ich brak. Do tego dochodziła ponura perspektywa dziesięciodniowej rozłąki z Tiną; wiedziałem, że nie ma dla mnie miejsca przy niej w tych tak specyficznym rodzinnych okolicznościach.

Całe szczęście, że na końcu tego czarnego tunelu widniało światełko, i to nie byle jakie: Roland zaprosił mnie na sylwestra, zaznaczając, że „wieczorowe stroje będą mile widziane”. Odtąd odliczałem dni.

W samolocie, który mnie przynosił w stronę moich lasów, myślałem o Tinie, o Isabelle, o Sophie i Martinie, o ich dzieciach, o moich drogich rodzicach, patrzących na mnie z nieba, i było mi wstyd, że o niczym innym nie marzę, tylko o dniu, w którym po raz pierwszy nie pojedę do La Garde i nie spędzę tam Bożego Narodzenia, ponieważ będę z nią. To dopiero będzie przeżycie! Dla nas wszystkich.

Moja obecność u jej boku w sylwestrową noc zależała tylko od jednego: musiała tego chcieć. To będzie zresztą najlepszy sprawdzian, czy naprawdę nie może się beze mnie obejść w wieczór, nad którym zawsze już będzie unosić się duch jej męża.

Od śmierci rodziców Boże Narodzenie już nie było takie jak kiedyś. Radość dzieci nie zagłuszała zadumy i smutku towarzyszących niezmiennie od lat Isabelle i mnie. Przed

wyjazdem na Lombok powiedziałem jej, że stopniowo pragnąłbym skoncentrować się wyłącznie na działalności w Europie. Spodziewała się tego.

- Będzie, jak zechcesz. Zrobiłeś już swoje.

Kochana Isabelle.

Serce mi krwawiło na myśl, że Tina zajmuje w nim całą przestrzeń. Isabelle i wszyscy, tak bardzo dla mnie ważni przez czterdzieści lat, zeszli na drugi plan. Czułem się z tym okropnie.

Na Lomboku, choć miałem zastrzeżenia do metod zarządzania Bodharta, wszystko szło po mojej myśli. Chata na Rinjani, w środku jeszcze niewykończona, była już pod dachem. Z zawieszzonego nad lasem tarasu rozciągał się rozległy widok na morze, o jakim nawet nie marzyłem. Wzruszenie ścisnęło mi gardło: mój pierwszy prawdziwy dom. W mieszkaniu w Arles, w moich ścianach, żyło przede mną z pięćdziesiąt pokoleń. Tutaj wszystko wybrałem sam, od nikogo niezależny w swoich decyzjach, bez mnie ten dom by nie zaistniał. Fantastycznie będzie się tutaj budzić, zasypiać, mieszkać. Zwłaszcza z Tiną.

W drodze powrotnej zatrzymałem się na noc u Michela i Catherine. Podczas kolacji rozmawialiśmy prawie wyłącznie o Tinie i o naszym związku - ciekawe, o czym rozmawialiśmy, zanim pojawiła się w moim życiu.

Wylądowałem w Arles trzydziestego pierwszego grudnia, koło południa. Tego dnia wiał lodowaty mistral, przechodniów było jak na lekarstwo. Przed udaniem się do domu odebrałem smoking, który kupiłem przed wyjazdem. Mój pierwszy smoking. Czułem się jak przebieraniec, ale było mi wszystko jedno. Nie szedłem na tego sylwestra, żeby przeglądać się w lustrze, ale spędzić ten wieczór, patrząc na Tinę. Umierałem z niecierpliwości, czułem przypływ pożądania na myśl, że zobaczę ją w wieczorowej sukni. Ileż to już czasu snuję

fantazje na ten temat! W co się ubierze? W spodnie? W suknię? W spódnicę? Co chwila zmieniałem zdanie.

Zjawiłem się u Rolanda i Régine jako jeden z pierwszych zaproszonych gości. Długo się wahałem, w końcu jednak postanowiłem nie telefonować do Tiny przed tym uroczystym wieczorem. Zależało mi na tym, żeby być na miejscu przed nią, choćby po to, żeby być świadkiem jej wejścia. Wręczyłem Régine bukiet róż, Rolandowi półtoralitrową butelkę szampana i wymieniliśmy uściski. Cieszyłem się, że znów ich widzę, nie tylko ze względu na ich więź z Tiną: widywałem się regularnie z Rolandem i nasze stosunki były naprawdę serdeczne. Jego siostra nadal pozostawała ulubionym tematem naszych rozmów. Odkąd razem pracowali, nie przestawał jej chwalić, podkreślał jej niezliczone zalety, jakby chciał mnie do niej przekonać, jakby nie wierzył, że dokonałem już wyboru kobiety, z którą chcę dzielić życie.

Pewny, że Tina nie zjawi się zbyt wcześnie, podszedłem z kieliszkiem wódki do regału w drugim końcu salonu, wypełnionego od góry do dołu płytami, usytuowanego na wprost drzwi. Udając zainteresowanie imponującą kolekcją płyt, co trzy sekundy zerkałem na drzwi wejściowe.

Usłyszałem dzwonek. Roland poszedł otworzyć i pojawiła się ona. Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli w jej kierunku, uprawiając ją w zakłopotanie. Wpuściła przodem chłopców.

Powaliło mnie jak wtedy, kiedy ujrzałem ją pierwszy raz. Z nadmiaru uczucia poczułem straszliwy ucisk w piersi.

Miała na sobie jedwabną ciemnogrnatową suknię za kolana, zapinaną od góry do dołu na guziczki, z kołnierzykiem typu stójka. Była świeżo po fryzjerze, miała bezbłędną fryzurkę a la Kleopatra. Wyglądała rewelacyjnie.

Całując Rolanda, uśmiechnęła się do mnie, po czym zaczęła się zbliżać. Zauważyłem jej czarne, bardzo wytworne czółenka na prawie płaskim obcasie. Pocałowaliśmy się, jej

trzy cmoknięcia musnęły moje policzki. Nie do wiary: miała pomalowane usta. Wprawdzie nie czerwoną szminką, ale jednak!

- No, no, świetnie ci w tym smokingu!

Nie zdążyłem ani zemdleć, ani zrewanżować się jej komplementem, bo podeszła do nas jakaś nowo przybyła para. Tina dokonała prezentacji, a potem podjęła grzeczną rozmowę o wszystkim i o niczym.

Zauważyłem, że ma jednak zrobiony makijaż. Och, nic wielkiego, wystarczył delikatny róż na wargach, prawie niewidoczny, kreseczki wzdłuż górnej powieki, trochę tuszu na rzęsach, żeby błyszczała i olśniewała jak drzewko bożonarodzeniowe. Cały jej wygląd, świadczący o powrocie do normalności, był bardziej niż budujący. Uradowany, już miałem pomyśleć, że odnalazła potrzebę podobania się, nawet mnie, gdy poczułem jej rękę na swojej i mózg mi stanął. Zakłopotana, zwróciła się do znajomych:

- Wybaczą, państwo, Franck ma mi coś ważnego do powiedzenia... Bawcie się dobrze.

Nie umiała kłamać. Gdyby powiedziała: „Spieprzajcie, rzygam na wasz widok!”, wyszłoby na to samo. Obrażeni pan i pani, zanim się zmyli, spojrzeli na mnie takim wzrokiem, jakby mówili: „Aha, to on, ten nowy”. Byłem zachwycony.

Tina wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła w drugi koniec pokoju z taką miną, jakby miała mi do przekazania tajemnicę wagi państwowej.

- Byłam nieuprzejma, prawda? Nawet ich lubię, w swoim czasie widywaliśmy się dość często... ale teraz... Powiedz coś! Przecież masz mi coś ważnego do powiedzenia...

Wpadła w panikę, jakby tych dwoje mieszczuchów miało zaraz wyrosnąć za jej plecami i zdemaskować ją. Para nie spuszczała ze mnie oczu. Tina nalegała:

- No powiedz coś, cokolwiek!

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, raz, dwa trzy, cztery, pięć...

- Przestań!

- Najważniejsze, żebym ruszał ustami. Jak w dubbingowanych starych włoskich filmach. Aktorzy nie musieli uczyć się tekstu, mówili po prostu: uno, due, tre, quattro, uno, due, tre, quattro. Pod to można podłożyć dowolny dialog.

- Nie wierzę.

- Niesłusznie, bo to prawda. To działa również przy one, two, three, four, five... Oczywiście, byłoby gorzej, gdyby twoi znajomi potrafili czytać z ruchu warg.

Śmiała się, a ja byłem szczęśliwy.

Dlaczego nie jesteśmy razem? Czego jeszcze potrzeba? Tak dobrze się rozumiemy, o ileż lepiej niż obecne tu pary... W takich chwilach jak ta trudno mi było się z tym pogodzić.

Gdy wybiła północ, Tina znajdowała się daleko ode mnie, za to blisko swoich dzieci i z kimś rozmawiała. Wycalowałem się z dwudziestoma osobami, których nie znałem, zanim uściskałem moją ukochaną. Wreszcie nadeszła chwila, kiedy mogłem to zrobić.

Na czas składania sobie noworocznych życzeń Roland zgasił światło, zostawiając tylko świece. Staliśmy naprzeciwko siebie. Tinie błyszczały oczy. Oboje byliśmy wzruszeni, każde z innego powodu.

Wziąłem ją w ramiona, odwzajemniła uścisk, ale już po chwili poczułem, że wstrząsa nią łkanie. Trwała w moich objęciach i z twarzą wtuloną w mój nowy smoking, tłumiała szloch. Przyciągnąłem ją mocniej do siebie, gładziłem po włosach, starając się nie myśleć o tym, że za chwilę zapali się światło i powinienem panować nad emocjami. Doskonale wiedziałem, że moja osoba nie ma nic wspólnego z jej smutkiem, byłem po prostu tym, przy którym mogła wreszcie

dać upust łzom, tym, który pragnął ją zatrzymać przy sobie po wsze czasy.

Odsunęła się po chwili. Miała mokrą twarz.

- Nieźle jak na początek roku!

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedziałem, wkładając w to zdanie całe moje uwielbienie dla niej. Uśmiechnęła się, wytarła policzki i pocałowała mnie.

- Szczęśliwego Nowego Roku. Cmoknęliśmy się dwa razy.

- Obiecuję, że odtąd każdy rok będzie lepszy od poprzedniego - powiedziałem, nie wypuszczając jej z objęć.

- Wierzysz w to?

- To powód, dla którego żyję.

Wzięła moją rękę, uścisnęła ją, lekko się czerwieniąc.

Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak zażenowanej.

Od tego sylwestra minęły dwa miesiące, a ja nadal nie wyznałem jej miłości. Teraz to się zmieni.

Była jedenasta i od dwudziestu minut czekałem na nią w barze Golden naprzeciwko sklepu Rolanda. Wróciłem z podróży wcześniej rano, nie uprzedziłem jej o moim przyjeździe. Popijałem kawę, cały czas śledząc ulicę, a serce waliło mi szybko i mocno. Powód był oczywisty: nie widziałem jej dłużej niż zwykle - aż siedemnaście dni.

Właśnie skończyły się ferie zimowe. W tym czasie odbyłem rutynowe spotkania w Paryżu i Mediolanie, odwiedziłem rodzinę w La Garde i na koniec wylądowałem na Lomboku. Nareszcie mogłem spać w mojej chacie. Jeszcze nie doprowadzono światła ani wody, postawiłem tylko łóżko w salonie, frontem do nieba, morza i lasu. Jednak nawet te olśniewające błękity i zielenie nie rozpraszały smutku, jaki mi towarzyszył po przebudzeniu. Gdy tylko otwierałem oczy, z dala od mojej ukochanej, dopadała mnie tęsknota.

W końcu przyjechała. Widziałem, jak parkuje motocykl w tym samym miejscu co zawsze, przed perfumerią. Miała na sobie nową czarną zamszową kurtkę. W pierwszej chwili wzięła mnie złość, że kupiła ją beze mnie, ale ponieważ byłem w promiennym nastroju, uśmiełem się w duchu za ten przejaw małostkowości.

Wypadłem z Golden jak z procy.

- Dzień dobry - powiedziałem, podchodząc do niej.

Odwróciła się, uśmiechnięta od ucha do ucha. Całując ją, od razu wyczułem, że coś się zmieniło. Była inna niż zwykle.

- A już myślałam, że nigdy nie wrócisz! - wykrzyknęła.

- Wyjechałem na dwa tygodnie, tak jak mówiłem, ale niezmiernie się cieszę, że tak ci się ten czas dłużył.

- Kiedy wróciłeś?

- Dziś rano. Masz czas na szklaneczkę?

Zbliżaliśmy się do hotelu Nord - Pinus. Mieli tam przytulny bar, w którym bywaliśmy, znali tam nasze

zwyczaje, serwowali nam Zielone Smoki w takich proporcjach, jakie nam odpowiadały. Cieszyła mnie świadomość, że gdyby Tina nagle zapałała pożądaniem, wystarczyło udać się piętro wyżej.

Przyglądałem się jej: szła obok mnie, włosy muskały jej ramiona. Nie musiałem przyspieszać ani zwalniać, żeby dotrzymać jej kroku, maszerowaliśmy w tym samym tempie, bez pośpiechu. Ależ była naburmuszona, wiedziałem zresztą dlaczego. Jutro przypadała pierwsza rocznica otwarcia sklepu Rolanda i właśnie na tę okazję zorganizowała swój pierwszy koncert. Długo nie wracałem, więc wyobrażała sobie Bóg wie co, tak jakbym mógł przegapić wydarzenie, które przygotowywała od miesięcy! Chętnie bym ją uspokoił, poprzekomarzał się z nią, ale nie dawała mi spokoju zmiana, jaka mnie w niej uderzyła przy cmoknięciu na dzień dobry. Wyolbrzymiałem ją, nie odzywałem się, to z kolei ją drażniło, czemu dość szybko dała wyraz:

- Na wypadek gdyby cię to interesowało... Koncert odbędzie się zgodnie z planem, czyli jutro wieczorem.

- Myślałaś, że zapomniałem?

- Nic nie myślałam, zastanawiałam się tylko.

- A wiesz, że to będzie również rocznica naszego poznania się?

- Mam nadzieję, że nie zapomniałeś zamówić tortu!

Żeby ją ukarać za tę impertynencję, omal nie pocałowałem jej w same usta, powstrzymałem się jednak - gdybym tak podchodził do pocałunków, to by znaczyło, że postradałem zmysły.

Tina przekazała mi najnowsze wieści: Roland i Régine pobierają się w czerwcu, Thomas miał wypadek, na szczęście niegroźny, najadła się strachu, motocykl nadaje się do kasacji...

Mówiła do mnie, a ja łapałem się na tym, że nie słucham uważnie. Tak na mnie działała, że coraz częściej przebywałem myślami gdzie indziej i coraz trudniej było mi się opanować: pożądałem jej coraz bardziej, organizm buntował się, moja męskość płatała figle, wzbierała i dopominała się o swoje. Oczywiście, to się już zdarzało, zwłaszcza na początku, ale po roku platonicznego związku zjawisko, o którym wspomniałem, występowało sporadycznie, albo może nie zwracałem na to uwagi - Tina nie wysyłała żadnych erotycznych fal, mój mózg, wiedziony instynktem przetrwania, też ich nie wysyłał.

Zdecydowanie ta epoka należała do przeszłości i to nie była dobra nowina. Od pięciu minut nasze ciała muskały się w marszu. Doświadczałem nieprzyjemnego, wręcz nieznośnego uczucia, dotąd mi oszczędzonego, a mianowicie frustracji: nie tylko upajałem się jej bliskością, ale odczuwałem także ten specyficzny ból, niepohamowany apetyt i niezaspokojony głód.

W naszym związku moje pożądanie pozostawało tematem tabu. Gdyby Tina zauważyła różnicę w moim spojrzeniu, w zachowaniu, cała magia by prysła. Nienawidziłem tego obsesyjnego pożądania, pojawiającego się nie w porę, bo zmieniało charakter mojego uczucia i nadawało mu inną jakość.

Usiedliśmy przy naszym stałym stoliku. Od Tiny biła zdumiewająca energia, a zarazem beztroska. Zapytała, jak minęła mi podróż. Ograniczyłem się do lakonicznego sprawozdania.

- Widziałeś się z Michele i Catherine?
- Tak. Przesyłają ci ucałowania. Catherine jest w ciąży.
- Wiem.

- Tak, podobno pisujecie do siebie. Ponieważ nie powiedziałaś mi o tym, trochę mnie to zezłościło, uznałem, że też nie muszę ci wszystkiego mówić.

- Są miliony spraw, o których ci nie mówię.

- Nie wątpię.

Uwielbiam, kiedy się ze mną droczy.

Kelner podał nam herbatę. Nie wiem, co mnie naszło, ale odważyłem się wejść na śliski grunt - z pewnością był to pierwszy objaw tej cholernej zmiany.

- Zgadnij, co było głównym tematem naszych rozmów...

- Nie mam pojęcia. - My.

- Jak to: „my”?

- Ty i ja. Czasami nie jesteś zbyt lotna! Chcieli wiedzieć, na jakim jesteśmy etapie, jak rozwija się nasz związek...

- Niesamowite! I co im powiedziałaś?

- Prawdę. Że ciągle się widujemy, stajemy się sobie coraz... bliżsi, ale że nadal do niczego nie doszło. Michel nie mógł ochłonąć z wrażenia.

- A to ciekawe! Niby z jakiego powodu?

Nie tylko się puszy, ale jeszcze udaje niewiniątko - pomyślałem - dając temu wyraz stosowną mimiką. Mówiliśmy o „nas”, a ona przyjęła to lepiej, niż się spodziewałem. Naciskałem więc.

- Catherine uważa, że już jest za późno. Jej główny argument brzmi: „Dlaczego teraz miałyby powiedzieć »tak«?”.

- Bardzo słusznie.

- Nie, właśnie, że nie. Nie możesz powiedzieć „tak”, póki cię o coś nie poproszę. A przypominam, że o nic cię nigdy nie prosiłem... Musiałaś kiedykolwiek odwracać głowę i opędnąć się od mojego pocałunku? Musiałaś zrzucić moją rękę z kolana w kinie? Czy chociaż raz od czasu Bali zamęczałem cię moją miłością?

- Nie, i trzymaj się tego.

- Może zbyt długo cię nie widziałem, ale wydaje mi się, że będę miał z tym problem.

Tym razem nie uśmiechnęła się, a wolałem, o ileż bardziej wolałem, kiedy się uśmiechała. Powiedziałem, że chciałbym jej złożyć krótką wizytę u niej na wsi późnym popołudniem.

- Nie pytaj, dlaczego. To niespodzianka.

Gdy tam dotarłem, słońce nie zaszło jeszcze za góry. Zaparkowałem wynajętą bagażówkę obok jej renówki i obszedłem dom. Rémi oglądał telewizję w salonie, Tina była w swoim pokoju. Zawołał ją, nie ruszając się z kanapy.

- Mamo! To do ciebie!

Usłyszałem, jak schodzi. Już po odgłosie kroków poznałem, że ma na nogach baleriny na skórzanej podeszwie, bo na płytkach ceramicznych wydają taki charakterystyczny dźwięk. Jeszcze bardziej polubiłem jej chód w tych pantoflach, w których jakby unosiła się w powietrzu.

- Chodź. Niespodzianka jest na dworze. Zaintrygowana, udała się za mną. Na widok bagażówki uniosła brwi.

- Nie mogłeś przywieźć tego czymś mniejszym?

- Nie.

Jednym ruchem otworzyłem dwuczęściowe drzwi. Tina aż krzyknęła z wrażenia.

Przed nią stał byk. Nie od razu zauważyła, że jest z drewna. Dokładna kopia tego, który zatarasował nam drogę na Lomboku. Zleciłem wykonanie rzeźby temu samemu rzemieślnikowi, którego dzieło - malowany wół z drewna - podziwiała w Ubudzie. Piękna robota.

Każdy szczegół - kopyta, uszy, oczy, sierść - był oddany z wielką precyzją. Długo wpatrywała się w nieruchome zwierzę, zanim odwróciła się do mnie.

- Jest wspaniały! - wykrzyknęła rozpromieniona. Wdrapaliśmy się do środka bagażówki. Byk zajmował połowę wolnej przestrzeni. - Dziękuję. Naprawdę jestem nim zachwycona. - Cmoknęła mnie w policzek. W głębi ciężarówki czekały na swoją kolej trzy skrzynie i duży obraz w folii. - Odbiło ci, czy co?

Wyjaśniłem, że wysłałem statkiem tych kilka kłopotliwych ze względu na rozmiary prezentów,

wypatrzonych dla niej podczas moich azjatyckich wędrówek. Otworzyliśmy skrzynie przed wyniesieniem ich z luku bagażowego. Znajdowały się w nich dwa bliźniacze birmańskie geridony, duży obraz Soni - dobry przykład malarstwa naiwnego - przedstawiający tarasy ryżowe w jaskrawej zielonej i żółtej tonacji, no i przede wszystkim dziewiętnastowieczna rzeźba Buddy z Tybetu, wykonana z brązu, wysoka na sześćdziesiąt centymetrów, o niesamowitym, przykuwającym uwagę uśmiechu.

Gdy mnie pocałowała, żeby mi podziękować, poczułem, że jeszcze bardziej jej pożądam i przestaję nad tym panować.

Chłopcy pomogli nam rozładować bagażówkę. Ocenili przedmioty jako „cool”. Wybór miejsc dla prezentów, nawet gdyby były tymczasowe, świadczył o tym, że naprawdę je doceniła. Bez chwili wahania usunęła dwa szwedzkie stoliki po obu stronach kanapy i postawiła tam geridony. Obraz i Buddę kazała wnieść do swojego pokoju, równie skąpo umeblowanego jak przed sześcioma miesiącami, kiedy oglądałem dom zaraz po przeprowadzce. Buddę postawiła na podłodze, naprzeciwko łóżka, a obraz oparła o ścianę koło okna. Powiedziała, że to tak „na razie”, ale czułem, że szybko ich nie przestawi. Nic nie mogło mi sprawić większej przyjemności.

Z trudem zataszczyliśmy byka w głąb ogrodu, między drzewa oliwkowe. Z daleka wyglądał jak prawdziwy. Gdy popijaliśmy anyżówkę, Tina nie odrywała od niego wzroku.

Lucien wrócił do domu o ósmej wieczorem. Choć spoglądał na mnie już mniej podejrzliwie, jego introwertyczne usposobienie nadal mnie onieśmiało. I bez tych prezentów on i dzieciaki bez trudu odgadli, że kocham Tinę bardziej niż jak przyjaciel, a ja wiedziałem, że mogę liczyć na ich przychylność tak długo, jak długo pozostanę dla Tiny tylko przyjacielem. Udało mi się wślizgnąć w jej życie, nie

zabierając im jej, i mogłem w nim pozostać pod warunkiem, że nie będę się narzucał.

Po raz pierwszy jedliśmy kolację w piątkę. To był piękny obrazek - ona i jej czterej mężczyźni, z których każdy, na swój sposób, przepadał za nią. Nie było tu dla mnie miejsca i nie zamierzałem wpychać się na siłę, wołałem to, które mi wyznaczyła - z dala od jej najbliższego otoczenia. Po posiłku obejrzeliśmy w telewizji Zabójczą broń z Melem Gibsonem i Dannym Gloverem. Gdy klan Sycylijczyków poszedł spać, ja też się podniosłem. Tina odprowadziła mnie do bagażówki.

Zatrzymaliśmy się na progu, żeby popatrzeć na księżyc. Niebo było wygwieżdżone. Przez chwilę wędrowaliśmy w milczeniu. Unosząca się w powietrzu woń przyprawiała o zawrót głowy. W obfitości zapachów rozróżniałem znajome aromaty - sosny, rozmarynu, róż - pomieszane z zapachem tymianku, lawendy, oliwek. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Uświadomiłem sobie, że większość najważniejszych chwil z Tiną przeżyłem w podobnej scenerii: byliśmy sami i było ciemno. Rak znajduje się pod wpływem Księżyca, noc mi sprzyja, a w naszym prowansalskim życiu jeszcze nigdy nie przebywaliśmy sami o tej porze. Ani w domu, ani na zewnątrz. Tym razem tak było.

Ruszyłem więc do boju, wyprostowany i gotowy stawić czoło kulom, uśmiechnięty, jak gdybym zamierzał opowiedzieć dowcip.

- Nigdy się nie zastanawiałaś, czy nie prowadzę jakiegoś innego życia, które nie ma związku z tobą?

- Co masz na myśli?

- Na przykład życie seksualne.

Trzeba było widzieć jej minę! W rodzaju: „Po co on mi to mówi po raz setny?”. Tymczasem prawda była taka, że nigdy, ani w ogóle, ani w szczególności, nie poruszaliśmy tego tematu!

- Robisz to, na co masz ochotę. Nie moja sprawa.
- To jakiś obłąd, to... Widujemy się codziennie, jestem na bieżąco we wszystkich twoich sprawach, a ty moich, telefonujesz do mnie o pierwszej w nocy, żeby mi puścić jakąś piosenkę...
- Tylko raz!
- Nie narzekam! Nigdy nie zadałaś sobie pytania, jak wygląda moje życie? Czy nie spotykam się z innymi kobietami poza tobą?
- Szczerze mówiąc, nie.
- Bo masz pewność, że z nikim się nie widuję.
- Nic podobnego.
- Założmy jednak, że prowadzę podwójne życie... Mam kochankę, która czyni mi wyrzuty z twojego powodu. Nie wierzy, że jesteśmy tylko przyjaciółmi, i mówi: „To dlaczego mi jej nie przedstawisz?”.
- Właściwie, dlaczego miałbyś tego nie zrobić?
- Mógłbym, ale nie prowadzę podwójnego życia. To proste - odkąd cię poznałem, z nikim się nie kochałem.
- I uważasz, że należy ci się za to order?
- Nie, ale chcę, żebyś wiedziała, że jestem taki jak ty. Brakuje mi tego.

Zasztyletowała mnie wzrokiem. Nie wiedziałem, gdzie podziąć oczy. Zagalopowałem się. Nie chciałem tego. Zbyt późno zdałem sobie sprawę, że moje wyznanie jest wulgarne i nie na miejscu. Czekałem na wyrok.

- Przykro mi, ale nic na to nie poradzę - powiedziała spokojnym głosem.

Zatrzymałem się i spojrzałem na nią. Miałem ochotę ją zjeść. Wyjąłem paczkę papierosów, wzięła jednego. Byłem podekscytowany, rozgorączkowany, siłałem się na wesołość, jakby nic się nie stało, ale nie szło mi najlepiej, wszystko

wypadało zbyt egzaltowanie. Mówiłem szybko, żeby mi nie przerwała:

- Im dłużej i lepiej cię znam, tym bardziej cię kocham. Nie było takiego poranka, żebym po przebudzeniu nie pomyślał natychmiast o tobie. Jeśli tego dnia mam się z tobą spotkać, wiem o tym, zanim jeszcze otworzę oczy. W mojej głowie śpiewają ptaki. Myślę o czekającym mnie szczęściu - porozmawiasz ze mną, rozśmieszysz, ochrzaniśz. Wyobrażam sobie ciebie idącą, dosiadającą motocykla, uśmiechającą się, podciągającą dzinsy... i czuję się jak dzieciak, który dostał mnóstwo prezentów pod choinkę. W dniu, w którym się nie spotykamy, mam ochotę połknąć osiem pigułek nasennych i położyć się z powrotem do łóżka...

Poniosło mnie. Nic w jej zachowaniu nie wskazywało na to, że mam przestać mówić o mojej miłości. Ani nie zachęcało. Odkąd ją znam, był to temat tabu, ale nie teraz. Przynajmniej nie w ten wieczór. Kontynuowałem więc, starając się zachować spokój.

- Otóż wiedz, że przestałem lubić samotność. O wiele bardziej wolę być z tobą... Jest mi coraz trudniej rozstawać się z tobą wieczorem. Nie wiem, co robisz beze mnie... Nigdy nie widziałem, jak przystępujesz do wieczornej toalety, jak wsuwasz się pod kołdrę, jak śpisz...

Nigdy nie budziłem się przy tobie... To jedyna sfera, o której nic nie wiem, zdaję się na intuicję...

Musiałem przerwać i odjechać, żeby nie posunąć się za daleko. Tina miała poważną minę. Zanim wsiadłem do szoferki, odwróciłem się w jej stronę.

- Czasami sobie mówię, że nie powinnaś być nieszczęśliwa z kimś, kto cię tak uszczęśliwia... ale to nie takie proste... Wiem o tym.

Posłała mi uśmiech, starając się, żeby nie wypadł smutno.

Ująłem jej dłoń, pochyliłem się i pocałowałem od wewnętrznej strony. Usiadłem za kierownicą. Tina stała i patrzyła, jak odjeżdżam. W ostatniej chwili posłała mi czuły uśmiech i nieznacznie pomachała na do widzenia. Po raz pierwszy miałem wrażenie, że rozstaje się ze mną z żalem.

Zatelefonowała nazajutrz rano i jeszcze raz podziękowała za prezenty. Umówiliśmy się na wieczór, podała mi godzinę i miejsce, gdzie odbędzie się koncert. Miała tremę, tak jakby to ona miała śpiewać. Nadszedł jej wielki dzień.

Miała trudności ze znalezieniem zespołu, który byłby zarazem doskonały i nieznany. Takiego właśnie potrzebowała. Po długich poszukiwaniach wytropiła prawdziwą perłę: walijską grupę Fax - to właśnie ich nagrań kazała mi słuchać, kiedy zadzwoniła do mnie o pierwszej w nocy. Debiutancki album odniósł spory sukces w Anglii. We Francji miał się ukazać kilka dni po koncercie. Dzięki lokalnym radiostacjom, z którymi Tina zawarła umowę, bilety rozeszły się jak świeże bułeczki. Wybrany na tę okazję lokal kabaretowo - rockowy Cargo de Nuit będzie pękać w szwach - nie zmieści się w nim więcej niż trzysta osób.

Zaproponowała, żebyśmy spotkali się na godzinę przed otwarciem lokalu i wypili po kieliszku w pustej jeszcze sali. Moim zadaniem było nie pozwolić jej obgryzać ze zdenerwowania paznokci.

Czy miałem coś lepszego do roboty?

Zjawiłem się z dziesięciominutowym opóźnieniem - przyjechałem samochodem, jak prosiła, i długo szukałem wolnego miejsca do zaparkowania. Siedziała w barze przy kawie, wyglądała szalenie atrakcyjnie, mimo że nie pozwoliła sobie na żadne szaleństwo, nic poza podstawowym strojem wyjściowym: czarne dżinsy, czarne baleriny, czarny podkoszulek, do tego kaszmirowy żakiet, który kupowaliśmy razem, niebieski jak jej oczy.

Stałem metr od niej i ostentacyjnie zlustrowałem od stóp do głów.

- Jesteś całym pięknem świata - powiedziałem bez żadnego skrępowania.

- Co najmniej! - zażartowała.

Ktoś mógłby to uznać za przesadę, ale taka była prawda. Reprezentowała całe piękno świata. Ucieleśniała je w dosłownym tego słowa znaczeniu. To, co z niej emanowało - doskonałość, tajemniczość, połączenie harmonii i chaosu - było identyczne z tym, co podziwialiśmy na szczycie Rinjani. Gdyby posłużyć się techniką portretu chińskiego (Metoda personalizacji przedmiotu, nadająca mu cechy ludzkie. Pojęcie stosowane w badaniach marketingowych.), nie można by jej nazwać równiną czy wulkanem, jeziorem czy rzeką, niebem czy morzem, ptakiem czy słoniem. Była jak cały krajobraz - idealny, składający się z równin i wulkanów, z rozrzuconych tu i ówdzie jezior i rzek, obramowanych niebem i morzem, gdzie latały ptaki i radośnie porykiwały słonie.

Oprowadziła mnie po lokalu. Wystrój nawiązywał do wnętrza frachtowca. Na scenie ustawiono już instrumenty. Światło reflektora padające na ciemną ścianę wykreśliło na niej biały księżyc. Przeszła na drugą stronę baru, obejrzała butelki, żeby wybrać coś, czego moglibyśmy się napić.

- Jaki alkohol smakuje bez lodu?

- Tequila.

- Oczywiście!

Wzięła butelkę, dwie szklaneczki i napełniła je.

- Za twój sukces - powiedziałem przy dźwięku stukającego szkła.

Grupa Fax porwała publiczność. Cargo było nabite tłumem szalejącej młodzieży. Był to naprawdę niezapomniany wieczór. Grali twardy rock. Szybkie kawałki pędziły z prędkością TGV, ale kiedy przechodzili do fokstrota i ich przyszczaty solista o wydatnych wargach szeptał miłosne wyznania, na sali robiło się cicho jak w kościele. Dziewczyny trzymały swoich narzeczonych za rękę. Siedząca za Rolandem Régine całowała go w szyję. Nawet Lucien objął swoją

dziewczynę ramieniem. Ja patrzyłem na Tinę i cieszyłem się z jej sukcesu, pewny, że los znów się do niej uśmiechnął.

Dziesięć razy, sto razy musiałem się powstrzymać, żeby nie wziąć jej za rękę, nie popieścić ramienia albo szyi. Obstawiona przez rodzinę, pozostawała nietykalna, mimo że byliśmy ściśnięci jak sardynki w puszcze. Można zwariować. Tak bardzo daliśmy się ponieść muzyce, że gdybyśmy byli sami, trzymanie jej za rękę i delikatne pieszczoty byłyby czymś zupełnie naturalnym. Tak przynajmniej sądziłem.

Tina była wniebowzięta. To był z całą pewnością najpiękniejszy wieczór w jej nowym życiu. Ponieważ koncert był wspaniały. Ponieważ bez niej by się nie odbył. Ponieważ jej dzieci robiły wygibasy i wiwatowały na jej cześć. Ponieważ bracia byli z niej dumni. Ponieważ ja byłem przy niej i ponieważ ją kochałem? Nie, gdybym nie istniał, jej szczęście byłoby równie wielkie.

Po dwugodzinnym triumfalnym występie wykończeni muzycy zniknęli, nie zważając na deliryczne okrzyki tłumu. Tina, Roland, Régine i ja umówiliśmy się z grupą na kolację w restauracji w centrum miasta. Lucien odwoził przyjaciółkę i dzieci do domu. Tina chciała jak najszybciej sprawdzić, czy w restauracji wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Członkowie zespołu jeszcze nie byli na etapie wywoływania skandali z powodu pustych solniczek, ale Tina denerwowała się tak, jakby przyjmowała Barbrę Streisand. Najstarszy Fax mógł mieć dwadzieścia lat i był rudy.

Udaliśmy się we dwoje na zwiady. Na ulicy wzięła mnie pod rękę - po raz pierwszy! Na szczęście zaparkowałem cholernie daleko.

- Niewiele koncertów widziałem, ale ten chyba przejdzie do historii - pogratulowałem jej. - Bravo! Trzeba było umieć ich znaleźć... Ten twój facet był jak w stanie łaski.

- Nie nazywaj go moim facetem!

- Przepraszam... Gdy cię długo nie widzę, zapominam, że jesteś trochę mieszczką...

- A wiesz, że jak mieszcza się odetnie, to pójdzie ci w pięty?

Śmialiśmy się z tego, co uważała za szczyt grubiaństwa, na jakie była w stanie się zdobyć.

To była moja kobieta, stworzona dla mnie. Wiedziałem o tym od pierwszej chwili, ale tutaj, na tym chodniku, stało się to oczywiste. Błogosławiona chwila, o której marzyłem, aby moja pozornie bezsensowna intuicja mogła się urzeczywistnić. Była już blisko - nieuchronna, nieunikniona. A gdyby jeszcze zdarzyło się to w rocznicę naszego poznania się, byłby to jeszcze jeden dowód na to, że życie nie do końca musi być schrzanione.

Gdy tylko wsiadła do samochodu, wyjęła z torebki album Faksów, który miał się ukazać we Francji za kilka dni, i wsunęła go do odtwarzacza. Początek był mocny, zaczynał się od bluesa, którym przed chwilą tak się zachwyciliśmy. Na czerwonych światłach podniosłem do ust jej rękę i musnąłem wargami jej palce. Potem, kiedy światło zmieniło się na zielone i jakiś niecierpliwiec zatrąbił, wrzuciłem jedynkę i już nie sięgnąłem po jej dłoń. To, że nie opierała się przez pięć sekund, nie znaczyło, że mam się do niej kleić jak oszalały ze szczęścia nastolatek. Blues był powalający, atmosfera koncertu przeniosła się do kabiny pikapu, Tina bujała jeszcze w obłokach.

Zaparkowałem daleko od restauracji. Nie chciałem pchać się w wąskie uliczki tą landarą, wystarczyłby jeden zaparkowany w poprzek chodnika samochód, żebym potem nie ruszył z miejsca. Nie było pośpiechu. Faksy i Roland mieli tu być dopiero za jakieś pół godziny. Tłum przy wyjściu na pewno dopadnie grupę po autografy.

Szliśmy powoli. Miałem na nią wielką ochotę. Straszna, obsesyjna, niestosowna do okoliczności.

- Rzadko się zdarza, żebyś tak nic nie mówił...

- Myślałem o czymś... co ma związek z tobą... Spojrzała na mnie, ufnie czekając na dalszy ciąg.

- Od powrotu... od wczoraj... pojawił się nowy element, który wszystko zmienia... między nami...

Poczułem, jak Tina sztywnieje. Uśmiechnąłem się, żeby ją uspokoić, ująłem jej rękę w swoje, stanęliśmy twarzą zwróceniu do siebie, bardzo blisko, już chciałem ją pocałować, kiedy odwróciła się i ruszyła przed siebie, a ja podążałem za nią jak piesek. Czuję się okropnie, ona nie. Po chwili znów się uśmiechnęła.

- No więc? Co to za nowina, która zmienia wszystko?

- Pożądanie, Tino. Pożądanie!

Tego się nie spodziewała! Była zdezorientowana, nie zdążyła zareagować, bo nie dopuściłem jej do głosu.

- Pamiętasz, jak na Bali powiedziałem, że nie będzie mnie zżerać namiętność, jeśli wiem, że tobie ani to w głowie? No więc to już nieaktualne. Podczas koncertu i teraz w samochodzie, cały czas, pragnę cię całować, dotykać, tulić...

Wzięłem ją za ramię i zbliżyłem się do niej, ale odsunęła się z wymuszonym uśmiechem.

- Uspokój się...

- A wiesz, dlaczego aż tak bardzo cię pragnę?

- Nie jestem jasnowidzem!

Próbowała żartować, ale była spięta. Tym razem jej dezynwoltura znikła na dobre.

- Bo ty też mnie pragniesz. Nie chcesz się do tego przyznać, ale...

Przerwała mi. Już po pierwszych sylabach, po tonie jej głosu, który ciął jak gilotyna, wiedziałem, że jest po mnie.

- Mam tego dość i nie życzę sobie, żebyś myślał za mnie. Ty miałbyś wiedzieć, co siedzi w mojej głowie?! Nic nie wiesz. Nic nie rozumiesz.

Potrzebowałem paru sekund, żeby się pozbierać.

- Zapomniałem, jaki potrafisz przybierać ton - powiedziałem i zawróciłem na pięcie.

Oddalałem się wielkimi krokami, brakowało mi tchu, nie zawołała: „Wracaj!”, skręciłem w pierwszą lepszą ulicę, potem w inną. Nie odwracałem się. Ona nie biegła za mną, czułem się jak ryba wyrzucona z wody, chwyciłem powietrze, otwierając szeroko usta.

Było mi obojętne, czy miałem rację, czy się myliłem. Prawdopodobnie zachowałem się nietaktownie, wręcz beznadziejnie, ale nie miałem głowy, żeby to w tej chwili rozstrzygać. Odszedłem, bo nie mogłem postąpić inaczej. Pozostanie z nią byłoby zbyt bolesne. A poza tym... co miałbym powiedzieć?

Nieraz zwracała się do mnie takim tonem - za każdym razem reagowałem fatalnie - wtedy jednak znajdowaliśmy się na drugim końcu świata i byliśmy niejako zmuszeni spotkać się znów nazajutrz. Tutaj, w mieście, w codziennym życiu, może obejść się beze mnie, może nigdy więcej nie zadzwonić i nigdy więcej już jej nie zobaczę.

Do domu wróciłem pieszo, właściwie dobiegłem. Mimo że na to nie liczyłem, poczułem się zawiedziony, że jej nie ma pod drzwiami, że nie czeka tu na mnie. Rzuciłem się do gabinetu sprawdzić pocztę głosową. Zero wiadomości. Wyciągnąłem się na kanapie w ciemności przy otwartym oknie. Jeszcze ćwierkały dwa cierpiące na bezsenność ptaki. Zielone cyfry na ekranie magnetowidu pokazywały godzinę: dziewięć minut po północy. Kurtyna, gratulacje z okazji pierwszej rocznicy poznania!

Na przekór zdrowemu rozsądkowi czekałem na telefon. Co zrobię, jeżeli nigdy nie zadzwoni? Zatelefonuję do niej? Zaczaję się i zaczepię ją na ulicy? Napiszę do niej? Poślę kwiaty?

Upływały minuty, byłem w panice. Lęk rozprzestrzeniwał się, rozlewał jak fala powodziowa wezbranej rzeki.

Odchodziłem od zmysłów. Zamiast spędzić z nią pierwszy wspaniały wieczór jej nowego życia, tego życia, którego chciałem być podporą, zmarnowałem wszystko. Jej pierwszy sukces, nasza pierwsza rocznica... Nie, nie miałem prawa tego popsuć! Zachowałem się jak prosię! Podtykanie jej pod nos własnego ogona, nawet w przerośni, było szczytem obrzydlistwa. Zniosła to z anielską cierpliwością, nie dała mi w pysk, choć sobie na to zasłużyłem. Czy po tym wszystkim odważę się pokazać jej na oczy?

Nie radziłem sobie z natłokiem czarnych myśli, żalonych i nijakich, wstydzilem się za mój mózg, który świrował, płodził nakładające się na siebie i przesłaniające wszystko paranoje. Czułem się jak poćwiartowany, spalony żywcem. A ona? Ona była w swoim żywiole. Niczego jej nie zepsułem. Chyba uważałem się za Boga Ojca, jeśli sądziłem, że taki nędzny robak jak ja zmarnuje jej wieczór. Faksy, Roland i czerwone wino pozwolili jej zapomnieć o tym przykrym incydencie. Zastanawiałem się, czy któryś z Faksów odważy się puścić do niej oko, podrywać ją dyskretnie, i jaka będzie jej reakcja.

Jednym słowem wystrychnięty na dudka bubek to ja.

Minęła godzina, a telefon nie zadzwonił. Trzeba było się ruszyć, nie mogłem tak trwać w nieskończoność. Ponownie włączyłem sekretarkę i wyszedłem. Wolałem zaryzykować, że zadzwoni pod moją nieobecność, niż czekać jak pies całą noc nadaremnie.

Wsiadłem na motocykl i pojechałem bulwarem nad Rodanem. Po drodze nie napotkałem żywej duszy, tylko gwiazdy na niebie połyskiwały oskarżycielsko. Już nie chciałem wykrzyczeć niebu i światu „dziękuję”. Cisnęło mi się na usta tylko jedno słowo: przepraszam. Uciec od myśli, które mnie dosłownie niszczyły, mogłem tylko w jeden sposób: docisnąć gaz do dechy, skoncentrować się na zakrętach, na

skrzyżowaniach, na hamowaniu i w ten sposób zmusić instynkt samozachowawczy do działania.

W dziesięć minut znalazłem się w Saintes. Posiedziałem na piasku, popatrzyłem na morze, wypłem dwie wódki w barze, gdzie śmierdziało rybą, po czym wróciłem. Jeszcze szybciej. Najadłem się strachu więcej niż jeden raz.

Gdy zajechałem pod dom, była chyba trzecia nad ranem. Nie czekała na mnie pod drzwiami, z góry wiedziałem, że nie będzie od niej żadnej wiadomości. Nawet nie odważyłem się sprawdzić, zszedłem na dół i znów wsiadłem na motocykl. Ideałem, o ile w mojej sytuacji można o czymś takim mówić, byłoby upić się w trupa, żeby po powrocie nie być w stanie odsłuchać poczty, i spać, dopóki nie zadzwoni, albo nie obudzić się wcale, jeśli nie zadzwoni nigdy.

Przemykałem się uliczkami w poszukiwaniu czynnej knajpy. Najbliżej było do Mosquito. Postanowiłem nie szukać dalej. Będę mógł wrócić na piechotę, jeśli, jak zamierzałem, po wyjściu stamtąd nie będę w stanie utrzymać się na motocyklu. Z zewnątrz miejsce wyglądało równie zachęcająco jak wystawa zakładu pogrzebowego. Miałem to gdzieś! Najważniejsze, żeby znaleźć tu dwa niezbędne składniki: wódkę i get - dzięki nim zapomnę o wszystkim, zanim ponownie pogrążę się w swoim szambie.

Były oba. W przegrzanej piwnicy roilo się od nastolatków zamulonych czymś, czego nie znałem. Leciała muzyka techno w rodzaju nervous breakdown - lepiej nie mogło być!

Zielone Smoki zaczynały działać, nie odzywałem się do nikogo poza kelnerem, któremu składałem zamówienia, i tylko piłem, paliłem i stukałem nerwowo nogą. No i, oczywiście, myślałem. W życiu tyle nie myślałem. Im więcej piłem, tym więcej myślałem - i coraz mniej chciało mi się wracać do domu.

Jak mogłem się aż tak pomylić? Przecież od początku znałem swoje miejsce, wiedziałem, że muszę czekać, więc co mi odbiło? Chyba oszalałem!

Jednocześnie, w głębi duszy, byłem przekonany o swojej racji. Zmieniłem się, bo ona się zmieniła. Moje pożądanie wzięło się z jej pożądania. Obudziło się i wychynęło z głębi jaskini, gdzie tkwiło przyczajone. Takie reguły panują wśród zwierząt, ale panują. Błąd polegał na tym, że jej o tym powiedziałem, dodając: „Nie chcesz się do tego przyznać"! Ale ze mnie psycholog! Okryłem się wstydem i nic tego nie zmieni.

Przy szóstym kieliszku przeanalizowałem dokładnie sytuację i uznałem, że w grę wchodzi tylko dwie możliwości: najbardziej prawdopodobna i najgorsza. Całe szczęście, że się ze sobą nie pokrywają. Tak czy owak w obu przypadkach miałem przerabane.

Pierwsza i najbardziej prawdopodobna: zadzwonić i przeprosić, udobruchać, w razie czego błagać o przebaczenie. Dygotałem już na samą myśl o tym.

Najgorsza: nie chce mnie więcej widzieć, uważa, i to stanowczo, że moja chuć uniemożliwia dalszą przyjaźń, a brak pożądania z jej strony uniemożliwia miłość między nami.

A najgorsze, że to najgorsze jest całkiem prawdopodobne. Wyobrażałem sobie, jakich słów użyje, przez telefon, w liście albo w bezpośredniej rozmowie, gdy dojdzie do ostatniego spotkania, po którym złożę swoje życie w ofierze i spłonę w ogniu miłości. Nawet gdyby ta wersja miała się spełnić tylko w dwudziestu procentach, to i tak nastąpi katastrofa, która mnie unicestwi skuteczniej niż bomba atomowa.

Mijały godziny. Ani się spostrzegłem, jak lokal opustoszał. Byłem ostatnim pijackiem przyklejonym do baru, jeszcze tylko na parkiecie podrygiwało kilkoro małolatów. Kawalek z muzyką techno, który zainaugurował moje wejście,

jeszcze się nie skończył. Zamówiłem kolejną wódkę i podałem kartę kredytową. Opróżniłem kieliszek, zanim maszyna wypluła rachunek. Miałem wrażenie, że wykonanie dwóch tysięcy kroków dzielących mnie od świeżego powietrza zajęło mi godzinę i dwadzieścia minut.

Gdy znalazłem się na zewnątrz, poczułem się jak rozbitek, który nareszcie postawił stopę na lądzie - stałym tylko z nazwy, bo ziemia kołysała mi się pod stopami. Rytm techno pulsowały boleśnie w mojej czaszce. Orzeźwiający powiew nie spełnił swojego zadania - byłem ululany w trupa.

Postawiłem jedną nogę, potem drugą, bardzo ostrożnie, i tak ze trzy czy cztery razy. Nie chciałem zwalić się zaraz za drzwiami. Usiadłem na krawężniku. Noc zaczynała powoli odchodzić. Nikłe szare światło wydobywało szczegóły ulicy. Wbiłem łokcie w kolana, oparłem brodę na dłoniach i zamknąłem oczy. Żeby mniej cierpieć, przywołałem na myśl wszystko to, co tak kochałem w Tinie: twarz, uśmiech, stopy, włosy, głos, wyniosłość. Podziałało. Wirujący w głowie cyklon stopniowo się oddalał.

Hałas, jaki dotarł do moich uszu, nie przywołał mnie do rzeczywistości.

To były kroki. Rozbrzmiewały z końca ulicy i od kilku chwil zbliżały się w moją stronę. Znałem ten charakterystyczny stukot. Żałosny dureń. Za dużo wypłem, żeby otworzyć oczy i sprawdzić, czy to ona, skoro to nie mogła być ona. Starłem się skoncentrować myśli na jej twarzy, na jej rękach. Ponieważ kroki wciąż się zbliżały, uniosłem powiekę.

To była ona.

Znajdowała się dalej, niż sądziłem, ale to była ona, nie przywidziało mi się. Gdy spostrzegła, że ją widzę, posłała mi swój uśmiech jak koło ratunkowe tonącemu. Podniosłem się, byłem nieprzytomny z miłości i sparaliżowany jej widokiem.

Stała przede mną, przyjrzała mi się na wpół potępiającym, na wpół rozbawionym wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „No i popatrz, do jakiego stanu się doprowadziłeś”, a ja byłem zbyt przejęty, żeby ją objąć.

Wstydzilem się i bałem - siebie, swojego pijaństwa i pożądania. Utkwiłem czerwone oczy pijanego królika w jej niebieskich oczach i usłyszałem siebie mówiącego - w stanie, w jakim się znajdowałem, nie należało się spodziewać, że przemówię tekstem literackim:

- Jak mnie tu znalazłaś?

- Szukałam cię. Nie lubię, kiedy cię nie ma.

Ująłem w dłonie jej cudowną twarz, a ona nie przestawała się do mnie uśmiechać, rozczulona, że upiłem się przez nią. Nie miałem odwagi się ruszyć, długo trzymałem nieruchome palce na jej policzkach, pieszcząc ją spojrzeniem, oderwany od rzeczywistości, drżący. Zbliżyłem się powoli, dotknąłem wargami jej ust. Po chwili całowaliśmy się jak szaleni, jak zakochani, którzy się odnaleźli. To był bajeczny pocałunek, jeszcze lepszy od tego na dziedzińcu Stelli. Czułem jej dłoń na karku, we włosach. Przyciągnąłem ją do siebie. Usta miała wilgotne i chłodne. Objęła mnie. Oderwałem się od ziemi, wprost unosiłem się w powietrzu, rozanielony. Przywarła do mnie mocniej. Nie przestawaliśmy się całować, czerpiąc rozkosz z tego, co przekazywały sobie nasze niestrudzone języki, splatające się w czarodziejskiej grocie naszych złączonych ust.

Mógłbym ją całować godzinami. To ona przerwała ten błogostan. Wyciągnęła do mnie rękę.

- Chodź.

Tym razem poszedłem.

Przeszliśmy kilka kroków, trzymając się za rękę. Zobaczyłem jej motocykl, potem swój, na chodniku po drugiej stronie - zrozumiałem, jak mnie znalazła. Doszedłem z nią do jej stodwudziestki i półki.

- Wsiadaj - powiedziała. - Przejażdżka dobrze ci zrobi.

Była radosna. Nie zadawałem pytań, tylko usiadłem z tyłu customa. Wyjęła ze schowka discmana i dwie pary słuchawek,

wspięła się na przednie siedzenie, włożyliśmy słuchawki i ruszyliśmy.

Trzy sekundy później Ikko zaczęła śpiewać.

Wyjechała z miasta, przejechała koło dworca, jakbyśmy jechali do niej. Było ładnie, starałem się nie obejmować jej za mocno. Później skręciła na Fontvieille i na Maussane zamiast na Saint - Rémy, czyli że nie jechaliśmy do niej. Mogła jechać, dokąd chciała. Frunąłem jak na zaczarowanym latającym dywanie. Bałem się, że śnię i że obudzę się na chodniku przed Mosquito, ale nie, nie śniłem, siedziała przede mną, a ja, z nosem przy jej karku, wdychałem jej zapach, trzymałem ją w pasie, pod palcami czułem jej brzuch. Ikko śpiewała na całe gardło, opowiadała patetyczną historię miłości, od której jeszcze bardziej chciało mi się płakać.

Obok migają spowite we mgle widoki. „Nie lubię, kiedy cię nie ma”. To zdanie dźwięczało w moim przesiąkniętym alkoholem mózgu. Nie mogła powiedzieć mi nic piękniejszego, odtąd będę trwał w euforii do końca życia.

Nie zastanawiałem się, czy mnie pokocha, czy odda mi się za kwadrans, czy za pięć lat. W ogóle nie zastanawiałem się nad niczym. Zdałem się na los. Kciukiem delikatnie pieściłem jej brzuch, od czasu do czasu składałem pocałunek na jej karku, i po raz pierwszy miałem do tego prawo, co więcej: sprawiało jej to przyjemność. Jakość i czas trwania ostatniego pocałunku pozwalały nie mieć co do tego wątpliwości.

Widziałem we wstecznym lusterku jakże ukochaną twarz Tiny. Uśmiechała się do mnie czasami i wtedy zalewało mnie jeszcze gorętsze uczucie. To właśnie było szczęście. I nie takie sobie szczęście, szybko przemijające, ale solidne. Takie, które się liczy, za którym się goni, które wydaje się istnieć tylko w filmach. I będzie trwać aż do śmierci.

Przejechaliśmy Fontvieille, gdzie właśnie piekarz otwierał swój sklep. Zegar na wieży kościelnej wskazywał szóstą

czterdzieści. Z Maussane pojechała na Destet, skąd lokalna wąska droga wiodła w głąb gór. Ten jeden z najpiękniejszych regionów odkryliśmy razem, szukając dla niej domu. Zaraz zza szczytów gór wyjrzą promienie słońca.

Jechaliśmy wśród drzew oliwek, pięliśmy się między wzgórzami. Im byliśmy wyżej, tym więcej było widać: równinę na dole, plantacje oliwek, a w oddali, jak okiem sięgnąć, spowite w mroku skałki i niskopienną roślinność. Na szczycie niedużej przełęczy skręciła w lewo, na kamienistą drogę, na której trochę dalej postawiono barierkę uniemożliwiającą wjazd samochodom. Gdyby jednak dobrze wcelować, znalazłoby się miejsce na motocykl. Zatrzymała się, ściszyła muzykę, odwróciła się do mnie, kładąc rękę na mojej, spoczywającej na jej brzuchu.

- Odtąd zaczyna się jazda terenowa, zbyt trudna jak dla mnie. Wolę, żebyś ty poprowadził. Jesteś w stanie?

Przecież nie powiem, że nie! Poza tym mam mocną głowę, a szczęście postawiło mnie na nogi. Alebym wyglądał, gdybym się urznął tak, jak zamierzałem! Tina odeszła kawałek i czekała na mnie z drugiej strony barierki. Powolutku, ostrożnie prześlizgnąłem się wzdłuż skały, a następnie zatrzymałem przy niej. Zanim wsiadła, pochyliła się i pocałowała mnie. Zamarłem na cztery czy pięć sekund - tyle, ile trwało zagłębienie jej języka w moich ustach. Pierwszy pocałunek z jej inicjatywy.

Usiadła za mną i objęła mnie w pasie.

Byliśmy razem: ja byłem jej, ona była moja, i oboje przyjęliśmy to naturalnie. Ja kochałem ją od zawsze, ona zdobyła się na pierwszy krok. To był problem między nią i nią i w końcu go rozwiązała. W każdym razie rozwiązała go na dzisiejszy ranek.

Ruszyłem. Ikko znów zaczęła śpiewać. Droga pięła się wśród skałek i wzgórz porośniętych krzewami i skarłatymi

drzewami. Z jednej strony mieliśmy przepaść i widoki, z drugiej - stromą skałę. Stopniowo otwierała się przed nami zapierająca dech w piersi panorama. Noc miała się ku końcowi, reflektor nie służył już do niczego. Po naszej lewej stronie niebieścił się step doliny La Crau. Pędzelki mgły muskały wierzchołki widocznej w oddali alei topolowej. Czulem jej piersi ocierające się o moje plecy, jej palce splecione na moim brzuchu.

Jechaliśmy spokojnie i bez przeszkód dobre pół godziny. Droga biegła grzbietami wzgórz, obejmowaliśmy wzrokiem całe pasmo gór. Nigdy nie przypuszczałem, że w tak uczęszczanym regionie, jakim jest południe Francji, znajdą się tak absolutnie bezludne zakątki, jakby sprzed narodzin człowieka. Całymi kilometrami, jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnego domu, nawet chatki myśliwego, żadnego słupa elektrycznego - nic, tylko przyroda: dzika, nietknięta, sosny i kwiaty, białe skały iskrzące się w świetle wschodzącego słońca, zające i kuropatwy, czmychające sprzed kół. Aż dziw, że nie natknęliśmy się na dinozaury!

W miejscach bez wybojów na drodze puszczałem kierownicę i kładłem rękę na dłoniach Tiny. Rozplatała wtedy palce i delikatnie mnie pieściła. Na snuciu fantazji na jej temat strawiłem godziny, tygodnie, miesiące, mimo to nie potrafiłem wyobrazić sobie tego ostatecznego kliknięcia, tej decydującej chwili, kiedy wreszcie dotrze do niej ten tak oczywisty fakt, że należę do niej. I oto nadszedł dzień łaski. Miałem wrażenie, że uduszę się z nadmiaru szczęścia. Istota ludzka nie jest stworzona aż do takiego szczęścia. Od zarania dziejów okoliczności i trudy życia na ziemi nauczyły ją obywać się bez szczęścia, a człowiek po prostu przyzwyczał się mylić je z tym, co jest tylko przyjemnością. A tymczasem jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Miałem zbyt wielką treść, zbyt

byłem przejęty, to było zbyt mocne, zbyt przytłaczające. Oto jak wyglądało moje szczęście.

Po wyjeździe z lasu czekało nas tylko jedno ostre podejście, za którym wyłonił się płaskowyż, skąd widać było cały bezkres gór. Wiedziałem, że dotarliśmy na miejsce.

Wyłączyła muzykę, zdjęliśmy słuchawki, zsiadliśmy z motocykla. Nad doliną przelatywał sokół, zza wzgórz wyłaniało się słońce. W oddali niewidoczne stąd morze zakłócało linię horyzontu.

Odwróciła się do mnie, objęliśmy się i zaczęli całować. Najpierw spokojnie i powoli, potem coraz namiętniej, aż do utraty tchu. Przepelniła mnie rozkosz, dławilo wzruszenie. Przerwałem pocałunek, żeby spojrzeć na Tinę jeszcze raz i utrwalić w pamięci jej twarz, jej spojrzenie, jej uśmiech w chwili, kiedy nasze życie osiągnęło punkt równowagi.